PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA
Gdańsk,
Wały Jagiellońskie
24

CZYTELNIA
125

BIBLIOTEKA

KIESZONKOWA

KLASSYKOW POLSKICH.

WYDANA

PRZEZ

JANA NEP: BOBROWICZA.

TOMIK XVII.

W LIPSKU,
U BREITKOPF ET HAERTEL.
1835.

Za pozwoleniem Cenzury.

OKRĘGOWA
BIBLIOTEKA
PEDAGOGICZNA
K.O.S. Gdańsk.

Inw. 125

DZIEŁA
FRANCISZKA
KARPIŃSKIEGO.

WYDANIE NOWE
JANA NEP: BOBROWICZA.

TOMIK I.

DZIEŁA
FRANCISZKA
KARPIŃSKIEGO.

OKRĘGOWA
BIBLIOTEKA
PEDAGOGICZNA
K.O.S. Gdańsk.

FRANCISZEK KARPIŃSKI.

DZIEŁA
FRANCISZKA
KARPIŃSKIEGO.

Z POPIERSIEM AUTORA.

TOMIK I.

w LIPSKU,
u BREITKOPF ET HAERTEL.
1833.

OKRĘGOWA
BIBLIOTEKA
PEDAGOGICZNA
K.O S. Gdańsk.
Inw. 125

Dz. 831-1

O ŻYCIU I PISMACH
Franciszka Karpińskiego

PRZEZ

KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO.

Rzecz czytana na posiedzeniu publicznem Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk. Dnia 39 *Kwietnia* 1827.

Gdy mi obok świetnie wystawionych czynów Staszica, o *Karpińskim* mówić przychodzi, stają mi w myśli własne jego wyrazy, do jednego z znakomitych mężów rzeczone: *ty wziąłeś od fortuny sposobność pokazania się na wysokich urzędach, a w duszy twojej znalazłeś hart cnoty, że ze wszystkich z chwałą wyszedłeś, mnie dał tylko los serce tkliwe i pióro w rękę**). Te wyrazy obejmują całą *Karpińskiego* pochwałę, i te zapewnie cień jego, do cienia Staszica, w trwalszej teraz ojczyznie powtórzył.

Jakże więc zdołam serca wasze, dzielną wymową na-

---

*) Dedykacya Obyczajów Indyan.

tchnione, czynami Staszica zajęte, zwrócić ku skromnym zasługom Poety, którego jedyną zaletą, to czuć i opiewać, co inni działają!

Wiem jednak, iż sprawiedliwi ziomkowie względnie przyjmują każdy listek do wieńca chwały narodowej przyniesiony, i że im drogą jest każda ofiara, niesiona z tak czystem uczuciem, jakiem *Karpiński* dla ojczyzny oddychał. Ztąd najwięcej muza jego, powszechną miłość w narodzie zyskała. Nie ma zakątka obszernej ziemi polskiej, gdzieby imie *Karpińskiego* nie znane i pieśni jego nucone nie były. Sam on jeden z poetów naszych tę rzadką pozyskał chwałę, iż pieśnia jego w Świątyni BOGA, w pałacach, przy warsztatach ludu pracowitego, i po wiejskich zagrodach śpiewane słyszymy.

Gdy go w porównaniu z innymi, ani dowcip wytworny, ani śmiałość geniuszu zaszczyca, czemuż przypisać to powszechne w skromnej jego muzie zamiłowanie? Oto smakowi i uczuciom, które równie narodowi jak poecie zaszczyt przynoszą. Oto cnoty łagodne, uczucia szlachetne, z prawdą i prostotą śpiewane; oto że serdeczna Religia, rzewna miłość ojczyzny, męztwo obronne, cnoty rodzinne, i błogie prace rolnicze są w pieniach *Karpińskiego*, szczerem są narodu zwierciadłem. Oto że pieśni jego są nad Prutem śpiewane, odpowiadają tym wszystkim, jakie nócą córy Sławiańskie nad Dnieprem, Donem, Muldą i Dunajem, nie wzniosłe ani namiętne, ale jak całe dzieje Sławian, sielskie i ujmujące. Ten duch Poezyi, równie jak język, wszędzie Sławian piętnem braterstwa oznacza, zawiera coś w sobie co ich zajmuje, co prawie tajemnicą jest dla obcych ludów.

Jeżeli słusznie sądzić można o charakterze narodu, według tego jakich Poetów najwięcej ceni, powszechną wziętość *Karpińskiego* można uważać za dowód, że mimo tylu obcych wpływów, dziedziczny smak prostoty i zdrowych uczuć, jeszcze w narodzie Polskim panuje. Przeto dzieła tego Poety, wskazówką bydź zawsze powinny dla tych, których natura powołała bydź tłumaczami uczuć narodowych. Z tego przynajmniej względu obraz *Karpiń-*

skiego, jakkolwiek słabym pędzlem oddany, bydź obojętny nie może.

Franciszek Karpiński urodził się dnia 4. Października r. 1741 we wsi Hołoskowie w Powiecie Kołomyskim dawnego województwa Ruskiego, w owej to ziemi, która przed dwoma wiekami wydała dwóch poprzedników *Karpińskiego* w Sielskiej Poezyi: Szymonowicza i Zimorowicza. Piękna ziemia i słodkie obyczaje ludu natchnęły go Poezyą, która w dziecinnym już wieku w nim się zdradzała. W ósmym roku oddany był do szkół Jezuickich w Stanisławowie, jako najbliższych ojców jego zagrody*).

Matkę pełną dobroci i wrodzonego rozsądku wcześnie utracił. Ojciec Karpińskiego wpływał więcej na jego charakter, niżeli wszystkie późniejsze stosunki. Wystawia on dokładny obraz surowości z jaką zwykle obywatele w narodach wolnych, a mianowicie Polacy ówcześni synów wychowywali. Miłość synowska u przodków naszych połączona z najwyższem uszanowaniem, i bojaźnią, miała w sobie coś szczególniej wzniosłego i patryarchalnego, surowe wychowanie domowe wystawiało szczególną spornność, że zbyteczną wolnością przyszłych obywatelów.' To może rozwięzuje zagadkę, dla czego wśród nieładu i zepsucia publicznego, tak mało było w narodzie Polskim domowych występków. Najmniejsza poufałość, zabranie miejsca przy ojcu, lub wdanie się w rozmowę nawet w dorosłym wieku, było wtenczas przewinieniem przeciw powadze ojcowskiej. Sam *Karpiński* opowiadał następujące zdarzenie. Gdy, nauki filozoficzne ukończywszy, do domu przybył, i gdy zaraz miał sposobność zwrócić na

*) Dziecinny umysł Karpińskiego przeczuwał, ile szkoły ówczesne przeciwne były temu, który miał kiedyś naturę i prostotę opiewać. Gdy bowiem z ojcem do klasztoru przybył, posępne mury i narzędzia ówczesnego wychowania, takie na nim sprawiły wrażenie, iż za pojazd wracającego ojca się ukrył, i w połowie drogi dostrzeżony, nie bez bojaźni kary do przyszłych nauczycieli powrócić musiał.

siebie uwagę, mową na pogrzebie Roszczyna Porucznika pancernego wyrzeczoną; ucieszony ojciec zaprosił na biesiadę sąsiadów, z powodu szczęśliwego ukończenia nauk przez syna. Zrana nim się goście zjechali, chodził po pokoju szerokim krokiem zadając pytania pokornie stojącemu synowi. Między innemi rzekł: *czy jako nowy Filozof, nie zapomniałeś czci dla wiary i ojca?* Syn odpowiedział, *iż ucałuje rękę, gdyby go kiedyś za podobny występek ukarać miała.* Ucieszył się ojciec tą odpowiedzią, jednakże jakby nie mogąc w oczach syna z pewnością prawdy wyczytać, wpatrując się w niego, dał mu policzek. Łzami zalany stał syn milczący. Po tej próbie wezbrało się uczucie ojcowskie przycisnął syna do piersi, i łzami go oblewając mówił: *doświadczyć cię chciałem, będziesz dobrym obywatelem, gdyś nie zapomniał synowskiej pokory.*

Ojcu acz tyle surowemu dziękował *Karpiński* przez całe życie, za religijne i moralne uczucia swoje. Nauk i zasad jego, aż do późnej starości pilnował. Otwartość i prawdę kochał aż do ściągnienia wielu przykrości sobie i drugim. Do tego stoickiego wychowania dołączył wrodzoną łagodność serca, co razem uczyniło go niewinnym i czystym we wszelkich pomysłach i czynach. Pobożność ojca jak sam powiadał, obudziła w nim razem nierozdzielne uczucia religji i poezyi, szczęściem że obiedwie więcej jego serce niż imaginacyą zajęły *).

*) Opowiadał Karpiński przyjaciołom swoim następujące zdarzenie. Gdy w wigilią Bożego Narodzenia, czeladź z panami pieśni pobożne nuciła, gdy dzieci po rozesłanym siance igrając, kłosy za belkę rzucały, nagle wpadł ojciec w najwyższem zachwyceniu i wszystkich na podwórze zwołuje, cud niesłychany! wołając, gdy wszyscy wybiegłszy, nic nie widząc, zdumieni stali, zawołał: Czyż nie widzicie na niebie Najświętszej Panny w złotej koronie? Wszyscy widzieli tylko Księżyc otoczony mglistym kołem. Ojciec jednak rzucił się twarzą na śnieg, i dopiero na płacz żo-

Szkoły ówczesne, jak były przeciwne przeznaczeniu przyszłych obywateli, często nawet naturze ludzkiej, tak tem bardziej gnębić musiały wrodzone uczucia tego, który miał bydź śpiewakiem natury i prostoty. Pisanie wierszy i dowcipnych konceptów stylem najdziwaczniejszym, należało do głównych cierpień i mozołu młodzieży. Zadane Epigramma na herb jakowy; musieli uczniowie wypracować, pod dozorem nauczyciela, który wstrząsając smutnem szkolnem narzędziem, wołał na pocących się Poetów *acuminose! acuminose!* Gdy się z tych szkół *Karpiński* wydobył, gdy wolniejszy, piękną otoczony naturą, według własnych uczuć nad Homerem zastanawiać się począł, gdy się zapytał czemu pienia jego zachwycają choć szkolnym dowcipem nie błyszczą, położywszy rękę na sercu zawołał, *tu jest szkoła Poety!* i odtąd jedynie tej szkoły się trzymał.

Jednakże kończył szkoły Jezuickie we Lwowie, które wtenczas postać Akademji przybierać zaczęły. W czasie publicznej dysputy Doktorskiej zwrócił na siebie uwagę Arcybiskupa Sierakowskiego, który go równie jak Jezuici, do stanu duchownego nakłaniał.

Karpiński atoli zgodnie z wolą ojca, szukał szczęścia w Palestrze, lecz wnet przekonał się, jak mało prawnictwo jego powołaniem bydź mogło. Postanowiwszy swój zawód porzucić; znany już nieco z talentu, otrzymał od N. Augusta patent na Kapitana, którego tytułu potrzebował do podróży za granicę przedsięwziętej. Półtora roku pobytu za granicą, szczególniej w Wiedniu, poświęcił swobodnemu rozpatrywaniu się w świecie i dziełach szczególniej klassycznych.

Wabiły go jednak do zagród domowych, wszystkie uroki, jakiemi młodzieńcza imaginacya przyszłość naszą

---

ny i dzieci: na prośby czeladzi, dał się do domu wprowadzić. To zdarzenie tak zajęło dziecinne Karpińskiego serce, iż odtąd skłonny do dumania, do wyższego świata utęskniał i pismami religijnemi najwięcej się zajmował.

upięknia. Nęcił go do powrotu dom rodzielski, pierwsza miłość, rolnictwo i ojczyzna: na łonie tych przyjemności, wyobrażał sobie skromne, ale najprawdziwsze szczęście człowieka. Atoli, jak najczęściej bywa, los, wszystkie te piękne nadzieje zburzył. Z powrotem do kraju, utracił ojca, który przy bardzo szczupłym majątku nakazał mu na łożu śmiertelnem święcie się prawdy trzymać. Kochając, nie znalazł serca godnego swych uczuć; zamiast łan ojczysty uprawiać, po połach najętych tułać się musiał, nakoniec siedlisko jego rodzinne pod obce przeszło panowanie i było przepowiednią zguby całej ojczyzny. Przepowiednią tem smutniejszą, że naród ocucający się z letargu czuł smutną przyszłość i niemożność ratunku.

Zbieg takich wypadków w wieku zajętym najmilszemi nadziejami, sprawił mocne na umyśle *Karpińskiego* wrażenie, pozostała mu jedynie cieszycielka poezya, która istotne jego nieszczęścia tkliwemi marzeniami koiła, obudziły się wnim zarazem wyższe uczucia i czynność władz umysłowych. Nieszczęścia ojczyzny, wydają najlepszych obywatelów, tak jak nieszczęśliwa miłość najczulszych tworzyła poetów. Skromne imie *Karpińskiego* głośne bydź zaczęło między sąsiadami, sławili go wszyscy jako poetę, kochali jako dobrego ziomka. Zdziwili się i dawniejsi Polacy, jak potrafił śpiewać do ich serca ten, który w prostocie swojej, dalekim był od dziwacznego smaku, a który przed laty tyle popłacał.

Co raz głośniej rozchodziła się wieść o powszechnem dążeniu narodu, ku poprawie rządu i rozszerzeniu oświaty, o hojności dla nauk Króla a mianowicie Ks. Adama Czartoryskiego. Zapragnął i *Karpiński* szukać wyższej sławy i losu na wielkim świecie. Wydał pierwszy zbiór pism swoich we Lwowie, przypisany Księciu Jenerałowi Ziem Podolskich. Wspaniały ten Mecenas otworzył dla niego dom swój, ów przybytek światła i smaku, nadto zjednał mu wstęp do domów znaczniejszych, w których *Karpiński* coraz z talentu głośniejszy, zawsze mile był przyjmowany.

W krótce powołał go do Warszawy, gdzie, *Karpiń-*

ski jako sekretarz do czynności zagranicznych przy nim zostawał.

W 40 już roku życia pospieszał *Karpiński* do Stolicy, zajęty powtórnie nadziejami, lecz innemi wcale od tych, które go z zagranicy do ziemi ojczystej nęciły. W tym wieku męzkim, w którym miejsce uroków imaginacyi coraz więcej rzeczywistość zajmuje, odezwała się w nim żądza sławy obywatelskiej, i chęć zapewnienia sobie przytułku dla nadchodzącej starości. Była tedy właśnie pora, gdzie każdy myśleć i czuć umiejący, dobro ojczyzny za jedyny cel starań swoich obierał, i losu zasługom swoim odpowiedniego mógł się spodziewać.

Duch przez Konarskiego natchniony, coraz się świetniej rozszerzał. Szkoła rycerska, Towarzystwo Elementarne, domy sławnych obywatelstwem mężów, i dwór przystępny, wszystko objawiało jedno pocieszające dążenie, ku zgodzie wyobrażeń, oświeconej miłości ojczyzny, i ustalenia rządu, któryby zastarzały nieład i swawolą ukrócił, a nowoczesnych o wierze i społeczności wyobrażeń niedopuszczał. W tych czasach i *Karpiński* sielską swą lutnię do poważniejszych obywatelskich pieśni przestroił. Wtenczas, prócz mało znaczących pisemek politycznych wydał rozprawę o Rzeczypospolitej, rozprawę ważną na owe czasy o wymowie, i wyrzekł pochwałę Jana Sobieskiego, w obec znakomitych osób w Bibliotece Pijarskiej. Towarzyszył Księciu Adamowi na sądy Grodzieńskie, gdzie znaczniejsze swe Poezye pisał, a mianowicie *o wielkości Boga i głos zabitego do Sądu* z powodu sprawy Kaszyca *).

Ludzie światli i utalentowani, mieli wtenczas wszędzie szacunek i zachęcenie. Po domach Panów Polskich, miejsce dawnych biesiadników zajęli. Pomiędzy nczonymi panowała jedność i wzajemny szacunek. Młodzi nie gar-

*) Wiersz ten przez Deputata Kowieńskiego w miejscu sądowem złożony, wielkie sprawił wrażenie, i przeciągnieni na stronę Kaszyca, odmienili swe zdanie.

dzili starszymi, i ci wzajem, cieszyli się widząc nowe wzrastające talenta. Nieróżniły ich szkoły cudzoziemskie, ani krytyczne szermierstwa. Wszyscy u ołtarza ojczyzny jednym przejmowali się ogniem. Naruszewicz najbliższy wstęp do Króla mający, przedstawił mu *Karpińskiego*. Odtąd miał wstęp do dworu, i był uczestnikiem znanych czwartkowych obiadów. Najściślejsza atoli przyjaźń łączyła *Karpińskiego* z Kniaźninem i Zabłockim, których smak i czucie więcej do siebie zbliżały.

Karpiński postępując zawsze drogą prawdy i pracy, zajmował się po domach znakomitych kształceniem młodzieży, lecz nieumiejąc nigdy swego sposobu myślenia do obcej woli stosować, nie był w tym zawodzie szczęśliwy. Zbyt surowy w sądzeniu o życiu dworskiem, do którego z młodości nie przywykł, karcąc jawnie miękość i zbytki, tak przeciwne ówczesnemu stanowi narodu, chciał ziomków takiemi widzieć, jakich mu w wyobraźni miłość ojczyzny wystawiała. Zająwszy się kształceniem Księcia Romana Sanguszki, mimo wdania się Króla, w rok swój zawód porzucił. Omylony w nadziejach z jakiemi do stolicy pospieszał, wrócił do szczupłej rodzinnej zagrody w myśli, że z roli wygrzebie pewniejsze wyżywienie sobie i cierpiącej rodzinie. To pożegnanie wielkiego świata i zmiana życia, dało powód do znanej elegji, *Powrót z Warszawy na wieś*. Tkliwa ta Poezya zwróciła szczególniej uwagę przyjaciół *Karpińskiego*, Joachima Chreptowicza i Marcina Badeniego. Otrzymawszy od ostatniego sześcioletnią dzierżawę Suchodolin w Grodzieńskiem sprzedał dość znaczną swą bibliotekę domowi Potockich i ten sprzęt nieużyteczny jak ją nazywał, zamienił na rolnicze narzędzia. Zajęty rolą nie zapominał o ojczyznie: w tym czasie wydał pisemka, *o następstwie i wyborze Królów*, *o szczęściu człowieka w Towarzystwie*.

Atoli Król Stanisław August na nowo do Warszawy *Karpińskiego* powołał. Umówiwszy się z Księciem Maciejem Radziwiłłem, polecił mu wychowanie osieroconego Księcia Dominika, kilkudziesiąt milionów dziedzica. Posłuszeństwo Monarsze, i bardzo korzystne warunki, skło-

niły *Karpińskiego* do porzucenia wiejskiej zagrody. Przyjął na nowo obowiązki nauczyciela, przewidując, iż nie długo pełnić je będzie, zmuszony był bowiem nietylko czas, ale i swój sposób myślenia zupełnie zaprzedać. Przytem lat 50 już licząc, wzdychał do skromniejszej, byleby prędszej uchrony na starość. Rok tylko przy młodym Radziwile przebywszy, zdołał nakłonić Króla, iż mu dozwolił wrócić do pożądanej wolności.

Nakoniec, za wdaniem się znakomitych przyjaciół, otrzymał *Karpiński* przywilej na 50 letnie trzymanie dzierżawy Kraśnik w Powiecie Prużańskim. W prawdzie było to tylko puste pole, i miejsca podobne z łatwością na tyleż lat otrzymywał każdy, kto o to się podał. Atoli dla *Karpińskiego* znudzonego światem, było to prawdziwe dobrodziejstwo. Skromne życie zapewniało mu jeszcze długą starość, doświadczenie nauczyło go w ustroniu szczęście znajdować, przewidywany upadek ojczyzny, w roli tylko nieszczęśliwym synom pociechę wskazywał, wrodzona Poetom tęskność do wiejskich wczasów, chęć nakoniec dobrze czynienia kochanym zawsze od niego wieśniakom, oto były pobudki dla których ten wiejski zakątek, uważał jakby za port rodzinny po długiej i przykrej żegludze.

Odtąd blisko druga połowa życia *Karpińskiego*, poświęconą była jedynie rolnictwu i cnotom sąsiedzkim, które wprzód, tyle w poezyach swoich uwielbiał.

Zapomniał na dwór i świetną w ówczas stolicę, na gościnne domy Puław i Siedlec, połączony z wieśniakami, własnemi rękoma jął się do ciężkich prac uprawy ziemi. Na ziemi pustej nową założył osadę, i jak za czasów patryarchalnych, był jej rządcą, ojcem i prawodawcą. Osadę tę nazwał po swojem imieniu; cisnącym się do niego rolnikom z kluczów sąsiedzkich nadawał grunta czynszowe i pomoc do budowli i gospodarstwa. Przepisał dla nich ustawy, dążące do porządku, pracy i moralności, i coraz więcej przekonywał się z cnotliwym przyjacielem wieśniaków Chreptowiczem, że ludzkie obchodzenie się z niemi, ani ich psuje, ani Panu rządnemu uszczerbku przynosi. Mimo wielu dla wieśniaków dobrodziejstw, skrzętną oszczę-

dnością, tyle zebrał, iż po kilkunastu latach przykupił piękną majętność Chorowszczyznę: dokąd w wieku już podeszłym zupełnie się przeniósł. Tam równie błogosławili wieśniacy nowego Pana. Założył szkółkę, której najczęściej sam był nauczycielem, a do której o własnej pomocy przyjmował synów ubogich rodziców, podupadłej szlachty.

Gdy ledwo to szczęśliwe życie rozpoczął *Karpiński*, wybiła dla ojczyzny spodziewana ostatnia godzina: odtąd swą lutnię łzami oblaną, na zawsze na grobie Zygmunta złożył.

Odtąd z wieśniakami tylko dzielił zabawy i znoje, lubił ich pieśni i sam z niemi je śpiewał, a chwile samotne, poświęcał dziejom starożytnym i filozofji Platona.

Kiedy jednak w roku 1806 niespodziewana dla ojczyzny błysła nadzieja, wybrał się z zakątka swojego do długo niewidzianej stolicy na pierwszy sejm odrodzonych ziomków z pełną teką projektów. Nie dziw, że znalazł inny rząd i obyczaje, i że rady samotnego wieśniaka, tylko jako życzliwe chęci, przyjaciele chwalili *).

Zawsze jednak czuł najżywsze przywiązanie do wiecznej dla Polaków pamięci Cesarza ALEXANDRA I. któremu rozmowy Platona poświęcił, i od którego najdroższą dla niego pamiątkę, złotą tabakierę otrzymał.

Wiek późnej starości tak przepędził jak sobie życzyć może każdy cnotliwy.

Spoglądał na pola pracą jego w żyzne łany zmienione,

---

*) Gdy w tym czasie Karpiński granice Księstwa Warszawskiego przebywając, postrzegł na straży Polskiego Żołnierza, rozrzewniony tym widokiem, rzucił mu się na szyję. Żołnierz w prostocie swojej mało wchodząc w uniesienia Poety, żądał od niego paszportu. Karpiński podobno nawet go nie miał, a widząc żołnierza nalegającego zawołał: Oto widzisz łzy z oczu moich płynące, potem poznaj żem Polak, i puść mię. Oficer strażą dowodzący, któremu to doniesiono znał Karpińskiego ze sławy, i puścił bez trudności w granice odrodzonej ojczyzny, kochającego ją syna.

na chatki obdarzonych wieśniaków którzy z nim się razem starzeli: bezżenny otoczył się rodzeństwem, które winne mu było swą pomoc i przykrą mu starość słodziło. Szacowany od osób najznakomitszych, orzeźwiał się i cieszył słysząc młodzież dawne pieśni jego wyśpiewującą. W pociechach religijnych tę niepospolitą czuł słodycz że tkliwe pienia jego pobożne, lud prosty w Kościołkach i przy pracy rolniczej powtarzał. Sam rano i wieczor z gitarą w ręku do Kościołka odwrócony, starzec niknącym śpiewał już głosem z pod cienistego podwórza psalmy i pieśni swoje.

Zapewniwszy na łożu śmiertelnem, los rodzinie swojej, i znaczne ulgi włościanom, zakończył cnotliwe życie dnia 4 Września roku 1825. Pochowany na cmentarzu w Łystkowicach pomiędzy grobami kochanych swoich wieśniaków, gdzie lud pobożny błogosławi pamięci jego, i w uroczystych obchodach grób jego tłocząc, jego sercem i jego słowami pieśni do Boga wznosi. — Otóż kilkadziesiąt lat życia prawie zwyczajnego na świecie. Piękne młodości nadzieje, w samej wiośnie zniszczone, wysługi dla sławy zgryźliwe i płonne, najczystsze dla ojczyzny życzenia szalonem kołem fortuny zniweczone, w starości dopiero, tak żyć pragniemy, jakośmy byli zacząć powinni. Z własnej ziemi wydobyty posiłek, swobodne zacisze, dobre imie u sąsiadów, otóż szczęście prawdziwe i łatwe a po doświadczeniu tylko cenione.

Karpiński był wzrostu miernego, twarz oznaczała raczej uczciwego i pracowitego wieśniaka niżeli czułego poetę, i męża z wielkim światem obeznanego. W obcowaniu więcej wesoły niż dowcipny, pożądany był w gronie przyjaciół, mniej oznaczający się w salonach. Wśród zaufanych, miał tę serdeczną wesołość, dla której, każdy więcej go kochał, niżeli chwalił z dowcipu. Wstrzemięźliwy przez całe życie, w starości, aż do przesady skromne i regularne życie polubił. Poznawszy świat wielki, oddalił się od niego, nieprzeto, żeby go znienawidził, lecz że nie był do niego zdatny. Tkliwych uczuć nabył raczej przez czynne, udzielające się życie, niżeli przez samotne dumanie. Ztąd pienia jego pełne rzewnego czucia, dale-

OKRĘGOWA BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA

kie są od melancholji i pieściwości. Prawdę, mającą za cel ojczyznę i cnotę, kochał do tego stopnia, iż nawet na wielkim świecie nie mógł się nauczyć niezbędnej sztuki pokrywania swych myśli. W jednym zamożnym domu, znaczną mu ofiarowano pensyą, której nie przyjął. Gdy raz w tymże domu, uporczywie zdania swojego bronił, i gdy tę nieprzyzwoitość dano mu uczuć, odpowiedział: »Zapewnie, iż tak niemógłbym mówić, gdybym był przyjął pieniądze.« Stanisława Augusta, raz się o łaskę prosić ośmielił. Monarcha ten nie zawsze był w stanie działać według dobrych swych chęci, nawet w małych zdarzeniach. »Zawstydzasz mię rzekł Król, przypominając mi mój obowiązek, ja o tobie nigdy nie zapomnę.« *Karpiński* mówił, iż dotrzymał słowa, nieprzypominając się odtąd nigdy Królowi, który o nim pamiętać obiecał. W późnym już wieku, gdy prace swe poetyczne, już prawie za rzecz obcą uważał, lubił je słyszeć śpiewane, i wtenczas sam je odmawiał z pamięci. Nieprzyjaciel wszelkiego zbytku lubił gry, tańce i przyjacielskie biesiady. Od samej młodości był najwyższym czcicielem Religji.

Wiemy wszyscy, że naród przyznał *Karpińskiemu* tytuł *Poety serca*, nie łatwy zatem jest rozbiór dzieł jego, przy których więcej czuć, niż rozumować potrzeba. Są w nim piękności do każdego uczucia mówiące, lecz większa część jest takich, które tylko Polak prawdziwie pojmie. Ta tajemnica polega na dziwnej szczerocie języka, na uczuciach wyłącznie narodowi właściwych, na obrazach wszędzie jego obyczaje i ziemię wystawujących. Obok tych z narodu wyczerpanych własności, ma *Karpiński* wyłączny dar ich malowania. Najistotniejszą jego cechą, jak się trafnie jedna z znakomitych autorek wyraża, *jest dowcip serdeczny* trafiający razem do smaku i czucia, a do naśladowania niepodobny.

Między *Krasickim* i *Karpińskim* miała Polska kilku wyborniejszych Poetów, atoli po *Krasickim* jego najwięcej ceniła. Czém bowiem był pierwszy dla umysłu, tem był drugi dla serca. Tamten miał dowcip prawdziwie narodowy, ten czucie. Obadwaj w swoim zawodzie okazali

jednaką łatwość i prawdę, ztąd każdy *Krasickiego* pojmował, każdy czuć umiał z *Karpińskim*. Nigdy pierwszy nie rozśmieszył bez skutku, ani drugi bez wrażenia cnoty rozrzewnił. Zdrowy i pogodny umysł jednego, czyste i łagodne uczucia drugiego, wystawują obraz smaku i charakteru narodu.

Poezye *Karpińskiego* trudne do rozgatunkowania według przepisów, ogólnie na trzy części rozłożyć się dają: na pienia miłosne, obywatelskie i religijne. Wszystkie tchną duchem Elegicznym i sielskim. Pierwsze był winien swoim i narodu okolicznościom, drugie powszechnemu smakowi Polaków i wszystkich Sławian. Ztąd młodzieniec który jego pieśni miłosne nucił, z nim razem opłakując stratę ojczyzny, składał szablę na grobie Zygmunta, z nim nakoniec wznosił pieśni pobożne do Pana i Sędziego wszystkich narodów. Te trzy najpiękniejsze uczucia, tak są w pieniach *Karpińskiego*, rzewne, łagodne i czyste, że zgodnie jedne przez drugie wspierać się zdają, że niepodobna razem się niemi nie przejąć. Tchną pienia jego smutkiem, lecz tak łagodnym i pociągającym, jaki nas często zajmuje w oczach tchnących dobrocią i niewinnością. Dalekim jest od pieściwości, od owych szukanych obłędnych uczuć i marzeń próżniaczych, od owego tak dziś modnego rozbratu z sobą samym i z ludźmi. Owa pieściwość, i nadzwyczajność uczuć, nie jest to owoc czerstwej natury i łagodnej Chrześcijaństwa pogody. Szukane i przesadzone czucie, tak jest sercu przeciwne jak fałszywy dowcip smakowi, jak rozumowi sofizmata, albo marzenia obłędne. Zewnętrzna postać Poezyi *Karpińskiego*, odpowiada jej duszy. Szczerość i pełne życie widać w jej oczach. Ujmująca bez sztuki, i samem zaniedbaniem powabna. Uczucie władało jego imaginacyą, która mu zawsze w porę stosownych dostarcza obrazów. Ztąd to owa rzadka, obca prawie innym poetom sztuka nadawania pomysłom i uczuciom, żywych postaci; a co w innym Poecie wyszukaneby było, w nim naturalne się zdaje. Sielanki *Karpińskiego* najwięcej chwalone były; one zjednały mu tytuł Poety serca. Jednakże ośmielam się wy-

znać, że według mnie, mało odpowiadają własnościom Idylli; wystawiać pasterzy samemi miłostkami zajętych, nadawać im rozpieszczone i często nudno-słodkie sentymenta, nie jest to malować ludzi szczęśliwych według stanu natury. Dla tego sielanki *Karpińskiego*, prędzej mogą nosić imie sielskich Elegji, tak jak we Francuzkim języku Idylle Pani *Deshoullier*. Większa część sielanek jego przypomina dawny smak poetyczny we Francyi, gdy w poezyi ministrowie i księżne pod postaciami pasterzów występowali.

W sielance Dafne i Korydon czytamy proste i serdeczne wyrazy pasterza:

W tej okolicy, skądeś tu przybyła,
Może piękniejszych pasterzów jest siła,
Może ci piękniej miłość opisują,
Ale jej nigdy tak mocno nie czują.
Nam tu niewinną żyjącym prostotą
Wierność miłością, a miłość jest cnotą.
Tu kiedy pasterz powie, żeś mu miła,
Już z tem i umrze choćbyś go zdradziła.

Lecz jakże niechętnie widzimy następujące zakończenie:

Chciała coś Dafne mówić o miłości,
Ale Korydon zemdlał od żałości.

Lub np. w sielance do przyjaciół po rozstaniu się z Rozyną.

Rozyna moje zabrała wesele,
Samego siebie nie czuję....
Filon! połóż mi twą rękę na głowie,
Klitus niech piersi pilnuje:
Może się waszym uściskiem uzdrowię,
Może mi boleść zfolguje.

Tę wadę wyjąwszy, która jest owocem zbyt młodych lat Karpińskiego, gdyż od sielanek zaczął poetyczny swój zawód, ileż znajdziemy w nich prawdziwie serdecznych

uczuć! Któż nie umie na pamięć *pożegnania Lindory w górach*, i najpiękniejszej z jego sielanek *Laura i Filon*, która mimo swojej długości, dawniej w każdym niemal domu śpiewaną była.

W pismach w lekkim rodzaju, żaden mu jeszcze z Poetów naszych nie wyrównał. Każde składa porządną całość, wysłowienie łagodne i proste, tudzież wylanie jednego czucia, co też właśnie powinno bydź cechą wszystkich do śpiewu przeznaczonych Poezyi. W tym rodzaju Poezyi wyrównał *Karpiński Goethemu*, który w lekkich swych pieśniach okazuje coś prawdziwie Sławiańskiego, tak że i w późniejszym wieku poznawszy Poezye ludów Sławiańskich, po Herderze najwięcej cenić je umiał.

W pieśniach wyższego rzędu mniej jest *Karpiński* szczęśliwy, gdyż zawsze czucie przewyższa w nim imaginacyą. Muza jego jest mieszkanką dolin, gajów słowiczych, dumającą nad strumykiem spokojnie płynącym, nie dla niej są wzniosłe siedliska orłów, i głos jej słabieje przy gór huczącym potoku. To okazuje szczególniej jego przekład psalmów Dawida, i własne jego pieśni pobożne. Przerobił on tylko psalmy przez *Kochanowskiego* przełożone, i więcej je do śpiewu zastósował; atoli mniej daleko, niż Kochanowski przejąć się zdołał Dawidem tam, gdzie tenże wzniosłe wystawia obrazy; tam tylko, gdzie łagodne obrazy i spokojne Psalmista uczucia maluje, oddał go należycie, i często *Kochanowskiemu* wyrównał. W własnych pieśniach pobożnych, odstąpił *Karpiński* zupełnie od wzorów Psalmisty i poszedł drogą dla siebie właściwszą. Dawid śpiewał jako król, łączący w sobie razem najwyższą władzę kapłańską, miotany uczuciami, jako ten który z prostego pasterza królem zostawszy, na tronie dziwnych wyroków opatrzności doświadczał, psalmy jego są zupełnie indywidualne, śpiewał sam od siebie, lub tylko w imieniu swojego ludu. *Karpiński* mięsza się z prostemi pasterzami i rolnikami, z niemi razem jak z dziećmi rzewne modły do BOGA zanosi. Nie wystawia BOGA gromiącego piorunami nieprzyjaciół ojczyzny, lecz maluje go pod postacią ojca czuwającego nad życiem ro-

dzinnem i pracą rolniczą. Te obrazy z rzewną prostotą oddane, więcej często ujmują, niżeli poetyczne opisy potęgi BOGA, przed którą w pojęciu naszem imaginacya najwznioślejsza jest tylko dziecinną igraszką.

Elegie *Karpińskiego Powrót na wieś*, i *żale Sarmaty na grobie Zygmunta*, należą do najpiękniejszych tego rodzaju poezyi w polskim języku.

Poema *Ogrody* przełożone z *Delilla*, mniej może właściwe były smakowi *Karpińskiego*, i pracę tę wykonał nie z własnego natchnienia. Tłumaczenie prozą miejsc tych, w których *Delille* prawidła sztuki ogrodniczej podaje, lubo jak sądzono, dowodzi smaku pisarza w ocenianiu miejsc piękniejszych, jednakże nie zdaje mi się stósowne, gdy właśnie *nauka* wierszem oddana, jest głównym celem tego rodzaju poezyi, ażeby prawidła za pomocą wiersza, przyjemniejszemi i łatwiejszemi uczynić. W ogólności wiersze przeplatane prozą, są według mnie nadużyciem sztuki, i dzieła podobnie pisane nigdy stałej wziętości nie miały. Listy *Krasickiego* w ten sposób pisane, należą do najsłabszych płodów tego Poety, i do nieszczęśliwszych zabytków naśladowania Francuzczyzny.

Mniej pomyślnie doświadczał *Karpiński* sił swoich w zawodzie drammatycznym. Trajedya Bolesław III. nie może wytrzymać sądu krytyki i nigdy na scenie wystawioną nie była. Są jednak i tu miejsca zdradzające smak i uczucia *Karpińskiego*, jak np. scena następująca:

Judyta nagle wchodząc:

O królu! zginęliśmy! bo już może zginął,

Władysław.

Kto zginął?

Judyta.

Twoja w życiu nadzieja jedyna

Władysław.

Przebóg! Syn mój Bolesław?

Judyta.

Ratuj twego syna
Zbilud, Zema, Odolon, nań się umówili.

Władysław.

Boże! cóż on im winien? Wszebor daj mi zbroję,
Szablę, konia, ratować pójdę dziecię moję....

Wszebor.

Zatrzymaj się Panie.
W tym wieku, co mi tylko krwi jeszcze zostanie,
Czyż ją godniej przeleję jak za twego syna?

Judyta.

Daruj Wszeborze! lat twych nie serca to wina
Ze sprawy, tak pięknego potrzebnej obrotu
Ty nie możesz się podjąć.

Władysław.

Przebóg o co tu
Kłócić kogo, jam ojciec.

Judyta.

Na myśl mi przypada,
Dzielny Przecław, niech na koń jak najrychlej siada,
On był zawsze królowi najwięcej przychylny.

Władysław.

Stójcie! on nie miał dzieci!

W pismach prozą pisanych, maluje się cnotliwe serce *Karpińskiego*, polszczyzna czysta, lubo nie wszędzie wygładzona, wszędzie czucie pióru jego przewodniczy. Z tych pism najcelniejsze są *rozmowy Platona z uczniami*, i godne powszechnego czytania, zwłaszcza, gdy Literatura nasza tak jest ubogą w pisma należące do moralnej Filozofji.

W ogólności *Poezye Karpińskiego*, są tylko owocem jego serca, dalekie od genialnych pomysłów, i wydoskonalenia sztuki. Tylko pieśni jego i niektóre sielanki, zjednały mu powszechne zamiłowanie w narodzie i przez nie żyć będzie. To zamiłowanie w prostych i serdecznych pieniach *Karpińskiego*, jest wskazówką smaku narodowego, który kiedyś przez sztukę wydoskonalony, genialnemi utworami wzniesiony, zdolny będzie osiągnąć najwyższy zaszczyt i cel ostateczny Poezyi, to jest wpajanie czystych i łagodnych uczuć. — Uczucia Polaków ich ziemi odpowiadać się zdają. Ich ziemia nie ma wulkanów tak jak ich serce wielkich namiętności. Więcej wesoła niżeli ponuro-wzniosła, żywi synów więcej skłonnych do wesołości i uczuć łagodnych, niżeli do burzliwych namiętności i marzeń posępnych. Nawzajem uboga w miękkie złoto, płodna jest w żelazo godło męztwa i pracy rolniczej. Nie zbyt obfita chroni od wschodniej miękkości, wdzięczna pracy rolnika, nie nabawia go egoizmem kupiectwa. Dla tego nowa szkoła poezyi za granicą z przesycenia zamiłowana i do czasu popłacająca, nie zaszczepi u Polaków powszechnie smaku do przesadzonych i szukanych exaltacyi, i do wzbudzania gwałtownych namiętności, tak jak niedorzecznie chcianoby teraz stawiać na ich płaszczyznach dawne zamki gotyckie, owe zabytki dziwacznego smaku i zepsutego stanu społeczeństwa.

Jak rolnictwo jest zasadą cywilizacyi, tak poezya idylliczna w prawdziwem tego słowa znaczeniu, to jest malująca uczucia ludzi blisko natury żyjących, jest podstawą prawdziwego smaku wszelkiej poezyi. Na tej zasadzie posunęli się Grecy w sztukach do najwyższego stopnia sztuki. Patryarchalne rolnicze życie ich rycerzów i mędrców przelało nawet na wieki najświetniejsze, ową prostotę i skromność poezyi, której teraźniejsze cywilizowane ludy prawie tajemnicę straciły.

Dziwić się należy, że wielu średnie wieki z czasami bohatyrskiemi Greków chce równać. Mogły sobie bydź podobne, co do uczuć bohaterskich, co do wyobrażeń ciemnym wiekom właściwych, lecz bynajmniej w tem, w

czem zwykle brak cywilizacyi nadgradzany bywa uczuciem i obyczajami do natury zbliżonemi. W średnich wiekach równie znieważone było rolnictwo, jak pogardzone cnoty. Wśród zepsucia miast, szału możnych, był to stan wynaturzonego społeczeństwa, uderzający heroizm był raczej owocem imaginacyi, niżeli czerstwych uczuć, tej samej imaginacyi, która tak często i zdrowy rozum i święte uczucia deptać kazała. Na próżno więc szukać w tych czasach poezyi żywiołu, mogą one dostarczyć obrazów rzadkich i zadziwiających, ale z czystem zdrowem uczuciem, nic nie mają spólnego. Ztąd bezrząd imaginacyi, przesadzone uczucia, popęd ku dziwaczności, tak poetami wielbiącemi te czasy, jak niegdyś ich bohatyrami zawładnął.

Pomimo wielu swych błędów daleką była Polska od tego stanu. Była zawsze narodem rolniczym, umiarkowanym i pogodnym, zawsze więcej do prostoty obyczajów zbliżonym. Śmiało powiedzieć można, że ludy Sławiańskie, tyle w pierwiastkach swoich do Greków zbliżone, i dotąd bliżej natury żyjące, najłatwiej powtórzyć mogą dawny prosty i szlachetny smak grecki zasadami Chrześcijańskiemi wzniesiony. Może mniej wydadzą geniuszów na chwilę zadziwiających, które jak wulkan, krótko ognistemi wybuchy jaśniejąc, wnet dym tylko wydają: lecz za to ich muzy dążyć będą do wpajania łagodnych uczuć, rolniczemu ludowi właściwych, a które cywilizacyi ostatecznym są celem.

Dla tego chociaż może mniej świetne płody *Kochanowskich, Karpińskich,* niech będą wskazówką dążeń smaku narodowego.

Karpiński przeto najwięcej na pamięć zasłużył, że pierwszy przez wiek cały od natury oddalonych Polaków, do niej powrócił, i oby na zawsze przywiązał.

Tem uczuciem przejęci, ogłosili przyjaciele jego Muzy życzenie, aby mu w Warszawie pamiątka poświęconą została. Nie przeczę, iż są znakomitsi mężowie, którym ta cześć dawno się należy: jednakże, skromna pamiątka w ustroniu którego ogrodu stolicy, *Karpińskiemu* poświę-

cona, będzie chlubnem dla jej mieszkańców świadectwem, że prostotę i skromne cnoty szanują. Będzie to pociechą serc czystych, że rolniczego narodu stolica, wśród postępu oświaty i smaku, czci pamięć tego, którego pienia po wiejskich kościołach i po chatach lud prosty powtarza. Oby ten pomnik był wróżbą zachowania prostoty obyczajów, i smaku nieskażonego.

SIELANKI.

Α Β Γ Δ Ε Ζ Η Θ

DO

JAŚNIE OŚWIECONEGO KSIĘCIA JMCI

ADAMA CZARTORYSKIEGO

GENERAŁA ZIEM PODOLSKICH,

ORDERÓW ORŁA BIAŁEGO, Ś. STANISŁAWA I Ś. JĘDRZEJA KAWALERA.

Cnota jednajest, Jaśnie Oświecony Książe, która na ziemi uszanowanie i ofiary odbierać by powinna; ale często gdzieby najpotrzebniejszą była, tam ją znaleźć najtrudniej. Drogie jej nasienie na gór wierzchołkach z ciężkością się przyjmuje; bo wiatry gwałtowniejsze wyniosą je: ani przy bitych gościńcach; bo pyły przechodzącego tłumu uduszą je; lubi niziny i ustronia, gdzie chociaż je zdybać najłatwiej, szukać go przecię nie chcemy.

Złoto tak blaskiem swoim połudziło oczy ludzi, że zapominając na dziedziczne cnoty panowanie, zuchwale ją z tronu zrzuciwszy, bogactwo na miejscu jej posadzili. Złoty ten bałwan, prawie powszechnie odbiera ofiary swoje; wtenczas, kiedy jak powierzchowność, tak mózg i serce jego z twardego są metalu.

Ofiarując zebrane Zabawki moje Jaśnie Oświeconej Waszej Książęcej Mości, trafiam szczęśliwie na cnotę w najwyższym stopniu, z wiadomością rzeczy najdoskonalszą, i z urodzeniem najwyższem połączoną. Jeżeli nie masz małości, tylko przez porównanie do rzeczy większej; dzieło to moje, które na pisma wieku naszego dość drobne było, zdaje mi się teraz, że prawie niczem jest, porównane z wielkością tego, który ofiarę ma odbierać.

Obywatele Ateńscy, według możności swojej Sokratesowi dary oddawają: Eschines tylko powiedział: ja (mówi) Sokratesie, ubogi jestem; i w tem ubóstwo moje najwięcej mię dolega, że niczego dać ci nie mogę, coby przynajmniej cokolwiek wielkości twojej wyrównało. Skończył Eschines, siebie samego Sokratesowi oddając. Tak i ja kończę.

J. O. W. Kscej Mci.

najniższy sługa
Franciszek Karpiński.

SIELANEK

KSIĘGA JEDNA.

SIELANKA I.

Do Justyny, o wdzięczności.

Dokąd płyniesz, rzeczko mała!
Niesiesz dań królowi twemu,
Wodyś od morza dostała,
Wracasz ją morzu swojemu.

Nic cię w biegu nie zatrzyma,
Ni drzewo, ni brzeg zielony,
Justyna z swemi oczyma,
Ni Koryla flet uczony.

Justyno! patrz, ta smereka
Jak bardzo w górę się wspina!
Mniemasz, od ziemi daleka,
Że już o niej zapomina?

Spuszcza jej swoje nasienie,
Ztąd ją młodzieżą okrywa;
I za samo wyżywienie,
Stem darów jeden dar zbywa.

Bydź wdzięczną, ty nie znasz tego,
W twym uporze nieodmienna.
Nie życzęć ja ci nic złego;
Aleś jest sroga, kamienna.

Może me zasługi małe,
Nie warte twojej wdzięczności;
Ale to serce zbolałe
Warte całej twej litości.

Kiedyś cię ktoś spyta z boku,
A gdzież jest to dobre chłopię?
A ja w tym wdzięcznym potoku
Już się natenczas utopię.

SIELANKA II.

Pożegnanie z Lindorą w górach.

Pójdźmy na koniec smutnego Kluczowa,
Tam ją wśród łąki będziemy żegnali;
I choć przed okiem naszem las ją schowa,
My jeszcze za nią będziemy wołali:
Lindoro! cóżeś zrobiła?
Sierotyś nas zostawiła.

Rzeczko ty mała! w które tylko kraje
Popłyniesz, wszędzie powiadaj po drodze:
Że już Lindora z nami się rozstaje.
Bądź świadkiem, jak jej żałujemy srodze.
Lindoro! cóżeś zrobiła?
Sierotyś nas zostawiła.

Powiedzcie lasy, i wy góry dawne,
Czy piękniejszego co w tych stronach było?
Jak wy będziecie odtąd z tego sławne!
Lecz jak się prędko światło wasze skryło!
Lindoro! cóżeś zrobiła?
Sierotyś nas zostawiła.

Wieśniak swym małym dzieciom kiedyś powie:
Dziatki! Lindory wyście nie widzieli:
Piękna, jak wiosna, i czerstwa, jak zdrowie:
Biała, jak ten śnieg, co się w górach bieli.
Lindoro! cóżeś zrobiła?
Sierotyś nas zostawiła.

Pasterze trzody swoje porzucali,
Żeby ją widzieć: a harde z pięknego
Ciała pasterki, twarz swą zasłaniały.
Dziatki, ciężkoż wam widzieć co równego!
Lindoro! cóżeś zrobiła?
Sierotyś nas zostawiła.

Już ponad rzeczkę nie będziesz chodziła,
I bielszej nogi nikt w niej nie umyje!
Oko wesołe, usta i twarz miła,
Wszystko się z twoim oddaleniem kryje.
Lindoro! cóżeś zrobiła?
Sierotyś nas zostawiła.

Nie masz Lindory! czegoż tu czekamy?
Rozbiegnijmy się w różne gór tych strony.
Co nam po wszystkiem? Lindory nie mamy.
Został nam po niej żal nieutulony.
Lindoro! cóżeś zrobiła?
Sierotyś nas zostawiła.

SIELANKA III.

Do Justyny. Tęskność na wiosnę.

Już tyle razy słońce wracało,
I blaskiem swoim dzień szczyci:
A memu światłu cóż to się stało,
Że mi dotychczas nie świeci?

Już się i zboże do góry wzbiło,
I ledwie nie kłos chce wydać.
Całe się pole zazieleniło;
Mojej pszenicy nie widać!

Już słowik w sadzie zaczął swe pieśni,
Gaj mu się cały odzywa.
Kłócą powietrze ptaszkowie leśni;
A mój mi ptaszek nie śpiewa!

Już tyle kwiatów ziemia wydała
Po onegdajszej powodzi:
W różne się barwy łąka przybrała;
A mój mi kwiatek nie schodzi!

O wiosno! pókiż będę cię prosił,
Gospodarz zewsząd stroskany?
Jużem dość ziemię łzami urosił.
Wróć mi urodzaj kochany.

SIELANKA IV.

Rozstanie się Medona.

Rzucając trzodę i dawne koszary,
Zrażony Medon w insze brał się kraje:
Napróżno mu to Filon ganił stary;
On sobie mówić i słowa nie daje.

Uparł się; znowu radby się odmienił:
Często się tędy obejrzy nieznacznie,
Gdzie się Palmiry piękny sad zielenił.
Nareszcie usiadł, i tak śpiewać zacznie:

Ona tam może ze mnie się naśmiewa,
I te łzy wierne dzieciństwem nazywa;
Albo ten żal mój sądzi za zmyślony.
Już, mówi, poszedł Medon naprzykrzony.
Palmiro! ja się nie wrócę,
Ciebie więcej nie zasmucę.

Wśród pięknych nocy czasem mi kazała
Śpiewać: jam śpiewał, chociaż już i spała.
Tym sobie słodząc, gdy mi się przykrzyło;
Jak się obudzi, będzie jej to miło!
Palmira się obudziła,
I wdzięczna mi tego była.

Po wiele razy za jej zgubionemi
Owcami biegłem przepaściami temi:
A ona tylko z góry tej patrzyła,
I owca jej się ze mną powróciła.
Palmira w rączki zapleszcze:
Medon, szukaj jednej jeszcze.

Raz ją widziałem, jak przy źródle piła,
I śliczną swoję nogę ubłociła.
Nazajutrz kwiatem brzeg cały usłany,
Tam, gdzie białemi klękała kolany.
Palmira mię słodko wspomnie:
Medon i tu myślił o mnie.

A w tenczas, kiedy biegła przestraszona,
Co ją był napadł zły pies Palemona;
Ja za psem goniąc nogę poraziłem,
A potem, jak się z sąsiadem kłóciłem!
Palmira mi wśród swej trwogi,
Przykładała ślaz do nogi.

Ale się ona dzisiaj odmieniła!
Kiedym jej śpiewał, to sobie przykrzyła.
Przezemnie jej się owce rozproszyły:
W kwiatach przy źródle, mówi, kolce były.
Palmira, (o Boże żywy!)
Wyrzuca mi, żem kłótliwy.

W dalekiej jakiej żyć będę krainie,
Gdzie już Palmiry biała twarz nie słynie:
Tam smutno chodząc, dam przykład każdemu,
Jak mało wierzyć sercu kobiecemu.
Palmiro! swojeś zrobiła:
Jam zginął, a tyś zdradziła.

A gdyby ona jeszcze to poznała,
I mnie do dawnych łask przypuścić chciała.
Medonie!.... próżna nadzieja odmiany;
Jej wyrok zawsze był nieodwołany.
Palmiro! i za cóż jeszcze
Kocham cię? i za cóż jeszcze?....

Tak śpiewał Medon, łza mu z oczu płynie:
Ledwie się podniósł, ledwie że się czuje,
Na tej, pod którą spoczywał, buczynie,
Tak swój żal ciężki krótko opisuje.

Drzewo to mijaj, siekiero!
Tu rozstając się z Palmirą
Łzami Medon wylanemi
Poświęcił je mojemi.
Jeźli z kochających jaki
Na te kiedy trafisz ślaki;
A także w swojej miłości,
Kochałeś bez wzajemności:
Odnów, dla wieku późnego
To pismo kompana twego.
A ty, o drzewo kochane!
Drzewem łez będziesz nazwane.

SIELANKA V.

Do Justyny o stateczności.

Otóż mój pies powraca do dawnego pana!
Obroża na nim strzaskana;
I kawałek łańcucha, którym był więziony,
Przyniósł z sobą zbyt schudzony.
Wszakżeś tam miał wygodę, żywił cię dom cały,
Mój ty poczciwy psie biały!

Przecię schudł; całeby mu porachował krzyże,
Patrz, on mi rękę liże.
Justyno! ten pies mię wzrusza,
W tobie jakaś twarda dusza;
Moję stateczność tak dawną
Zbywa oziębłością jawną.

Sama Dorys onegdy, gdybyś to wiedziała,
Jak mi się oświadczała!
Ona z żalem nademną często mi wspomina:
Nie kocha cię Justyna!
Porzuć tę niewdzięcznicę. — I płakać zaczęła.
Mnie także żałość zdjęła.
Chociem płakał dla ciebie; ona się cieszyła.
Żal mi jej, że się myliła.
Wszystko mi obiecywała,
Żeby mię jak oderwała.
Słaba to zasadzka była:
Rozpusta, sidła stawiła.

Bogaty Akast rad mię w swym domu przyjmuje;
Co mi nie obiecuje?
Z jednego z nim puharu piję; jedna stawa
Przed nim i mną potrawa.
Wraz z nim chodzę, wraz sypiam: ja go jeden bawię,
Nocy z nim tęskne trawię.

Nie ma nic tak drogiego, coby mię znęciło:
Z tobą mi bardziej miło!
Sto inszych za ciebie daję:
Ja zawsze przy tym obstaję:
Akaście! niechże ja zginę,
Nie masz nad moję Justynę.

Filon, ów mój przyjaciel, ów mój doświadczony,
Raz mię pytał strwożony:
Czego tak smutny chodzisz? i za jaką stratą
Nudzisz? Jam westchnął na to.
Nie jesz, mówił, nie sypiasz: ej! czy nie Justyna
Tego smutku przyczyna?
Płakać potrzeba było; ja czczym śmiechem zbyłem.
Przyjaciela zdradziłem!
Otóż mi radził doktory,
W tenczas, gdym dla ciebie chory:
O żadne leki nie stoję,
Justyno! ty zdrowie moje.

Cóż jest? żeś nieużyta na przeciąg tak długi
Mojej wiernej zasługi!
Często sobie mówiłem: biedny Korydonie!
Lżej ci będzie na stronie.
Porzuć, kiedy niewdzięczna. Potem żal mi było
Lat, co się przepędziło.

Żal i ciebie porzucić. Cóż zrobię stroskany!
Tylko czekać odmiany.
Justyno! pies mój powrócił:
Nie darmo się biedny smucił.
Jego stateczność mię wzrusza.
W tobie jednej twarda dusza.

SIELANKA VI.

Do Motyla.

O jakież skrzydełka jego,
Barwa błękitna z różowym
Na głowie coś zielonego,
A sam w pancerzu stalowym.

Motylu, piękny Motylu!
Ja ciebie dziś złapać muszę.
Tylko stanę przy tym dylu,
Złapię; gałązki nie ruszę.

Do mojej miłej Justyny
Poniosę cię z skwapliwością.
Mój ty, Motylu jedyny,
Z jakąż cię przyjmie radością!

Ona ci porobi klatki:
Majem cię wkoło osłoni.
Każe zbierać różne kwiatki:
Jeść będziesz z jej białej dłoni.

Żeby ci tęskno nie było,
Ja szukać drugiego będę;
Jeźli wam tak w parze miło,
Jak ja z Justyną, gdy siędę.

Nie bój się śmierci z jej ręki:
Żyj, póki zechcesz na świecie.
Ona nie patrzy bez męki,
Choć brzydką muchę kto gniecie.

Oh! on poleciał w gęstwiny!
Nie złapię... próżno się kłócę.
Z czemże do mojej Justyny,
Z czemże ja z pola powrócę?

SIELANKA VII.

Do Skowronka.

Skowronku! cóż cię tak rano zbudziło?
Do wschodu słońca ma bydź jeszcze wiele.
Ja spać nie mogę, bo mi żyć nie miło:
Ale co ciebie budzi w twym popiele?

Nie śpię, że moja przy mnie nie nocuje:
A ty, że twoja przy tobie spoczywa.
Równo nas szczęście i smutek kosztuje:
Tylko twój niewczas słodkim się nazywa.

Jakże się w górę coraz wyżej wznosi,
Zostawiwszy swą samicę wśród roli!
Niby ją łaje, niby o coś prosi;
Niby się smuci, i niby swywoli.

On zawsze z rana swej kochance śpiewa;
Ona się cieszy, jak nad nią wzlatuje.
Czasem nad głosem jego się zdumiewa,
A czasem sama coś mu potakuje.

Jego gorętszych pora pewnie była
Miłości, co nim tak w górę rzuciły:
Która, kiedy go razem wyniszczyła,
Równo ku ziemi upada bez siły.

Nikt nie opowie żal nieutulony
Patrzącej na to smutnej jego pary.
Jakaż pociecha, kiedy otrzeźwiony
Znalazł się blisko swej kochanki szarej.

Skowronku! ja cię mam za szczęśliwego,
Skuteczne leki masz na pogotowiu.
Mnie nic podobno nie zleczy chorego:
Zazdroszczę twojej słabości i zdrowiu.

SIELANKA VIII.

Korydon.

Łąko zielona! nie zwabisz mię więcej,
Ani pieszczony przedtem głos ptaszęcy,
Ani, swym słodkim szumem głaszcząc uszy,
Strumień mię wzruszy.

Wszystko to z dawną wolnością mi ginie.
Strumień dziś tylko smutno mrucząc płynie:
Sama okropność po łąkach przebywa:
Jęcząc ptak śpiewa!

Palmiro! wróć mi pierwszą wolność moję;
Albo weź życie, o które nie stoję.
Jesteś niewdzięczna, choć wiesz, że cię lubię.
Ot... ja się zgubię.

Kiedy to mówiąc, rozpacz już go brała;
Wszystkiego tego Palmira słuchała,
Ukryta w krzaku, razem cała zbladła:
Bieży, i padła.

Nie gub się, rzekła, mnie żyć z tobą miło!
Ja miałam miłość, śmiałości nie było.
Pozwólcie czasem bronić się płci naszej
Odwadze waszej.

Kiedy ostatnich słów tych domawiała;
Okropna przedtem łąka odmłodniała,
Róża się razem rozwija, ptak wkoło
Śpiewa wesoło.

SIELANKA IX.

Korydon szczęśliwy, myśl z Katulla.

Tu, tu, Palmiro! na tej murawie
Słodkich ust twoich dasz mi całować:
Tu razem będziem, w miłej zabawie,
Pocałowania nasze rachować.

Pocałuję cię naprzód tysiąc razy
I potem zaraz razy sto tysięcy.
Słodka Palmiro! Palmiro bez zmazy,
Pocałowania wartaś jeszcze więcej.

Ale nic nie mów, choćby cię kto badał,
Pocałowania żeć tyle rachuję;
Ażeby człowiek złośliwy nie gadał,
Że się Palmira tak wiele całuje.

SIELANKA X.

Korydon smutny, na śmierć Palmiry.

Korydon dopadł pożądanej ciszy,
W której go tylko zwierz lasowy słyszy.
Tam flet o drzewo tłucze: z nóg się wali,
I tak się żali.

Już ja grać więcej nie będę na tobie,
Moję Palmirę położywszy w grobie!
Już z nią na chłodzie pod sosną nie siędę:
Grać jej nie będę.

Niech tam wilk srogi dusi moje trzody,
Niech pije, kto chce, mym kuszem do wody;
Nie masz Palmiry, co wraz zemną piła,
Gdy spieka była.

Płacz, mój psie wierny, ona cię lubiła,
Ona cię serem i mlekiem karmiła:
Ty teraz zdechniesz z głodu, mnie z żałości
Wyschną te kości.

Przyjdźcie, Pasterki, z okolicy całej!
Na grób jej kwiaty będziecie rzucały,
I chodząc wkoło zimnej jej mogiły
Tę pieśń nuciły:

»Palmiro! pewnie ty nie czujesz tego,
»Jak bolejemy z rozłączenia twego!
»Ni Korydonem twym się nie turbujesz,
»Ty nic nie czujesz!

»Wczoraś tak miło na nas poglądała,
»A dziś, jakbyś to nigdy nas nie znała:
»Zimno u siebie twe siostry przyjmujesz,
»Ty nic nie czujesz!

»Któż między nami jaką zrobi sprawę?
»Kto nam na wiosnę powydziela trawę?
»Kto zgadnie, wiele owce mleka dały
»Na wydój cały?

»Nieśmyż, w ostatnie góry i niziny,
»Smutne sieroctwa naszego nowiny.
»Niech skała skale podaje żal szczery
»Z straty Palmiry.«

Tak jej śpiewajcie. A ja kamień biały
Położę na jej grobie; i ten mały
Sam swoją ręką nagrobek wyznaczę:
»Tu swej Palmiry Korydon płacze!«

SIELANKA XI.

Laura i Filon.

Laura.

Już miesiąc zeszedł, psy się uśpiły,
I coś tam klaszcze za borem.
Pewnie mnie czeka mój Filon miły,
Pod umówionym jaworem.

Nie będę sobie warkocz trefiła,
Tylko włos związę splątany:
Bobym się bardziej jeszcze spóźniła,
A mój tam tęskni kochany.

Wezmę z koszykiem maliny moje,
I tę pleciankę różową:
Maliny będziem jedli oboje;
Wieniec mu włożę na głowę.

Prowadź mię teraz miłości śmiała:
Gdybyś mi skrzydła przypięła!
Żebym najprędzej bór przeleciała,
Potem Filona ścisnęła.

Oto już jawor.... Nie masz miłego!
Widzę, że jestem zdradzona!
On z przywiązania żartuje mego;
Kocham zmiennika Filona.

Pewnie on teraz koło bogini
Swej czarnobrewki Dorydy:
Rozrywkę sobie okrutną czyni,
Kosztem mej hańby i biedy.

Pewnie jej mówi: że obłądzona
Wpieram się w drzewa i bory,
I zamiast jego białego łona,
Ściskam nieczułe jawory.

Filonie! w tenczas kiedym nie znała
Jeszcze miłości szalonej:
Pierwszy razem ją w twoich zdybała
Oczach, i w mowie pieszczonej.

Jakże mię mocno ubezpieczała,
Że z tobą będę szczęśliwą!
A z tem się chytrze ukryć umiała,
Że bywa czasem fałszywą.

Słabą niewinność łatwo uwiodą!
Teraz wracając do domu,
Nauczać będę moją przygodą,
Żeby nie wierzyć nikomu.

Ale któż zgadnie, przypadek jaki
Dotąd zatrzymał Filona?
Może on dla mnie zawsze jednaki,
Możem ja próżno stwrożona.

Lepiej mu na tym naszym jaworze
Koszyk, i wieniec zawieszę.
Jutro paść będzie trzodę przy borze:
Znajdzie... jakże go pocieszę!

Oh nie! on zdrajca; on u Dorydy,
On może teraz bez miary
Na sprosne z nią się wydał niewstydy:
A ja mu daję ofiary....

Widziałam wczoraj jak na nię mrugał:
Potem coś cicho mówili:
Pewnie to dla niej kij ten wystrugał,
Co mu się wszyscy dziwili.

Jakżeby moję hańbę pomnożył,
Gdyby od Laury uwity
Wieniec, na głowę Dorydy włożył,
Jako łup na mnie zdobyty?

Wianku różany! gdym cię splatała,
Krwiąm cię rąk moich skropiła:
Bom twe najmocniej węzły spajała,
I z robotąm się kwapiła.

Teraz bądź świadkiem mojej rozpaczy,
I razem naucz Filona;
Jako w kochaniu nic nie wybaczy
Prawdziwa miłość wzgardzona.

Tłukę o drzewo koszyk mój miły:
Rwę wieniec, którym splatała.
Te z nich kawałki będą świadczyły,
Żem z nim na wieki zerwała.....

Kiedy w chrościnie Filon schroniony
Wybiegł do Laury spłakany,
Już był o drzewo koszyk stłuczony,
Wieniec różowy stargany.

Filon.

O popędliwa!... o ja niebaczny!...
Lauro!... poczekaj... dwa słowa...
Może występek mój nie tak znaczny,
Może zbyt kara surowa.

Jam tu przed dobrą stanął godziną,
Długo na ciebie klaskałem:
Gdyś nadchodziła, między chróścinią
Naumyślnie się schowałem.

Chcąc tajemnice twoje wybadać,
Co o mnie będziesz mowiła?
A ztąd szczęśliwość moję układać.
Ale czekałem zbyt siła.

Pierwsze twe skargi o Dorys były,
Sądź o mnie, Lauro, inaczej.
Kogożby wdzięki tamtej wabiły,
Kto cię raz tylko obaczy?

Prawda, że czasem z nią się bawiło,
Mając znajomość od długa:
Ale kochania nigdy nie było.
Nie już ten kocha, co mruga.

Oto masz ten kij, po nim znamiona
Niebieskie gładko rzezane.
W górze zobaczysz nasze imiona,
Obłędnym węzłem związane.

Cóżem zawinił, byś mię gubiła
Przez twój postępek tak srogi?
Czyliż dlatego, żeś ty zbłądziła,
Ma ginąć Filon ubogi?

Jeźli się za co twych gniewów boję,
To mię ta rozpacz strapiła.
Drogom kupował ciekawość moję:
Łzamiś ją swemi płaciła.

Ale w tem wszystkiem złość nic nie miała:
Wszystko z powodu dobrego.
Ja wiem, dlaczegoś tyle płakała,
Ty wiesz, mój podstęp dlaczego.

Laura.

Dajmy już pokój troskom i zrzędzie:
Ja cię niewinnem znajduję.
Teraz mój Filon droższy mi będzie.
Bo mię już więcej kosztuje.

Filon.

Teraz mi Laura za wszystko stanie,
Wszystkim pasterkom przodkuje.
I do gniewu ją wzrusza kochanie,
I dla miłości daruje.

Laura.

Jedna się Dorys wyłączyć miała,
Jej pierwsze miejsce naznaczę.
Na to wspomnienie drżę zawsze cała:
Cóż, kiedy cię z nią obaczę!

Filon.

Dla twego, Lauro! przypodobania,
Przyrzekam ci to na głowę:
Chronić się będę z nią widywania,
W żadną nie wnidę rozmowę.

Laura.

Czemże nagrodzę za te ofiary?
Nie mam prócz serca wiernego.
Jedne ci zawsze przynoszę dary;
Przyjmij je, jak co nowego.

Filon.

Któżby dla ciebie nie zerwał węzły
Przyjaźni, co mię nęciły?
W twej pięknej twarzy wszystkie uwięzły
Nadzieje moje i siły.

Laura.

Ja mam mieć z placzu po twarzy smugi;
Ale jak mi się nadarzy,
Spleść i ułożyć warkocz mój długi,
Mówią, że to mi do twarzy.

Filon.

Gdyby mi Akast dawał swe brogi
Ze złotem swojej Izmeny,
Rzekłbym: Akaście! tyś jest ubogi,
Bo moja Laura bez ceny.

Laura.

Ani ja pragnę szczęścia wielkiego,
Które (choćbym też i miała)

Za jeden uśmiech Filona mego
Zarazbym z chęcią mieniała.

Filon.

O światło moje w pośród tej nocy!
Zagrodo mego spokoja!
Ty jeszcze nie wiesz o twojej mocy,
A ja czuję ją!... o moja!

Laura.

Połóż twą rękę, gdzie mi pierś spada,
Czy słyszysz to serca bicie?
Za uderzeniem każdem ci gada,
Że cię tak kocha, jak życie.

Filon.

Daj mi ust... z których i niepokoje,
I razem słodycz wypływa.
Tą drogą poślę zapały moje,
Aż gdzie twa dusza przebywa.

Laura.

Czy w każdym roku taka z kochania,
Jak w osiemnastym, mozoła?
Jeźli w tem nie masz pofolgowania,
Jak człek' miłości wydoła?

Filon.

Ściśnij twojego, Lauro, Filona,
Ja cię przycisnę wzajemnie:
Serca zbliżone łonem do łona,
Rozmawiać będą tajemnie.

Laura.

Ty mię daleko ściskasz goręcej,
A jam cię tylko dotknęła:
Nie przeto, Filon, kochasz mię więce',
Miłość mi siły odjęła.

Filon.

Lauro! coś dotąd dla mnie świadczyła,
Jeszcze dowodzi to mało,
Że mię tak kochasz, jakeś mówiła:
Jeszcze mi prosić zostało.

Laura.

Tegom się miała z ciebie spodziewać?
Jakżeto skarga niezbożna!
Nie proś, nie każ mi: ty mię chcesz gniewać.
Kochać cię więcej nie można.

Filon.

Kiedyż mię za to nie będziesz winić?
I kiedy będziesz wiedziała,
Co do dzisiejszej łaski przyczynić,
Że taka miłość nie cała?

Laura.

Filonie! widzisz wschodzące zorze!
Jużto drugi raz kur pieje.
Trochę przydługo bawię na dworze.....
Jak matka wstała!... truchleję.

Filon.

Żal mi cię puścić, nie śmiem cię trzymać.
Kiedyż przyspieszy czas drogi?
Gdy z moją Laurą i słodko drzymać,
I bawić będę bez trwogi.

Laura.

Miesiącu! już ja idę do domu:
Jeźliby kiedy z Dorydą
Filon tak trawił noc pokryjomu,
Nie świeć, niech na nich dżdże idą.

SIELANKA XII.

Pasterz do owieczki straconej.

Na te bezdroża, owco ulubiona,
Idziesz bez twego pasterza!
Burzliwy wicher, zima uprzykrzona,
Ciężkie ci przejścia zamierza.

Przez którekolwiek krainy przechodzić
Będziesz, mej trzody ozdobo!
Wszędzie mój smutek za tobą ma chodzić,
I tęskność moja za tobą.

Może cię niebo w twych trudach pokrzepi,
I da bezpieczne noclegi:
Może cię jako zwierz dziki prześlepi:
Boś jest tak biała, jak śniegi.

Owieczko moja! duszy mojej duszo,
Nadziejo mojej nagrody!
Żadne mię teraz rozrywki nie wzruszą,
Bom stracił czoło mej trzody.

Ja się po tobie dosyć nie zasmucę:
Nie strawię żalu przyczyny.
Ja dziewięćdziesiąt i dziewięć porzucę:
Pójdę cię szukać jedynej.

SIELANKA XIII.

Do przyjaciół po rozstaniu się z Rożyną.

Goście wy moi, moi przyjaciele,
Jakże was smutno przyjmuję!
Rożyna moje zabrała wesele:
Samego siebie nie czuję.

Filon! połóż mi twą rękę na głowie,
Klitus niech piersi pilnuje.
Może się waszym uściskiem pozdrowię,
Może mi boleść zfolguje.

Jam jej przed samym już wyjazdem śpiewał:
Ona mię wdzięcznie słuchała.
Kto wie? możem się na tem oszukiwał,
Że za mną szczery żal miała.

Przyszedł nieszczęsny moment pożegnania:
Żegna słodkiemi wyrazy.
Mnie się Rożyna po dwa razy kłania,
Spojrzała na mnie dwa razy.

Kiedy wychodząc próg nasz przestąpiła,
Dopiero mnie ból przygniecie.
Ona coś do mnie jeszcze przemówiła,
Jam nie pamiętał o świecie.

Gdy się tak we mnie żal z miłością swarzy,
Na wyższe miejsce wstąpiłem;
Jeszczem chciał światła zachwycić jej twarzy,
Które pomału gubiłem.

Wreszcie zniknęła, a boleść przybiegła,
I tęskność na nic nieczuła:
Jedna z nich całą głowę mi zaległa,
A druga serce otruła.

Filonie! wkrótce jedziesz w tamte kraje,
W których Rożyna siaduje.
Powiedz jej: że ja życiu memu łaję,
I że dotychczas choruję.

Ale z nią w długie nie zachodź rozmowy,
Jeźli chcesz, żebyś wypłynął:
Słodkiemi łatwo zaleje cię słowy,
Jam sobie ufał, i zginął.

Nie patrz jej w oczy, jeżli chcesz ujść cały:
W tem ją najciężej zmocować.
Nie wiem, co tam z nich te rzuca postrzały:
To wiem, że trzeba chorować.

Chociaż jej nie znasz, sam ją zgadniesz w tłumie:
Poświadczy tamta kraina.
Co najpiękniejszą ma twarz przy rozumie,
To pewnie będzie Rożyna.

SIELANKA XIV.

Do Justyny.

Drzewa! wyście małe były,
Gdym się rozkochał w Justynie,
Dzisiajście się rozkrzewiły:
Gałąź wasza chłodem słynie.

Insze mi już owoc dały,
Com je w drobnem ziarnku sadził,
Na szczęście mojej zuchwałej.
Drzewa! jakżem ja się zdradził!

Ona mnie dotąd nie kocha,
Choć jej wzgardy znoszę skromnie.
Trzyma mię, że jest niepłocha;
Martwi, że nie dba i o mnie.

Justyno moja! Justyno!
Patrz, jak mam usta spieczone:
Jak z oczu moich łzy płyną,
Ach! ty nie patrzysz w tę stronę.

Przystąp jeno ku mnie bliżej,
Bo wy czasem i leczycie:
Ta się choroba choć szerzy,
Jej zaraza jest na życie.

Nie wiesz, co miłość kosztuje?
Jak ogień wnętrzności trawi;
Jak rdza żelazo zmocuje,
I raz głęboki zostawi.

Skłonność twoja do litości,
Głośna w okolicy całej;
Samej nie znając miłości,
Ranisz mię, chociem zbolały.

Kiedyś tak w uporze trwała,
Otoż ja cię odstępuję.
Ach! tyś łaskawie spojrzała!
Nie wierz mi, ja to żartuję.

SIELANKA XV.

Dafne i Korydon.

Jakiżto kraj jest? (Dafne się żaliła)
Ani tu pięknych owiec widać siła,
Ani tu drzewo prosto rośnie w górę,
Liściem okryte ledwie znaleźć które:
I ptastwo leśne tu śpiewać nie umi,
I potok brudny smutno tylko szumi.
I lud tutejszy dla zupełnej zgody,
Taki, jak owce, drzewo, ptastwo, wody.
Korydon, który za drzewem schowany
Wszystko to słyszał, wzruszył się tem znacznie,
Bo kochał Dafnę, i chciał bydź kochany.
Dlatego z żalem odpowiadać zacznie:
O Dafne! kiedyś pierwszy raz stanęła
W tej okolicy, jakeś nas ujęła
Twemi oczyma, twem ruszeniem ciała!
Nie toś, oh! nie to nam obiecywała.
Wszystko tu ganisz, aż do drzew i wody.
Cóż ci zrobiły owiec naszych trzody?

Wszystkie posłuszne swemu pasterzowi:
Zgadują prawie, co im tylko powi.
Żadna swą wolą nie pójdzie na stronę:
Pasą spokojnie, chociaż niestrzeżone.
Idą na nasze skinienia z ochotą,
Kochają zwierzchność, i to jest ich cnotą.
Piękna topolo! tyś u Dafny krzywa,
Tu często pasterz przed słońcem spoczywa,
Tu w miłym chłodzie pasterek zabawa,
Tu prawie zawsze zieleni się trawa:
Mirtyl Klorydy tu pochwały śpiewa.
Piękna topolo! tyś u Dafny krzywa.
Spokojne drzewa! schronienie pasterza,
Mieszkanie ptaków, i leśnego zwierza,
Jam jest wam wdzięczny, was za świadków miałem,
Jak często Dafnę tutaj wspominałem!
Wyście jej imie przez wasz odgłos miły,
Całe do moich uszu przynosiły.
O jakże mię ta jej niewdzięczność gniecie!
Szczęśliwe drzewa, że nic nie czujecie!
Oto ten czyżyk, ten czyżyk zielony,
Tylko od samej natury uczony,
Śpiewa, jak umie, swej samicy szarej,
Ale jej pilnie dochowuje wiary.
On na tę gałąź zawsze przylatuje,
Gdzie wie, że jego kochanka nocuje.
Ledwie co zorza poranna zaświta,
Już ją pieśniami swych miłości wita:
Ona się ciesząc z tej jego ofiary,
Nową ma słodycz chociaż w pieśni starej.
Miły strumieniu! brudnym cię nazwano:
Brudnyś, ale twej cnoty nie poznano.
Ty zawsze wierny twojemu brzegowi:
Choć jakie słoty zleją, nikt nie powi,
Żebyś swe dawne opuściwszy brzegi,
Po obcych łąkach miał swoje noclegi.
Tak jest, o Dafne! w którą spojrzysz stronę
Wszystko wierności cechą naznaczone.

I lud tutejszy, dla zupełnej zgody,
Taki, jak owce, drzewo, ptastwo, wody.
W tej okolicy, skądeś tu przybyła,
Może piękniejszych pasterzów jest siła,
Może ci piękniej miłość opisują:
Ale jej nigdy tak mocno nie czują!
A choćby czuli, pewnie nie na długo.
U nas jest panią, u nich miłość sługą.
Oni, co miasta często nawiedzają,
Tam się obłudy duchem napawają.
Nam tu niewinną żyjącym prostotą,
Wierność miłością, a miłość jest cnotą.
Tu, kiedy pasterz powie, żeś mu miła,
Już z tem i umrze, choćbyś go zdradziła.
Dafne coś chciała mówić o miłości;
Ale Korydon zemdlał od żałości.

SIELANKA XVI.

O Justynie.

Wyszła Justyna, czas przeminął mglisty,
Rozzielenił się las mój gałęzisty.
Oczyma swemi wszystko czaruje;
Sprowadza burzę, albo wstrzymuje.

Gdzie tylko serce kochające było,
Wszystko się do jej białych nóg skłoniło.
Piękna królowo! cóżto się stało,
Że w twojem państwie wesołych mało?

Wyszła Justyna, mówić mi zaczęła;
I zaraz radość serce me przejęła.
Rzekła: coś mi się o tobie śniło,
I to jej mówić do twarzy było.

SIELANKA XVII.

Dzieci u matki.

Gałęzie lasu obsypał szron siwy;
Pościnał rzeki Luty przeraźliwy;
Pławne na brzegi pozarzucał łodzie,
I kazał chodzić po zdrętwiałej wodzie:

W tak twardej porze Kloryda z Filonem,
Piękna Palmira z swoim Korydonem,
Mile ich dzieci, i przyjaciół grono,
Wyszli odwiedzić matkę oddaloną.

Próżno ich sypkie zatrzymują śniegi,
I lodem wzdęte odpychają brzegi.
Przeszli zawady; bo miłość szła wprzody:
Zmiatała śniegi, i topiła lody.

Już się nakoniec po długiej podróży,
Znajomej sobie dobrali ostrózy.
Filon, co w młodych leciech tędy bywał,
Znaczniejsze miejsca dzieciom pokazywał.

»Ta,« mowi, »miedza końcem gonitw była,
»Gdy się ruchawa Chloe rozegziła:
»Temu, co pierwej przy nogach jej stanie,
»Dawała jabłko, i pocałowanie.

»Tu często Filis przy tem źródle spała,
»Tu różo-wzorą kosę zaplatała.
»Tu ją Korydon raz napadł w kąpieli:
»Za co się potem długo nie widzieli.

»W tym lesie Oront od swych psów zjedzony,
»Stracił na psiarnię swój byt, wiano żony;
»A potem chodził od głodu wybladły.
»A cóż, nie prawda? że go swe psy zjadły.«

Tak rozmawiając, wreszcie u wrót staną,
I powitają zagrodę kochaną.
Ale Korydon zaczął im rozwodzić:
»Mnie się nie zdaje całym tłumem wchodzić.

»Wielkie pociechy szkodliwe bywają,
»Że nam się bardzo rzadko przytrafiają;
»A do nieszczęścia człek przyzwyczajony,
»Zniesie go łatwiej, jak z nim oswojony.

»Niechby Palmira ze mną, z dzieckiem małym
»Weszła najpierwej; a wy potem całym
»Przyjdziecie tłumem. Tak idąc powoli,
»Radość nie cięży, i smutek mniej boli.«

Poszli za radą, i wnet się w kąt wkradną;
Ale ich czujne sobaki opadną.
Bryś wysłużony uszyma postrzyże:
Poznał swe pany, i ręce im liże.

Strach się dopiero w pasterkach ugasi,
Gdy widzą, jak się Filonowi łasi:
Skacze do góry w radości niezmiernej,
Ten, co miał kąsać, wzruszył ich pies wierny.

Palmira z swoim miłym Korydonem
Wiadomym jemu przebiegła uchronem.
Przyszli pode drzwi nic nie postrzeżeni,
I mroźną odzież strzepywali w sieni.

Justyna wtenczas modły gorącemi
Błagała Boga za dziećmi swojemi:
»Jeźli, powiada, choroba im szkodzi,
»Jeźli nad niemi zły człowiek przewodzi;

»Jeźli zamysłom ich opak się wiedzie,
»Jeźli zmartwienie mają w złym sąsiedzie;
»Ty, który lubisz wspierać łaską człeka,
»Odmień to, Boże, boś dobry od wieka!

»Niech się rozrodzą w mnogie pokolenia,
»Jako te drzewa ich ręki szczepienia.
»Niech pamiętają na twoich łask siła,
»A potem na mnie, com ich porodziła.«

Gdy matkę takie nabożeństwo trzyma;
Weszła Palmira z siwemi oczyma,
Dziecię na ręku, gładka w twarzy, w stanie:
Za nią Korydon przyszedł niemieszkanie.

»O dzieci moje! (zawoła Justyna)
»Jakżeto prędko Bóg na mnie wspomina.
»On mię wysłuchał, ledwiem wymówiła:
»Daje mi łaskę, jam nie zasłużyła!

»Niechże tu całe sąsiedztwo się garnie;
»Niech wezmą owcę najlepszą z owczarnie:
»I niech to wino dobędą coprędzej,
»Coby go mógł pić, choćby syn książęcy.

»O wielki Boże! cóżbym jeszcze dała,
»Żebym Filona dzisiaj oglądała!«
Na to Korydon: »Matkę wszyscy znamy;
»Filon tak kocha, jak i my kochamy.«

Wtem wejdzie rzeźwa Kloryda z Filonem,
Z pięknemi dziećmi, i przyjaciół gronem.
Rzuci się matka, łza jej z ocz wytryska,
Mówić nie może, i tylko je ściska.

Kiedy tym zbytkiem radości się poją,
I dzieci matkę otoczyły swoją:
Dawszy coś czasu na płacz pożądany,
Wreszcie zaczęli śpiewać na przemiany:

Pasterki.

Zwarzyła zima piękne nasze zioła,
Cośmy z nich wili wielo-farbne pleci:
Otaczając cię z radością do koła,
Oto masz, matko, wieniec z twoich dzieci.

Pasterze.

Miłe koszary i słodką zagrodę
Porzucił pasterz: do matki się spieszy.
Któż za swe trudy miał większą nagrodę?
My jej śpiewamy, a ona się cieszy.

Wszyscy razem.

Święta miłości ku rodzicom dzieci!
Co pierwsza świecisz pomiędzy gwiazdami,
Jeźli do ciebie ten głos nasz doleci;
Mów tam za matką naszą i za nami.

Bóg w tenczas spojrzał z wysokiego nieba.
Nad to, co jeszcze żyć im było trzeba,
Przyczynił wszystkim wieku tyle drugie,
Żeby z nich przykład brały lata długie.

SIELANKA XVIII.

Na odmienione Nad-Prucie.

Prucie! w którego przezroczystej wodzie
Białe umywa nogi Pokucianka,
Pożal się Boże! już po twej swobodzie,
Po twych rozrywkach w wieczór od poranka.
Ja siadłszy nad twoim brzegiem
Patrzyłem z roskoszą duszy,
Jak czasem ślicznym szeregiem
Pań twoich tabor się ruszy.

Te często w jedne zebrane gromadę,
Przy twoich wodach obóz zakładały;
Wesołych swoich zabaw czyniąc radę,
Przechodnia w jego drodze zatrzymały.
Ta leżąc pod krzakiem śpiewa:
Ta jakąś do swych ma mowę.
Insza, co śmielsze zagrzewa:
Przebrnijmy rzekę Prutowę!

Drugie po równym goniąc się zarynku,
Za Korydonem kamyczki rzucają:
Tylko mu przez to nie dają spoczynku,
Ale samochcąc w niego nie trafiają.
Potem zgonionego, hurmem
Obsiadłszy, gniotą kolany.
On ledwie dysząc pod szturmem,
Cieszy się, że jest złapany.

Prucie! jakżeś jest bardzo odmieniony,
Wody twe dzisiaj cicho upływają.
Smutnym gra tonem Korydon zniszczony.
Ślicznych twych córek ścieszki zarastają.
Nie słychać głosu Klorydy:
A Filis smutnemi ściegi
Wyszywa klęski Dorydy.
Ja przecię kocham twe brzegi.

SIELANKA XIX.

Nice do niestatecznego.

Już wiosna kończy odmiany,
Świeci pogoda dzień cały;
Filenie nieutrzymany!
Tyś tylko jeden niestały.

Wspomnij na pierwsze momenta
Poznawania się naszego;
Jakem ja była kontenta
Bydź więźniem więźnia mojego.

Jam ci się oddała całe
Serca najczystszą ofiarą;
Ty niem tak gardzisz zuchwale,
Niech ci ten będzie dar karą.

Filenie! słyszysz te grzmoty?
Ja na cię pomsty nie kładę.
Ale wiedz dla twej zgryzoty,
Że się mści niebo za zdradę.

SIELANKA XX.

Na Posągi Rolnictwa i Poezyi.

Piękne boginie młodego świata!
W tenczas, gdy jeszcze kochał brat brata;
W tenczas, gdy żadnej nie znano wojny,
I było szczęściem, żyć wiek spokojny.

Jedna z potrzeby, druga z miłości
Matek zrodzone, wyście w słodkości
Światem rządziły: przychylne człeku
Dwie rówieniczki pierwszego wieku.

Dzisiaj po większej części pogardzone,
Poszłyście w kraje jakieś oddalone:
Tu tylko wasze obrazy zostały,
Marne te dawnej wyrażenia chwały.

Wróćcie się wielkie ziemianów boginie!
Zbiorę tych jeszcze, gdzie wasza cześć słynie.
Wystawię ołtarz, pierwszy was pochwalę:
I sam wam święte kadzidło zapalę.

A potem u nóg waszych wraz z Justyną
Złożę ofiarną pszenicę i wino.
Wy nam obojgu w tenczas pozwolicie
Śpiewać szczęśliwe kochających życie.

SIELANKA XXI.

*Rocznica imienin zmarłej Księżniczki Teressy Czartoryskiej Generałownej Ziem Podolskich, w Powązkach *) obchodzona.*

Dnia 15. Października 1780 roku.

Dzień przyszedł! który dawniejszemi laty,
Póki się los nasz nie pokłócił z nami
Słodko był pędzon! dziś od jednej straty
Samemi wszystko oddycha żalami.

Jakeś nam tylko, Teresso, zniknęła,
Poszła za tobą rozrywek ochota.
Zazdrosna! tyś nam wszystko zagarnęła:
Rzuca nas nawet twój domek sierota **).

Od gospodyni swojej opuszczony,
W dzikie gęstwiny lasu ustępuje;
Niby się wstydząc, że jest pogardzony,
W ustroniu szczęścia dawnego żałuje.

Tam, czuła matka i wierne sąsiady,
Chcąc uroczyście odprawić roczyny;
Gdzie je przewodnik wiedzie smutek blady.
Krepą wiązane niosą rozmaryny.

Insze z Cyprusu wieńcem otaczają
Domek: i gdy je żałość przycisnęła,

---

*) Powązki, jest to nazwisko jednej małej wioski pod Warszawą, gdzie Księżna Generałowa Czartoryska, dzieci jej i przyjaciółki, mają każda osobny domek swój, z wierzchu słomą pokryty, i prosto postawiony, wewnątrz zaś najgustowniej umeblowany.

**) Domek zmarłej Księżniczki po śmierci jej z pomiędzy inszych domków całkiem przeniesiony, i na ustroniu w lasku, w miejscu najdzikszem, postawiony.

Wśród łez po blizkich głazach wyrażają,
Co której tkliwa boleść poszepnęła.

Te na wpół z liścia wierzbach obnażonych
Jękliwe swoje cytry zawiesiły.
Nie pora tonów zgadzania pieszczonych:
Smutek im zabrał ochotę i siły.

Drugie, gdzie głębsze wody spoczywały,
Gdzieś się, Teresso, czasem przeglądała;
Gdy tam obrazu twarzy twej szukały,
Każda z nich tylko łzy swoje widziała.

Potem nad czystym stanąwszy strumieniem:
Ona, (mówiły) jak ty, czysta była.....
Twoim podziemnym upływając cieniem,
Czy nie zdybałeś żeby się gdzie skryła.

Ale jak wszystko nic nie opowiada,
Tak czysty strumień stawił się okrutnie;
Próżno mu każda o swej szkodzie gada:
On może co wie, bo coś mruczał smutnie.

Ptaki powietrzne, co tyle zwiedzacie
Krain!.... z was może czego się nauczy!
Ale i ptaki, nie odpowiadacie,
Milczały insze, tylko puszczyk huczy.

Gdzieś tylko przedtem, Teresso, bywała,
Odkryte pola, albo las zawiły,
Niezbyte piaski, nieużyta skała;
Wszędzie cię szukał głos ci kiedyś miły.

Kiedy tak łkaniem las cały zmięszany,
I smutnym głosem okolica kwili;
Przechodzień w swojej drodze zatrzymany,
Pomyślił: znać tu wszystko utracili.

Ale ta, która najwięcej cierpiała,
Najwięcej, bo już wytrzymać nie zdoła:
Nie mogąc płakać, choć najbardziej chciała,
Strapiona matka w rozpaczy zawoła:

»Na cóż ją próżno pragnę powrócić?...
»Ginie, kto poszedł w tę drogę!...
»Chcieć, co nie mogę,... i niebo kłócić....
»Lepiej pójść za nią... co mogę.«

Wtem okoliczna gęstwina zaszumi,
Trwoga na pola ptastwo wypędziła,
Strumień do góry wracając się tłumi,
I lasem trzęsie niewidoma siła.

Po całem puszczy pracującej łonie,
Jak błyskawica ogień polatuje:
Ale jak drogie kadzidło, gdy płonie,
Świeci, i razem wonność rozsypuje.

Nie lękajcie się, strwożone sąsiadki,
Może ta burza nie znaczy nic złego.
Mówią, że takie bywają przypadki
Znakiem posłańca świata szczęśliwszego.

Tak jest, w pośrodku zbitej światła bryły,
Z temiż oczyma, i z temi wdziękami,
Wyście Teressę swoję obaczyły
Taką, jak kiedyś przebywała z wami.

W stroju jej tylko różność nastąpiła,
Że w tamtych krajach ubiór wasz nieznany,
Biała zasłona bielsze ciało kryła:
Cały strój głowy, wieniec był różany.

Kiedy z przepłochu wraca się wam życie,
I święta bojaźń ku ziemi was zgina;
Chciwe swe oczy ku niej podnosicie
W tenczas, gdy ona tak mówić zaczyna:

»Matko! dlatego, żeć córka ginie,
»Pofolguj życiu własnemu:
»Winnaś go ojcu memu, rodzinie,
»Winnaś go Bogu twojemu.

»Czemu na losu narzekasz wodze,
»I chcesz się spierać z wyrokiem
»Noga za nogą idź w twojej drodze,
»Gdyć zakazano poskokiem.

»Gdybyśmy miały w pośrodku nieba,
»Jak wy na ziemi, łzy wolne;
»Was opłakiwać bardziejby trzeba,
»I szczęścia wasze niezdolne!

»Róża, która mi kwitnie na głowie,
»Nigdy swej farby nie traci:
»Nasze się niczem nie psuje zdrowie;
»Nikt niem za zbytek nie płaci.

»Nasze przyjaźni nas nie zawodzą,
»Nasze rozrywki nie nudzą;
»Ani nam ostre języki szkodzą.
»Ani nadzieje ułudzą.

»Dla czegoż płakać, widząc mię żywą,
»Na takie moje dostatki!
»Któraż na świecie będzie szczęśliwą
»Matka, tak widzieć swe dziatki?

»Odtąd, jeżeli ten dzień uważać
»Na mą pamiątkę zechcecie;
»Wiedzcie, że łzami temi znieważać
»Moję szczęśliwość będziecie.

»Raczej w rozmowach słodkich przystoi
»W tym dniu przytaczać dowody:
»Jak jest niewinność piękna, jak swojej
»Cnota nie traci nagrody.«

Światło, Teressa, i głos, nikną razem:
Sąsiadki chwilę jeszcze wzrok trzymały
Wzniecony w górę, za miłym obrazem:
Nie, że co widzą; lecz że widzieć chciały.

PIEŚNI.

KSIĘGA PIERWSZA.

PIEŚNI.

KSIĘGA PIERWSZA.

PIEŚŃ I.

Zabawa na ustroniu. Myśl z Angielskiego Arystypa.

Czyli pogodne słońce świecić będzie.
Czyli się niebo chmurami zakryje;
Równiem ja kontent, w szybkim lat mych pędzie,
Na łonie słodkiej spokojności żyję.

Prawda, że człowiek podległy jest, żeby
Śmiał się, lub płakał: bał się losu swego,
Albo wyniośle żył; według potrzeby
Losu, w światowy rząd wpływającego.

Jak Kameleon, co łatwo przyjmuje
Zbliżonych rzeczy kolorów odmiany;
Albo instrument swem brzmieniem to czuje,
Jakim gra tonem drugi z nim związany.

Tak człowiek, czem jest otoczony wkoło,
To się na jego miękkości piętnuje:
Z odmianą rzeczy, i on raz wesołą,
Drugi raz smutną postać okazuje.

Filozofia, którą insi może
Szczęśliwem nazwą głupstwem, mnie prowadzi
Za rękę, krwawe słodząc mi bezdroże:
Wśród samych ciosów wesołą myśl radzi.

Ja w małych rzeczach, co mię w smutek wiodą,
Przez moję sztukę słodyczy kosztuję.
Co inszych więzi, to dla mnie swobodą,
Ja i w złem nawet dobre wynajduję.

Naprzykład w lasku wśród nocy głębokiej,
Wtenczas, gdy słowik żałosną pieśń śpiewa
Swoich miłości, że same obłoki
Porusza jego skarga uciążliwa.

Na wszystkie jego jednakim odmiany.
Czyli się zdaje płakać przez głos cienki,
Czy łajać grubiej; ukontentowany
Słucham wdzięcznego śpiewaka jutrzenki.

Tu echo z jego groty mchem utkanej,
Po skałach blizkich ciężki żal rozdaje:
On się tem bardziej uciska stroskany,
Gdy powtarzają to, na co on łaje.

Z wierzchołka góry lecąca kaskada,
Tłucząc się o głaz, niesie szum daleki;
Z dębami, które po drodze napada,
Oblewając je, żegna się na wieki.

W dolinie, wraz się jej wody złączają,
Po dnie krzemiennem płynąc lżejszym biegiem:
Tam, mrucząc smutno, niby powiadają
Zabawny jakiś romans przed swym brzegiem.

Ja wtenczas w słodkich myślach zatopiony,
Rozpamiętywam starych wieków dzieła;
I zapuszczam się tak, w kraj oddalony,
Którędy noga ludzka nie chodziła.

Uważam potem: jak cierpiała wiele
Ta młodzież, której sławne przeciwności
Są popisane w Pamięci kościele,
Przez nieśmiertelnych kapłanów wieczności.

Ta mię myśl w dzikie miejsca zapędzała,
Bez biedzenia się życia troskliwością:
Która, jeźli mię kiedy napadała,
Jam ją ugłaskał samą odludnością.

Zawsze posłuszny memu wyrokowi,
Przeciwko niemu nie walczę, ale się
Natarczywemu podając szturmowi,
Płynę za wodą: gdzie chce, niech mię niesie.

Ledwie nad brzegiem bystrego potoku
Młoda latorośl że się rozwinęła,
Przypadkiem burza, przy wielkim wód stoku,
Słabą jej gwałtem gałązkę odjęła.

Ta w potok wpadłszy, czasem wierzchem płynie,
Posłuszna wodzie, która ją unosi;
A czasem w warcie pogrążona ginie,
I znowu niby na wierzch się wyprosi.

Tak mija miasta, góry, doły, knieje,
Gorące piaski, i ciemne dziczyzny;
Aż utraciwszy powrotu nadzieję:
Niezmierne morskie połkną ją głębiny.

Mój to jest obraz: na wszystkie obroty
Ostrego losu, wypogadzam czoło;
Bylem mej nigdy nie odstąpił cnoty,
Jak mogę, nie jak chcę, żyję wesoło.

Na swoich skrzydłach niesie mię czas prędki,
Jak ta gałązka, co po wodzie płynie:
W miejscu wszelakiem mój się humor giętki
Uchyla, że go srogi pocisk minie.

Żartuję z tego, co tylko w szeleście
Świata, przechodząc, słyszę o przykrości;
Aż póty, póki i ja też nareście
Nie pogrążę się w zakręcie wieczności.

Niech opętani przez interes ludzie,
Biegną za szczęściem po tej ostrej drodze
Środkiem przypadków: po największym trudzie,
Niech płaczą, że są oszukani srodze.

Jam dostał nici, przez którą wiedziony,
Ułożonych mi dojdę pomyślności,
Nie będąc nigdy niczem omamiony
W tym zczarowanym kraju szczęśliwości.

Przywięzywać się do jej wyszukania
Nie chcę, ani się o nię przypochlebię;
A bez wielkiego życia zabiegania,
Pewnym jest, że ją gdziekolwiek nadybię.

PIEŚŃ II.

Do przyjaciela.

Ty jeden umiesz łzy z oczu ocierać,
Ty strapionemu sercu folgę czynić;
Od ciebie można zarówno odbierać,
Czyli chcesz chwalić, czyli za co winić.
Na twojem łonie zasnąć mi najmilej;
I twoja rada najlepiej posili.

Na równe części los mój z tobą dzielę,
Ty jeden wchodzisz w skrytość mego ducha.

Razem się z tobą smucę, czy weselę;
Ciebie uparta nawet skłonność słucha.
Twój rozum moję popędliwość trzyma,
Takimbyś miał bydź, ale cię nikt nima.

PIEŚŃ III.

O nieszczęściach Ojczyzny, i rzezi Humańskiej.

Pieszczone dzieci, gdy rozgniewały
Ojca, i gdzież się podzieją?
Stojąc pod drzwiami płaczą dzień cały:
Kołatać we drzwi nie śmieją!

A lud zuchwały przechodząc blisko,
Słowem zelżywem je szepci!
Czyniąc z nich sobie urągowisko,
Że ojciec wygnał swe dzieci.

Ale ty, Boże! który z daleka
Patrzysz na serca wygnanych;
Ulitowany nędzą człowieka,
Pocieszysz znowu stroskanych.

Już do twych uszu przyjść miały głosy
Krwi, co lud przelał zażarty;
I wiara twoja poniosła ciosy,
I kościół z ozdób odarty.

Wspomnij przynajmniej na twe ołtarze,
Przy których my stać przyrzekli.
Nie karz! wszak zdawna nikt tych nie karze,
Co do ołtarza uciekli.

Złóż nas twą bronią, której zamachem
Rozsądzasz między wojskami:
A nieprzyjaciel pierzchnie ze strachem,
Widząc, żeś jeszcze ty z nami.

PIEŚŃ IV.

Trwoga człowieka bliskiego śmierci.

Już się dach zepsuł, i przez mdłe ściany
Lada się wicher przekradnie.
Słusznie gospodarz chodzę stroskany,
Widząc, że mi dom upadnie.

Jeszcze na wstręcie wiatrów upartych,
Jak na nieszczęście stawiony,
Sto do upadku ma bram otwartych,
A żadnej zniskąd zasłony.

Cóż to za szelest? kto mi ma szkodzić?
Trzęsienie z jakiej przyczyny?
Któż będzie gwałtem w drzwi moje wchodzić?
Idą posłowie ruiny.

Ach widzę! jako już wszystko ginie,
Co miałem, i co nie miałem.
Jednę przynajmniej ratujcie skrzynię,
W której nadzieję schowałem!

PIEŚŃ V.

Powietrze i wojna.

Czyjżeto ten trup po polach leży?
I co za wrzawa po lesie?
Ztąd do mnie płacząc kobieta bieży,
Ztąd jakieś jęki wiatr niesie.

Gdzieżto ja jestem? o kraju smutny!
Siedlisko ludu nędznego!
Tu ma stolicę los ten okrutny,
Który dosięga każdego.

Cóżto ci, matko? ta od żałości
Słowa przemówić nie zdoła;
Rwie nędzna włosy, tłucze wnętrzności,
I ledwie z czasem zawoła:

Ach nieprzyjaciel pobił mi dziatki!
Trzech synów zbójcy pożarli;
Teraz pociechy mojej ostatki,
Czwarte mi z ręku wydarli.

Nieszczęsna córko! zginęłaś pewnie:
Z tego mi łona ją wzięli.
Ja na, to tylko płaczę tak rzewnie,
Że matki zabić nie chcieli.

Spojrzę na pole trupem usłane:
Tym jeszcze rany nie skrzepły.
Tu leżą w sztuki ciała zrąbane,
Tu płynie potok krwi ciepły.

Wszystkich do naga prawie wyzuje
Okrutna chciwość zdobyczy;
Ptak się na pastwę dziki zlatuje,
I same rany kaleczy.

W przyległym lesie słyszę jęczenie,
Które mi duszę przejmuje.
I tam mnie moja ciekawość żenie,
Gdzie serce jeszcze coś czuje.

Ledwiem się trochę przymknął do lasu,
Wołają na mnie: tyż z nami?
Pójdź okrutnego dokonać czasu;
Zapowietrzeni tu sami.

Boże! te gniewu twojego strzały,
Są najostrzejsze na ludzi:
Kraj się w pustynią zamienił cały.
Ten cię płacz reszty niech wzbudzi.

A jeźli nigdy nikt nie odwróci
W karze niechybnej twej miary;
Weź mię z inszemi, to gniew twój skróci,
Należę do tej ofiary!

PIEŚŃ VI.

Przeciwko Deistom.

Niech się, jako chce, swym pozorem zdobi
Czarne Deistwo, wszędzie go poznają:
A Bóg jak żyje, i żyjąc coś robi,
Tak końca jego działania nie mają.

Na górach siano, i zwierzętom zioła
On wyprowadza; on rzeczami rządzi;
Bez niego nawet ruszyć się nie zdoła,
I wśród pewności sam człowiek pobłądzi.

Nie mógł zostawić naturze tej siły,
Żeby już wsparcia żadnego nie chciała:
Boby rzec można, że te czasy były,
W których o pomoc najwyższą nie dbała.

Król poddanemu tyle dać nie może,
Aby już nie dbał o łaskawość pana;
A tybyś tyle naturze dał, Boże,
Żeby nie znała tego, że poddana?

Bez woli jego na ziemię nie padnie
Mizerny wróbel, i na głowach włosy
On porachował; on jeden tak snadnie
Wyrabia w swoich formach polne kłosy.

Nie masz takiego państwa w całej ziemi,
Któreby dobry rząd utrzymać chciało;
Przecięż gardziło sobą rządzącemi,
I na jedynym losie polegało.

A Bógby wszystko powierzył losowi,
Losowi, który tak łatwo pobłądzi!
Poszłoby zatem, żeby był (któż powi?)
Taki rząd w świecie, jaki los, co rządzi.

Nie płynie morzem okręt bez żeglarza,
I bez rolnika rola nie zrodziła;
Dom pustoszeje, gdy bez gospodarza,
A światby losu fałszywość rządziła?

Tajemną ścieszką w pośrodku nas chodzi,
I rozporządza wszystkie ludziom lata,
Tych głębiej martwi, owym przykrość słodzi,
Karze i głaszcze Bóg gospodarz świata.

Co się w ciemnościach niedoszłej jaskini
Czołga i błąka; co wśród ziemi porze,
I co w powietrznej zamknęło się skrzyni,
I co w bezdennem łonie żywi morze.

Wszystko to ręka niewidoma wodzi:
Na wszystko patrzy niezmrużone oko.
A gdy w przepaściach Oceanu brodzi;
Wraz na powietrzu znajdziesz go wysoko.

Ą jeźli tak jest w porządku natury,
Że sami sobą władnąć nie możemy;
W nadprzyrodzonym porządku, a który
Pojmie to rozum, że sami chodziemy?

Kto może własną siłą dójść do słońca?
Kto z planetami na ich kręgu siędzie?
Kto firmamentu, od końca do końca,
Nieprzemierzoną rozległość przebędzie?

Nie może słaba potrafić w to siła.
Nawet mówimy, że jest niepodobna,
Ażeby kiedy sama się wzmocniła;
Tak w porównaniu ciał niebieskich drobna.

A jakże człowiek przyrodzoną siłą
Nad swoję niskość tak się podnieść zdoła?
Żeby tam stanął, gdzie zgodą tak miłą
Wieczny rzemieślnik nakręca te koła?

Jak przestronności firmamentu panem
I niebios będzie? jak sobie poradzi;
Jeźli, nad jego zlitowana stanem,
Najwyższa siła tam go nie wysadzi?

Idź drogą twoją, jak idą mężowie,
Za blaskiem jakim, co ci się płomieni;
Bez tego światła, co się łaską zowie,
Nie wybłąkasz się z pośród swoich cieni.

Bo nie tak ważna zasługa, choć jaka,
By nieskończonych nagród wartą była;
Sama to tylko łaska będzie taka,
Co z nią złączona, tak ją podrożyła.

Wszystkie twe kroki, gdzie idzie o cnotę,
Wszystkie dla nieba czynione skłonienia,
Z Boga są: on jest, co czyni ochotę,
I co dopełnia roboty stworzenia.

Przez nieskończone sposoby cię wzywa,
Codziennie u drzwi serca twego czuje;
Mięsza się wszędzie opatrzność troskliwa.
A jakże powiesz, że twój Bóg próżnuje?

PIEŚŃ VII.

Na piorun, blisko uderzający.

Z jakim się gwałtem ta chmura tłoczy!
Ogień ukryty nią warzy.
Piorun, co tylko że nie wyskoczy,
Częstym się grzmotem kojarzy.

Oto już wypadł, ach! gdzież zawita?
Widzę do mego sąsiada.
Wśród swoich modeł biedna kobieta
Jego postrzałem upada.

Przed tym pociskiem chcąc się kto schronić,
Próżno drzwi, okna, zamyka.
Pewnie rozumie, że ciężko zgonić
Wielkiemu Bogu grzesznika?

Boże! który znasz mych złości miarę,
Nagrzeszyłem się nie mało:
Może mię chowasz na większą karę.
Niechbym był zginął tą strzałą!

PIEŚŃ VIII.

Tęskność do kraju.

Kiedy mną tęskność rządziła,
Szedłem nad brzegi Dunaju.
Odludność mię tam pędziła,
I chęć wzdychania do kraju.

Cichości! siostro tęsknoty,
Ja nie wiem, czem ty mię bawisz?
To wiem, że serce mi krwawisz:
Ja przecię lubię twe groty.

Łzy moje z jego wodami
Mięszając, w dalekie kraje
Wysyłałem je posłami,
Aż tam, gdzie mu bieg ustaje.

Łzy moje! płyńcie, mówiłem:
Kiedy w Euxynie staniecie,
Tam łzy mych braci znajdziecie,
I krew ich zmięszaną z iłem.

O wy! sprawiedliwe świadki
Tej rany, co mię tak boli;
Powiedzcie, jak jest dzień rzadki,
Żebym nie płakał ich doli!

Wy, w ciszy morza głębiny,
Poznacie tam, jak jest mało,
Którymby się płakać chciało,
Upadającej ojczyzny.

Na was napadłszy płochliwa
Ryba, gdy się już złączycie;
Lub się wkoło zatrzymywa,
Lub skosztowawszy, da życie.

I niewiadomi żeglarze,
Płynąc nad waszem siedliskiem,
Nagłym jakimś łez wytryskiem,
Zbogacą wasze ołtarze.

Ty, która na twojej szali
Ważysz bezprawność krajową,
Nie widzisz, żeśmy ustali,
Pod twoją ręką surową.

Naród mój postać swą traci,
Miasta poszły na pustynie.
Nie widzę w ich rozwalinie,
Ledwie część jakąś mych braci.

Dusze szlachetne! wy, które
Dając ojczyznie krew swoją,
Jużeście przeszły tę chmurę,
Wśród której burzy ci stoją.

Jeźli tam macie łzy wolne,
Płaczcież, prosząc o ulżenie.
Tu, widzę, nasze westchnienie,
Ani łzy nasze niezdolne.

PIEŚŃ IX.

Czas.

Raz zamyślony: jakie są obroty
Czasu, i jak go dotąd przepędzałem?
Stanąłem nagle przed jakiemiś wroty,
Które nieśmiałą ręką otwierałem.

Na pola potem niezmierzone okiem
Wyszedłem, i w nich ścieszki uzierałem:
Lecz między ziemią, a czystym obłokiem,
Nic, prócz samego błędu nie widziałem.

Tak chodząc długo bez śladu i drogi,
Na widowisko straszne razem przydę.
Mąż duży wzrostem, a spojrzeniem srogi,
Goni człowieka, rzucając nań dzidę.

Już wpół osłabiał młodzian nieszczęśliwy,
Przecięż ucieka, co mu siły staje,
I choć się z swojej odstrzela cięciwy,
Tylko odbiera rany, nie oddaje.

Sporą już kupę równej z nim młodzieży
Sprzątnąwszy pierwej, i na tego godzi:
Niesyty łupem, co mu u nóg leży,
Tym okrutniejszy, im ciężej zaszkodzi.

Gdy z tego miejsca przestraszony zbiegam,
Chcąc się uchronić od niebezpieczeństwa;
Aliści inszy plac śmierci postrzegam,
Gdzie nowe ślady widzę okrucieństwa.

Całe usłane trupem pole było,
Tak, że się jednym grobem bydź zdawało;
I gdzie najwięcej ciał zbótwiałych gniło,
Tam kilkadziesiąt olbrzymów leżało.

Przystąpię do nich: ci jakoby z matki
Jednej zrodzeni, podobieństwa takie.
Przy wszystkich bronie, ich dzielności świadki,
Twarz, stan, i wzrosty u wszystkich jednakie.

To tylko jednę różnicę czyniło,
Że nie wraz wszyscy mieli bydź pobici:
Bo jednym twarze dobrze poznać było,
Drudzy dawności popiołem zakryci.

Smutną w tem miejscu twarz ziemia nosiła,
Trawy z korzenia swego wyniszczone;
Powietrze całe mgła gruba zakryła,
I słońce nigdy nie patrzy w tę stronę.

Zewsząd okropność napełnia me oczy,
A zimna bojaźń już w sercu stanęła.
Nie dbam, choć noga same trupy tłoczy,
Byle z postrachu najprędzej umknęła.

Góra się jakaś zwolna zaczynała,
Długa spadzistość wstęp na nię czyniła;
Pod tę mię moja trwoga zapędzała,
I na niej szukać schronienia radziła.

Mgły jej przeszedłszy i wielkie przeszkody,
Stanę, gdzie sama pogoda mieszkała:
Tu się z dniem wiecznym mile bawią chłody,
I wonne kwiaty roskosz rozsypała.

Góra się przecię jeszcze wyżej wspięła,
Ale już wierzchu dojrzeć można było.
Gdym podniósł oczy, trwoga mię objęła,
I coś mię skrycie wewnątrz pokorzyło.

Wtem ujrzę starca na samym wierzchołku,
Siwą mu brodę wiatr wolny rozwiewał:
Ogromny kamień trzymał na podołku,
I złotem tkaną szatą połyskiwał.

W czole wesołość, a oczu ruszenia
Z błyskawicą się szybką porównały:
Twarz swoje wdzięki z młodym wiekiem mienia,
Chociaż włos głowę przyozdobił biały.

Blisko nóg jego, z środka żywej skały,
Rzeka się wielka nagle dobywała:
Powietrze całe szumy napełniały,
Gdy się z wyniosłych gór na dół spuszczała.

Nie śmieją natrzeć bojaźliwe nogi,
Przez wzgląd tajemny ku starcowi temu;
Ani się zdało deptać święte progi
Zuchwałym wstępem człeku śmiertelnemu.

Ale się na bok pomału uchylę;
I idąc myślę, coby to znaczyło?
Zapomnionemu przez jakowąś chwilę,
Znowu się nowe widzenie zdarzyło.

Rzeka ta, która z gór w szumie spadała,
Cudnej piękności paunę z sobą niosła;
Płaczącym głosem na coś narzekała.
W łodzi płynęła, lecz w łodzi bez wiosła.

Rzuca nią zakręt: bronić się czem nie ma;
Próżno stroskana ręce załamuje,
Próżno na brzegi pogląda oczyma,
I łaje wodzie, z którą się pasuje.

Tknęła mię litość nad niedolą cudzą,
Niebezpieczeństwa swego zapominam.
Darmo mi przejście bystre wały trudzą:
Wskoczywszy w wodę, do łodzi się wspinam.

Że blisko brzegu natenczas płynęła,
Sądziłem, że ją poratować mogę:
Dopadłem łodzi, lecz mię woda wzięła,
I w tęż kazała razem płynąć drogę.

Spłakana pani rękę mi podała,
Ratowaniem mię zmordowana znacznie;
I gdy mię do swej łodzi przesadzała,
Głęboko westchnie, i tak mówić zacznie:

»Nie bój się: zginąć nie możesz w tej toni,
Mnie tylko jednę ta nawałność goni;
Ażebym ledwie, co życie zaczęła,
Zaraz tonęła.

Ród mój szlachetny, z którego pochodzę,
Od pierwszej świata kolebki wywodzę.
Los mój nieszczęsny, i ta pora była,
Gdym się rodziła.

Ten, coś go widział siedzącego w górze,
On żadnej jeszcze nie przepuścił córze.
Wszystkie w tęż drogę, co i mnie wyprawia:
Życia nas zbawia.

Ojciec mój *Czas* jest, król ten wielki, który
Po świecie całym pogląda z tej góry.
Jego stolicą sławna ta kraina;
A jam *Godzina*.

On na mnie patrzy, jak tą rzeką płynę:
W momencie siostrę rodzi, gdy ja ginę.
Jedna po drugiej na śmierć następuje;
A on wiekuje.

Tę, pod tą górą coś widział, gonitwę,
Widziałeś mdłego *Roku* z *Wiekiem* bitwę.
Próżno się broni młodzian nieszczęśliwy,
Zginie jak żywy.

A trupy, które pole tam usłały,
Wszystko to *Lata*, co poprzemijały.
Olbrzymi wszyscy, równi jak pod miarę,
Są *Wieki stare*.

Ten kamień, który wielki ojciec trzyma;
Na tego, co się bił, czeka olbrzyma.
Gdy pora jego do miary dopłynie,
Spuści i zginie.

Pocisk on nigdy ma nieuchybiony,
Sięga przez długie olbrzyma zagony.
Podobną śmiercią wszyscy pogubieni
Jego rodzeni.

Takie są ojca naszego zabawy;
Rodzić, i czynić zabój dzieci krwawy.
Ale, prócz tego, bawi się innemi
Dziełami swemi.

On po niezmiernych swojego mieszkania
Gmachach przechodząc, codzień się nakłania
W starość ostatnią, i codzień młodnieje;
Trwa, i niszczeje.

On w rzeczach przeszłych jest nieodwołany,
W przytomnych bieg swój czyni niezrównany;
A przyszłych łańcuch powiązał daleki,
W potomne wieki.

Wiecznie wystarcza, choć się wiecznie trawi,
Mija w momencie, i najdłużej bawi;
Po ścieszkach swoich niezgoniony chodzi,
Pomaga, szkodzi.

On na Fortunę wędzidło zakłada,
Aby, gdy ludziom hardo odpowiada,
Albo się całą ich żądzy wylała,
Czasem przestała.

On królów szczęściem, i królestwy władnie,
Przyjdzie, a każde wstanie, lub upadnie.
W nim ludzie tyle miast powystawiali,
I on je wali.

On się nad ziemią władzą swoją wznosi,
Obiedwie nieba szanują go osi:
On rzeczy wszystkich, nie bawiąc cię długo,
Panem i sługą.

Ale jak ludzie czasu zażywają!
Kiedy jest, oni wtenczas go nie mają:
Minął, nie wspomną; a zawsze się chwieją
Marną nadzieją.

Na każdy moment mieć trzeba baczenie.
Każdy z nich swoje miewa przeznaczenie:
Jeden stracony rwie łańcuch całego
Szczęścia przyszłego.

Z rzeczy tej, która już przeminęła się,
Układaj przyszłą; rób opatrznie w czasie.
I wiedz, że z czasem każdego człowieka
Czas liczby czeka.

Wtem mię pchnie z łodzi, gdzie najbystrzej było
Ale na brzegu złożyły mię wody.
Czym to ja widział; czy mi się to śniło?
Bo znalazłem się wśród mojej zagrody.

Siwy król z góry z myśli mi nie zginie,
I los nieszczęsny córek jego smutnych.
Nie będę tego powiadał Justynie:
Nie lubi starych, a jeszcze okrutnych.

PIEŚŃ X.

Lament Gołębicy.

Dawno na niego nieprzyjaciel godził!
Na dzikie pola często go uwodził;
Często go zagnał pod wysokie chmury.
Zginął mój gołąb, gołąb żółtopióry!

Jam zaklinała: chroń się tej dębiny,
Gdzie pełno srogiej jastrzębiej rodziny.
A on podobno dlatego był śmiały,
Że go się nasze samce obawiały.

Gdybym to kiedy była przewidziała....
Pewnie za niego umrzećbym wolała;
Niżli dziś płakać w opuszczonym stanie,
Ale przychodzi zły los niespodzianie.

Teraz pozbieram pióra rozrzucone;
I na tem miejscu, gdzie jeszcze zbroczone
Piaski, i ziele w krwi się jego myje,
Z nich sobie gniazdo, i grob mój uwiję.

Tam smutno jęcząc, może ptasznik jaki
Weźmie mi życie temi idąc szlaki:
Albo też jastrząb mym głosem ściągniony,
Dokona razem i męża i żony.

A jeźliby tak nie przyszło mi skończyć,
Będę umiała żal z głodem połączyć;
Póki śmierć, jedno moje pocieszenie,
Smutku i duszy ze mnie nie wyżenie.

PIEŚŃ XI.

*Sady**) *i Fatym.*

Sady z Fatymem przed słońca upałem,
Do bliskiego się lasu uchronili.
Tu, mówi Sady, kilka razy spałem,
Tu mi rozmyślać bywało najmilej.

---

*) Filozof Perski.

Patrz, jak to czysty środkiem potok płynie!
Bezpieczna ryba igra wierzchem wody;
Najmniejszy kwiatek nad brzegiem nie zginie,
Widać w niej drzewa, pasterzów i trzody.

Ach! cóż to będzie? o mój ty Fatymie!
Karuna widzę w zaciszy śpiącego.
Zadrżyj wraz ze mną na to straszne imie:
Nieprzyjaciel to narodu ludzkiego!

On w całem mieście przychylnego niema,
Nikomu chleba swojego nie łamał.
Co krzywd poczynił przed memi oczyma!
Jak wiele razy zdradził, zabił, skłamał!

Boże! na tylu złości popełnienie,
Jak spokojnego jeszcze mu snu staje?
Mnieby się zdało, że słodkie uśnienie
Samym Bóg tylko sprawiedliwym daje.

Oh! nie dla niego ten się las zieleni,
Niegodnym go jest, tylu ludzi stratą;
Ni tej murawy, ni tej cichej cieni,
Ani snu tego. A Fatym mu na to:

»Często pozwala Bóg snu złośliwym,
»Aby czas folgi dał sprawiedliwym.«

PIEŚŃ XII.

Matka wyprawia syna do obozu.

Już broń przededrzwi jasną wynosili;
Nad nię nie było lepszej w okolicy.
Jej to dziadowie twoi doświadczyli!
Broń, którą młody masz słynąć Maurycy.

On ogniem wieku zagrzany i sławą,
Chciałby najprędzej pójść pięknemi ślady,
Co stary ojciec torował mu krwawo;
I dzielne domu pomnożyć przykłady,

Ale strapiona matka go wstrzymuje:
Czasem się jego uraża uporem:
Czasem pozwala, i tak się mocuje
Między miłością, i między honorem.

Nie śmie i spojrzeć tam, gdzie już czeladka
Z domownikami swemi się żegnała;
I wytrzymawszy mówić do ostatka,
Nareszcie syna tak napominała:

»Kiedy inaczej bydź to już nie może,
Ja w ręce twoje oddaję go, Boże.
Jeżeliby się twej woli wspak stawił,
Nie karz go zaraz; onby się poprawił.

A ty, mój synu, nadewszystkie rzeczy,
Na każdem miejscu miej Boga na pieczy.
Nie schronisz mu się, nie myśl o sposobie:
Ja ci przysięgam, że on jest przy tobie.

Ani za sławą idź zapamiętale,
Żebyś na życie twoje nie dbał cale;
Wspomnij, jak gorzko o tom cię prosiła
Ja, co cię płaczę, i com cię rodziła.

Ty nie pamiętasz, boś jeszcze był mały,
Co mię przypadki twoje kosztowały:
Na tom ja w tenczas tyle łez wylała,
Żebym pociechę z ciebie dzisiaj miała.

Może dla sławy ty zechcesz bydź wszędzie,
Gdzie was najbardziej ogień niszczyć będzie.
Tyleć to ludzi w jej zginęło siatce!
Ujmij coś sławie, ażebyś dał matce.

Ale ja nie chcę, ażebyś wstydliwą
Ucieczką mazał twarz ojca sędziwą.
Ja tylko proszę, ażebyś w potrzebie
Bacznie nacierał, i ochraniał siebie.

Tyś u mnie jeden, i tyś jeszcze młody!
Nie czyó mi, synu, tej największej szkody,
Powracaj, i zdejm ten ciężar z mej duszy:
Bo twój mi powrót łzy z oczu osuszy.«

PIEŚŃ XIII.

Na dzień urodzin Maryanny z Kalinowskich Ponińskiej, Wojewodzicowej Poznańskiej.

Pod białem ciałem dziewczyny,
Cnota się dziś urodziła!
Otwarta, skromna, bez winy,
Jaka pierwszych wieków była.

Nieśmiertelność także miała
Razem się w tym dniu narodzić;
Ale, jak w raju została,
Tak jej nie każą wychodzić.

Pani, bogdajbyś nieśmiertelną była!
Ziemiaby się pocieszyła;
Ze gdy za złemi ściga ukaranie,
Cnota się zawsze zostanie.

Składając te moje wiersze,
Na myśl mi też przychodziło:
U ojca to dziecię pierwsze
Jak w domu witane było?

Przybył przyjaciel z daleka;
Matka się przed nim chwaliła:
Dał nam Bóg na świat człowieka.
Maryąm córkę powiła!

Gościu mój miły, siądź bliżej koło mnie,
Niech wszyscy przyjdą do mnie.
Żeby tu radość i muzyka była;
Maryąm córkę powiła.

Takie w tym domu wesele
Podczas narodzenia twego:
Jak go nam przybyło wiele,
W tym dniu obchodu rocznego?

Nadzieja już wzięła skutek,
Jużeś przykładnie cnotliwa.
W tobie pociechę ma smutek,
Z ciebie się nędza odziewa.

Przyjacielowiś, i radą i chwałą,
Słowem, jesteś cnotą całą;
Czegoż ci życzyć, gdyś już wszystko wzięła?
Idź drogą, którąś zaczęła.

PIEŚŃ XIV.

Na Imieniny tejże.

Gdyby się jako dobrać do tej skrzyni,
Gdzie dla człowieka wyroki schowane:
Niech mię, jak kto chce, z moich kroków wini,
Brałbym najpierwej zdrowiem cechowane.

Nabrałbym iaszych, co długiemi laty,
I pomyślnością stateczną znaczone;
Dopiero w takie wiązania bogaty,
Dałbym ci z niemi lata niesprzykrzone.

Ale na cóż mi czernić duszę swoją
Tem świętokradztwem? kiedyś ty swe cnoty
Wysłała pierwej? pewnie już tam stoją,
I odbierają dla ciebie wiek złoty.

One przez ciemne tych wyroków gmachy
Śmiało idąc, noc tamtę oświecają:
I niedostępne dla inszych postrachy,
Przy ich się nogach łagodnie skłaniają.

Przed niemi sama okropność zadrżała,
Im się żelazne wrota otworzyły;
Im dane klucze, im dana moc cała,
Żeby cię w życiu szczęśliwą zrobiły.

Pani! gdy jeszcze pójdą ci posłowie
Od ciebie, wspomnij na moje stękanie.
Niechaj tam jako wyrobią mi zdrowie,
Bo mnie na takie poselstwo nie stanie.

PIEŚŃ XV.

Na obraz tryumfu śmierci.

Nieprzebłagana! co jak kwiaty z trawą
Wycinasz króle razem z poddanemi.
Drży przelękniona pod twą ręką krwawą
Natura, próżno prosząc cię za swemi.

Królestwo twoje jest w głębokim grobie,
Który kraj wiecznem dziedzictwem posiadasz.
Jednym choroba daje znać o tobie,
Na drugich sama znienacka napadasz.

Tu Semiramis, Sezostr, Hektor, Greki,
Salomon, Cyrus, Alexander, ginie;
Pirrus, Annibal, Scypion, powieki
Zamknął; i Cezar dokonywa w gminie.

Nienasycona tak wielkiemi plony,
Na słabe nawet porywasz się dzieci:
I biała piękność, i jej włos trefiony
Pod nieuchronnym twym pociskiem leci.

Ale tak cię to tylko bojaźliwe
Malują dusze, co nie są tak śmiałe
Przystąpić, żeby te larwy fałszywe
Zdjęły, któremi straszysz wieki całe.

Tyś jest najlepszą mistrzynią mej wiary;
Ty kończysz życia ziemskiego przykrości:
Ty mi się stajesz pierwszym darem z kary,
Otwierając mi wielkie drzwi Wieczności.

PIEŚŃ XVI.

Smutek.

Gdzie promień słońca nigdy nie dochodzi,
Gdzie był najgłębszy w środku skały przedział:
Smutek, co twarzy swej nie wypogodzi,
Między tęsknotą i rozpaczą siedział.

Czasem rękoma oczy mu zakrywa
Rozpacz, a czasem nadzieję odpycha;
Nadzieję, która wstępu tam nie miewa,
Gdzie z głębi serca blady smutek wzdycha.

W sporych naczyniach, napełnionych łzami,
Tęsknota gorzkie piołuny mięszała;
Takim napojem, dużemi miarami,
Omdlewający *Smutek* napawała.

On, choć się wzbrania, chociaż usta kryje,
Próżno na ciężką gorycz utyskiwał:
Częstym powrotem brudny napój pije,
Który wnet z oczu czystą łzą wypływał.

Na wierzchu skały kruki przeraźliwe
Powietrze wrzaskiem zmięszali do koła:
Zlewają deszcze, grzmi niebo gniewliwe;
Puhacz żałobny bez przestanku woła.

Blisko *przypadek* niespokojny siedzi,
Tento przewodnik *Smutku* zawołany.
W ostatnim kącie człowieka wyśledzi:
Zwyczajnie przyjdzie, kiedy niespodziany.

W najpopędliwszym bez rozmysłu locie
Obiedwie sobie powybijał oczy;
Choć sam się w swojej natłucze ślepocie,
Przecięż on wszędzie omackiem doskoczy.

On nie zna ludzi, a lubi ich męczyć,
Gdzie miłe dziecię; albo syn złośliwy:
Równie pod jego pociskiem zajęczyć
Temu co dobry, i temu co krzywy.

Powstał *przypadek*; razem *smutek* wstanie,
Zaszumi wicher, ziemię wzruszy drżenie:
Żywa się skała z ciężkim hukiem kraje,
I przelęknione jęknęło stworzenie.

Na którą tylko obrócił się stronę
Smutek, gdzie westchnął, gdzie spoczął zemdlony;
Gorącym jego oddechem sparzone
Pomdlały trawy, usechł liść zielony.

Pierzcha zwierz dziki, a gad jadowity,
Gdzie miał przechodzić, kupami się snuje;
Gryząc się wzajem, prześladek ubity
Swą zaraźliwą posoką farbuje.

Książęta ziemi! schylcie się w pokorze,
Nie obronią was twierdze niedobyte;
Ani ogromna straż przy waszym dworze,
Ani imiona w kraju znakomite.

Widziałem, kiedy matka was rodziła,
I jak was czasem *przypadek* unudzi.
Mara jakowaś tak wszystko skłóciła,
Że i wy także podobni do ludzi.

PIEŚŃ XVII.

Do Faustyny, na niestateczność.

Faustyno! nie mów już więcej o sobie,
Żeś jest stateczna: twoje przyrzeczenia,
Które się w samym miały kończyć grobie,
Jedno powianie fortuny odmienia.

Ani twój rozum, ni wielkie przymioty
Nie odmieniły nałogu twojego.
Chociażby inszy zbierał ci kłos złoty,
Ty przecię zawsze wolisz co nowego.

Pamiętasz, kiedym całując twą rękę,
Odbierał wzajem czułe uściśnienia:
Dziś bez zmieszania patrzysz na mą mękę,
I śmiechem zbywasz moje umartwienia.

Kiedy w las pójdę, bym tam zamyślony,
Tucząc myśl gorzką, mym ogniem się trawił;
Gdy się do ciebie powracam tęskniony:
Ty mię tym witasz, żem się krótko bawił.

Moje dziś wiersze słabe ci się zdają,
Moje przysługi przewrotnie nicujesz;
Dyskursa moje choć wszyscy uznają
Za sprawiedliwe, ty je prześladujesz.

Cóż się to stało? jam się nie odmienił!
Jeszcze się wzmaga we mnie ta chęć wieczna,
Żebym się więcej w oczach twoich cenił.
Wiesz co? Faustyno, tyś jest niestateczna.

PIEŚŃ XVIII.

O uspokojeniu z cnoty.

Kto cnotę smutną maluje,
Wiele jej wdzięków ujmuje
Ona się mile uśmiecha,
Ocz nie zawraca, nie wzdycha.
Wszystkie przygody jednako przyjmuje:
Szczęście, nieszczęście, równie ją kosztuje.

Próżno zaostrza swe strzały
Przypadek na nię zuchwały:
Jak skała falą tłuczona,
Burzę swym statkiem przekona:
Albo jak ogień, im bardziej się wzmaga,
Tem do piękności złotu dopomaga.

Sokrates pije truciznę
Za to, że kochał ojczyznę.
Wypił; i daje bez trwogi
Swym przyjaciołom przestrogi.
Anitus *) bardziej mięsza się i mruczy,
Że mu i śmiercią nawet nie dokuczy.

Czego ten biega stroskany?
Rwie włosy łzami zalany!
Za tem mu się płakać zdało,
Co bydź koniecznie musiało.
Niechaj się jeszcze choćby sto lat smuci,
Na jeden fenig szkody nie powróci.

Łańcuch od wieków związany
Każdej na świecie odmiany,
Ten go przerobić sam zdoła,
Który powiązał te koła.
Na cóż się smucić? co jest, albo było,
Wszystko przedwieczny wyrok uiściło.

*) Anitus, fałszywy oskarżyciel Sokratesa.

My bardzo krótko żyjemy,
I nic o jutrze nie wiemy.
Zacóż ten kwasić czas mały!
Nieba nie na to go dały.
Niech niewolników złota, strach obleci:
Czego się trwożyć mają bozkie dzieci?

Po drodze tkanej cierniami
Kwiaty rzucając przed nami;
Idźmy, nie dbając na bole,
Choć nas co czasem ukole.
Tam, powiadają, gdzie bez kolców róże,
Każda się rana prędko zgoić może.

PIEŚŃ XIX.

Do Stanisława Augusta króla Polskiego.

Żeby człowieka narowy
Ugłaskać rządy słodkiemi,
Królowie podnieśli głowy;
I władną zakłóconemi.

Im Bóg swoję ziemię dzieli,
Chce, żeby go panem znali;
I co z jego łaski wzięli,
To z dobrocią sprawowali.

Nie to mi król będzie, który
Zaszedł, aż gdzie wstają zorze:
Zrównał doły, zniżył góry,
Przestraszył ziemię i morze.

Albo, co go świat zdumiały
Z tego tylko przypomina;
Jak przed nim miasta padały,
I ród go człeczy przeklina.

Ani te monarchów trony
Są według swego zamiaru;
Któremi lud przyciśniony
Nie zna, oprócz ich ciężaru.

Ale ten król będzie prawy,
Który sobie mówić może:
»Byłem dla ludu łaskawy;
»Lubią mię, rózgę położę.«

Któremu gdy zagubiono
Człeka na jego posłudze,
Rzecze z twarzą zasmuconą:
»Lepszy był, niż miasto cudze.«

Co potrzebom swych zabiega,
Nieszczęśliwego ratuje;
I wtenczas, kiedy go dźwiga,
Panowania słodycz czuje.

Który przystępnością słynie,
Każdego łaską zaszczyci:
Jak woda, dla wszystkich płynie:
Jak słońce, żywi i świeci.

Królu! gdzie karać, nieskory;
Gdzie wesprzeć, wylany cały:
Oto wielkie twoje wzory,
I twoje razem pochwały.

Gdyby górne nieba trony
Podobieństwo miały nisko;
Tron twój, słodyczą wsławiony,
Z tej miary stanąłby blisko.

W inszym, próżno równać chcemy
Twój ziemski, i trony Boże:
Bo (co najpierwej pragniemy)
Nieśmiertelnym bydź nie może.

PIEŚŃ XX.

O wielkości BOGA.

Tam, gdzie się chyląc natura upadła,
Twarz niewidzianą odsłoniła wiara.
Wieczność dziedziczne przepaści posiadła;
I niestworzoność rozciąga się stara;

Przebywszy pierwej planet, gwiazd tysiące,
Których człowieka oko nie wyśledzi,
Noc, i zastępy jakieś pałające,
W środku samego siebie Bóztwo siedzi.

Niepoliczone przed niem stoją gminy
Stworzenia, których język nie wysłowi;
Jak nad różnemi przełożone czyny,
Służą swojemu i wieków królowi.

Światłość, którą mu oblicze się żarzy,
Tamtych przestrzeni oświeca zagony:
A zbijając się o stojących twarzy,
Nowe rozrzuca światła miliony.

Czy wstrząsł naturą na jakoweś końce,
Czy roczne pory po światach prowadzi,
Czy ma stłuc księżyc, albo zgasić słońce;
On tylko siebie samego się radzi.

Za tron, na którym nie miał poprzednika,
Kiedy swe bozkie obróci powieki;
Nieogarnione przepaści przenika
Za ostatniemi stworzenia zasieki.

Tam na zarodach światów, co bydź mają,
Wieczność zasiada z czasem na przemianę:
Jedne z nich prędzej wykłucia czekają,
Insze za tysiąc wieków spodziewane.

Tam światło w bryle nieograniczonej,
Z grubą ciemnością wiecznie się mocuje:
Nie śmie postąpić promień przytępiony,
Gdzie zaciemniona okropność panuje.

Tam leżą massy, z których przed wiekami,
Niżli niesforność wciągniona do sprawy;
Wieczny rzemieślnik swojemi rękami
Wyrabiał gwiazdy, i księżyc bladawy.

Którym za czasem przez niebios przestrzenie,
Nieuchybione powyznaczał ruchy:
Insze przywiązał, jak drogie kamienie,
Pod tronem swoim złotemi łańcuchy.

Wielkiżto pan jest! i szeroko włada!
Mocniejszy nad moc, baczniejszy nad zdrady:
Bezpieczny w swojem, bo nie ma sąsiada,
Żeby mu jego napadał osady.

Roskosz i chwała, ten jego skarb dawny:
Jak został panem, nietykany stoi.
Bo choć kto będzie wśród stworzenia sławny,
W niem ma cześć, słodycz; ale nie ma swojej.

Tuż przy podnóżku tronu zastąpiły
Rot nieśmiertelnych tysiąców tysiące:
W barkach ich widać niezłamane siły,
Wierną miłością twarze pałające.

Kochanków pańskich nacisk nieprzejrzany
Zastąpił dalej świetnemi orszaki;
Wszyscy nim pasą wzrok niezmordowany,
Zawsze go większym widząc, choć jednaki.

Potężny Boże na ziemi i niebie!
Gdy spojrzę na dzieł twoich widowisko,
A potem oczy obrócę na siebie,
Jak mię ta wielkość upokarza nisko!

Przecięż, chociażem istotą tak małą,
Pójdę do ciebie... twa dobroć mi znana!
I wlać mi chciałeś jakąś duszę śmiałą,
Co się chce przedrzeć do samego pana.

Ale odarty... jak przed tobą stanę?
Cechę wierności z piersi moich starłem;
I niewinności odzienie mi dane,
Ocierając się między ludźmi, zdarłem.

Jakże się w środku pokażę tak wiela
Paniąt, nakładem co drogiej wyprawy,
Ubrani w szaty Łaski i Wesela,
W przybytkach twoich zasiadają ławy?

Zgubiwszy pismo przechodu wolnego,
Jak się tamtędy przebierać odważę?
Gdzie hufiec półku milionowego
W przysionku pańskim odprawuje straże?

Przecięż ja pójdę, cokolwiek mię czeka,
Pójdę do ciebie!... bo mi powiadano:
Że byleś ty się obejrzał na człeka,
Zaraz go w stanie szczęśliwszym widziano.

Tak, jak dziś jestem, niedołężnym płazem,
Zbitem naczyniem, o które nie stoją:
Pokorę tylko wziąwszy z sobą razem,
Poniosęć głupstwa, i nikczemność moją.

Mnie się rozstąpią wybranych twych rzesze,
Mnie nic nie będzie po drodze ustraszać;
Jeszcze ich mojem przybyciem pocieszę,
Bo powiem; że ja idę cię przepraszać.

Gdzie będą twoi Aniołowie stali,
Pójdę; i jak im przypomnę zdaleka
Ich towarzyszów, co poupadali,
Nad ułomnością zlitują się człeka.

Potem przed tronem twym padnę, i powiem:
» Z dalekich krajów przyszedłem w te strony,
» Za moim skarbem, weselem i zdrowiem,
» Ubogi, smutny, na siłach zwątlony.

» Jużbym ja nie chciał mieć pana inszego,
» Ani twej woli w czem kiedy bydź sprzeczny;
» Ale gdy moję znasz skłonność do złego,
» Trzymaj mię ty sam: bo ja niestateczny. «

PIEŚŃ XXI.

O sprawiedliwości, do Księcia Adama Czartoryskiego, Marszałka trybunału Litewskiego, podczas zaczęcia tegoż trybunału w Grodnie.

Książę! żądaniem narodu ujęty,
Trudów publicznych wikłając się pęty:
Tam, gdzie cię praca największa wołała,
Litwa ci główną sprawiedliwość dała.

Na czele mężów i zdania i cnoty,
Wchodzisz wielkiemi sławy twojej wroty;
I pracowite prostując ramiona,
Znać, że ojczyzny nieść umiesz brzemiona.

Groźne przed tobą nie niosą topory,
Jak przed Konsulem posępne liktory;
Ani powszechnym strachem osiodłany,
Drży lud, jak przed swym Minosem Kretany.

Słodycz i litość, przyjaciołki ziemi,
Podzieliły się sprawami twojemi.
Głęboko w pięknej zagnieżdżone duszy;
Chyba je twarda sprawiedliwość ruszy.

Już widzę, jak ta wdowa łzy ociera,
Gdy chleb wydarty z twej ręki odbiera:
I powracając do zgłodniałych dzieci,
Z dawnej je nędzy wydobywa śmieci.

Ten, pod ciężarem przemożności stęka.
Kiedy go twoja podźwignęła ręka;
Sprawiedliwości!... wesoło wykrzyka,
Widząc, że swego zrzucił przeciwnika.

Inszy, niewinne dźwigając kajdany,
Ogląda jeszcze dzień dawno widziany;
Pełen wdzięczności i wyrazów tkliwych,
Pochwala bóztwo w sercu sprawiedliwych.

Tu, opuściała w zakłóceniach niwa
Ręki rolnika pracowitej wzywa:
I gdy się swojej korzyści doczeka,
Jednego w głodzie zachowała człeka.

Tam na publicznej upewnienie wiary,
Bogate kupiec rozkłada towary:
W cudzej krainie jak z bracią przebywa,
Bezpieczny życia i majątku, śpiewa.

Indziej sąsiedzi przedtem sobie dzicy,
Głośną skończyli kłótnią w okolicy;
I które ku swej uzbrajali szkodzie,
Temiż rękoma ściskają się w zgodzie.

Te widowiska dla nieba i ziemi,
I tobie, Książe, są najwdzięczniejszemi.
Lecz, niech się w tenczas winowajca zlęknie,
Kiedy pod prawem litość twoja klęknie.

Niemiłość będzie spojrzeć w drugą stronę,
Gdzie zbrodnie stoją smutkiem obciążone;
Gdzie im strach śmierci słabe mdli kolana,
Ani je wspiera litość zmocowana.

Tu krwią zbroczoną szatę rozwijają;
Zbójcę jawnemi dowody nękają;
Jako śmiertelne trzykroć zadał rany,
Od bezbronnego trzykroć zaklinany.

On w całej swojej ponurej postawie
Czarną swą duszę daje czytać prawie;
Że zawziętości żalem nie osłabił,
I gdyby ożył, jeszczeby go zabił.

Tam, ukarany śmiercią z obelżeniem,
Ojciec synowi stał się zawstydzeniem.
Z krzywdą natury, za złym ojca czynem,
Syn nie śmie wyznać, że był jego synem.

Tam się wieśniacy wyniszczeni ześli,
W wybladłych twarzach nędzę swą przynieśli,
Prosząc o litość, wznoszą nieszczęśliwi
Z głodu zemdlałą rękę, co nas żywi.

Pod różnym kształtem ukryta złość czeka,
Śmierci, więzienia, albo wstydu czeka.
Przez chytry wykręt więcej sobie szkodzi,
Który zwyczajnie złym sercom przychodzi.

Próżno się z swojej chce oczyszczać winy:
Nowe odsłania swej zguby przyczyny.
Co, pod pobiałą grunt czarny ukrywa,
Im więcej myte, tem czarniejsze bywa.

Oto już, Książe, krótko określony
Sprawiedliwości medal na dwie strony.
Miła ci pierwsza; czyń gwałt nad pośledną:
Wielu dobremi zrobisz karą jedną.

Naród, który cię do tej władzy wzywa,
Wielkich się zysków od ciebie spodziewa:
Królów, twych dziadów, idąc znanym torem,
Będziesz mu szczęściem, już będąc honorem.

PIEŚŃ XXII.

O powinnościach obywatela, na rocznicę urodzin tegoż Książęcia

W dniu, w którym na świat wyjść pozwolono
Dziecięciu rodu zacnego;
Ojczyzna, na swe biorąc go łono,
Zdaje się mówić do niego:

»Synu! oto są odległe nieba;
»Przez cnoty do nich tór prawy.
»Często ci w górę poglądać trzeba,
»I czytać twoje ustawy.

»Na cóż ci kiedy może się przydać
»Scieszkami chodzić zdrożnemi;
»Z tej wysokości wszystko tam widać,
»Co człowiek robi na ziemi.

»Oto jest ziemia! która na twoję
»W życiu wygodę oddana.
»Zawsześ ją winien kochać, jak swoję;
»Z krwią jest twych przodków zmięszana.

»Te rozrzucone po niej mogiły,
»Są stare groby twych braci:
»Kto dla ojczyzny tak poległ miłej,
»Życia swojego nie traci.

»Jam jest ojczyzna! i nie dość tego,
»Że się nazywasz mym synem;
»Masz mi poświęcić siebie całego,
»I nie mazać się złym czynem.

»Twoje majątki, życie i zdrowie
»Jam dobrem prawem dostała;
»Oddali mi je twoi przodkowie,
»Gdym między niemi wzrost brała.

»W tenczas wiecznemi owemi działy
»Taka ugoda stanęła:
»Wam części sławy mej spływać miały,
»Jam prawo waszej krwi wzięła.

»Gdy cię zawołam w moim ucisku
»Do wspólnej z bracią roboty:
»Niechaj kto inszy biegnie dla zysku,
»Tobie nagrodą twe cnoty.

»Choćby po twojem najlepszem dziele,
»Zawsze o sobie sądź mało;
»Nie myśl, jak dla mnie zrobiłeś wiele,
»Lecz co ci zrobić zostało.

»Jeźli złych losów prześladowanie
»Zdarzy mi ciężkie przypadki;
»Tyś moim zawsze: w jakim bądź stanie,
»Nie masz się wstydzić twej matki.

»Nie rzucaj mojej do śmierci cechy,
»Twym powołaniom podległy:
»By nieprzyjaciel nie miał pociechy,
»Że matkę dzieci odbiegły.

»A gdy nie będzie można wypłynąć
»W upadku mego godzinie;
»Jam aż na tenczas powinna ginąć,
»Kiedy ostatni z was zginie.«

Książe! którego pierwszem staraniem
Iść tym ojczyzny układem;
Który go umiesz wykonywaniem;
Który go uczysz przykładem.

Kiedyś się rodził, dni pogodniejsze
Naszej ojczyznie sprzyjały!
Zaćmiły wszystko burze dzisiejsze:
Biją nas słoty dzień cały!

I my też byli, jak naród drugi!...
Kiedyś i Polak był panem!
Dziś prawie wszystko poszło na sługi,
I ów pan stał się poddanem.

Przecięż ty jeszcze rąk pracowitych
Nie spuszczasz w tak złej kolei:
To, coś utracił w losach niezbytych,
Szukasz odzyskać w nadziei.

Słusznie cię gniewa marne gadanie
I gnuśnych rada niezbożna:
Że twa ojczyzna w takim jest stanie,
Że jej ratować nie można.

Jeszcześ ostatnich sił nie stradała,
Jeszcze jej życia chcą nieba:
Ona niemartwa, ale zemdlała;
Trzeźwić ją tylko potrzeba.

Nie okazujesz twarzy strwożonej,
Choć czasem serce ból czuje:
Aby tem brat twój nie był zgorszony,
Co blisko ciebie pracuje.

Im ci ciężaru więcej powierza
Naród, tem zda się mniej czujesz;
Układasz młodzież *), ćwiczysz żołnierza **),
I sprawiedliwość ratujesz ***).

Szczęśliwość kraju twoim jest celem,
Trudność dodaje ochoty.
Bodaj ten nie był obywatelem,
Kto nie tak myśli, jako ty.

---

*) Jako Komisarz Edukacyi Narodowej.

**) Jako Jenerał kommenderujący w Litwie.

***) Jako Marszałek G. Tryb. W. X. Litewskiego.

Jakąż nagrodę ojczyznać daje?
Oto cię kocha wzajemnie.
Ona ci wieniec kładąc, przyznaje:
Żeś się nie rodził daremnie.

PIEŚŃ XXIII.

Do Wolności.

Zieloną rószczkę w ręce trzymała,
Z drugiej ptak wolny wzlatuje.
Oczy do góry wzniesione miała;
Mdły się pod nogą gad snuje.

Włos rozpuszczony okrywał ciało:
W strój ją niewinność przybrała.
Coś niby mówi: i tak się zdało,
Jakoby śmiało bieżała.

Wolności! córko wysokiego nieba,
Jakże na ziemi było cię potrzeba!
Ten ci to posąg wystawił świat młody
W tenczas, gdy jeszcze nie znano niezgody.

Kiedy żelazo wygodzie służyło,
Ani krwią ludzką pomazane było;
Nikt sobie ziemi nie ogradzał płotem,
Nikt się potęgi nie dokupił złotem.

Ani znał żaden człowiek tych słów dwoje:
Moje i twoje *).

---

*) Opisywali różni uszczęśliwienie wieku złotego, czyli ludzi początkowych na świecie. Wolter znajduje ich najnieszczęśliwszemi; że tyle wynalazków, zrobiło życie nasze teraźniejsze nierównie wygodniejszem; kiedy tamci grubym pokarmem karmieni, na niestatek powietrza wystawieni, podłemi

Pycha w wnętrznościach ziemi zagrzebana,
Nie rozdawała nazwisk: sługi, pana.
Sama w pośrodku swych kruszców bogata,
Nie ozionęła niewinnego świata.

Sława, która dziś krwią się ludzką pasie,
W samem rolnictwie żyła w tamtym czasie:
I za nagrodę wynalezcom dano,
Że ich pieśniami wszędzie wychwalano.

Roskosz ich cała, wśród łąki zielonej
Zbiegać się na głos słowika pieszczony,
Świeżo odkryty strumień czystej wody,
I pierwszy owoc, który dał szczep młody.

Miłość ich samą skłonnością rządzona,
Inszym nie była względem uprzedzona:
Prócz, że Theona miła i niepłocha;
Kocham ją szczerze, bo ona mię kocha.

---

skórami okryci, życie prawie zwierzęce wiedli. Zapomniał Wolter, że mając to, co do utrzymania tylko życia koniecznie potrzebne, a nie znając, ani umiejąc sobie wystawić wyobrażenia stanu lepszego, człowiek zapewne spokojnym będzie: bo do tego tęsknić nie możemy, czego nie znamy. Dawny Spartańczyk swoim smakiem przyprawioną wątrobę, za najlepszą w świecie potrawę sądził: ani go to zatrudniało, jak tam w Persepolis przemyślny Azyi tyran bankietuje. Ludzi pierwszych wieków niepodległość nikomu, przestawała spokojnie na małem bez zbytecznego starania i zabiegów. Zdrowie czerstwe, skutek pokarmów niewymyślnych i jednakich; oto są istotne dobra ich. Wolter wieków naszych, żył w wygodach, ale miał swego Frerona, na którego się skarżył ustawicznie. Miał tyle przesądów wieku, którym ulegać, tyle prześladowania, które ponosić musiał. Oto jest piołun, który wygodniejsze teraz życie nasze goryczą zaprawia. Wszystko od mniemania ludzkiego zawisło; ubóstwo i niewygody za lat dawniejszych nie były nieszczęśliwością.

Sędziwość prawo zwierzchności tam miała,
I same tylko dzieci rozsądzała.
Bo starsi kłótni głośniejszych nie znają;
Sami się zgodzą, kiedy się kochają.

Mówili sobie wolno, co myśleli:
Języka złości jeszcze nie wiedzieli.
Zganienie szczere było tylko zyskiem,
Co dziś zmięszano wraz z urągowiskiem.

W czas dnia świętego po Bożej ofierze
Rzeźwa się młodzież pod twój posąg zbierze.
Tam swoję miłość pasterz śmiało śpiewa,
Tak, jak go natchnie skłonność jego żywa.

Żadnych prawideł mówienia nie znają,
Któremi dzisiaj tak nas przyciskają;
Natura swojej zostawiona sile,
Mówiła krócej, a mówiła mile.

Wolności! matko prawdziwej wymowy *),
Ty sama chyba wiesz, jakiemi słowy
Wyrazić można, że cię już nie mamy!
Nie masz wolności, wymowy nie znamy.

Naprzód, po złotym zaufania wieku,
Zaczynał zwolna nie wierzyć człek człeku,
Potem się zazdrość wkradła z rzeczy małej,
Że owce Lidy piękniejsze się zdały.

Wraz się zaczęła szerzyć miłość własna **),
I wielka ziemia zrobiła się ciasna.
Każdy się silił, czyli moc, czy zdrada,
Mieć to, co lepsze widział u sąsiada.

---

*) Wolne narody były zawsze najwymowniejsze, świadkiem Grecy i Rzymianie dawni, po których tak piękne do tych czas pamiątki mamy.

**) Początkiem złego na ziemi zazdrość i miłość własna.

Tak chciwość przyszła, a z nią tyle złego *)
Z których najpierwsze, prawo mocniejszego.
Próżno natura za słabszym mówiła:
Nieużyta ją przemoc zagłuszyła.

Dopiero bojaźń, jak zwyczajnie bywa,
Lud zalękniony zewsząd pozwoływa **),
Chcąc bronić świętych ołtarzów wolności,
Przeciw gwałtownej kupie przemożności.

Ztąd towarzystwa swój początek miały ***);
Które się pierwej wolne opierały,
Bez krwi wylania, i bez losu wojny:
Aż wreszcie przyszedł Belus niespokojny †).

Ten pychy pełen (jeźli był człek który
Równy mu), tłumiąc w sobie głos natury,
I wszystkie względy braterskiej miłości,
Rzucił się na cię, niewinna Wolności!

Tysiącem trupów drogę sobie ścieli:
Płynie krew, której dotąd nie widzieli.
On nią zbroczony, tych nakoniec wali,
Co się świętego ołtarza trzymali.

---

*) Chciwość jest płodem miłości własnej; z chciwości zaś urosło prawo mocniejszego, które, jako do tych czas zwierzętami rządzi, tak najpierwsze i między ludźmi na ziemi było.

**) Bojaźń, jest własnością powszechną stworzeń żyjących na ziemi, którą im opatrzność w większej, albo mniejszej cząstce, wszystkim podobno dla zachowania każdego rodzaju wlać chciała. Bo ponieważ odwaga jest zaufanie siłom własnym, w tem zaufaniu rzucając się zwierzę jedno na drugie, wyniszczyłyby się do ostatka; kiedy teraz przez bojaźń uchylając się ocalone zostają.

***) W bojaźni ratując się ludzie zebrani w gromady, byli początkiem towarzystwa.

†) Belus w historyi świeckiej, Nemrodem w Pismie świętem nazwany.

Potrzykroć rękę podnosił zuchwałą,
Potrzykroć coś go skrycie zatrzymało.
Wreszcie wstydząc się, że się coś użalił,
Posąg twój święty na ziemię obalił.

Rzeki się w swoim biegu zatrzymały,
I do swych nazad źródeł powracały;
Słońce nie śmiało pokazać się rano,
Widzieć tak ciężko ziemię ukaraną.

Żeby pogardy więcej przyczyniono,
W tem miejscu bałwan Bela postawiono.
Przed którym potem klękając obrazem,
Wolność i Wiara legły jednym razem *).

Takeś upadła, Wolności bez winy!
I od tej zaraz nieszczęsnej godziny
Wszędzie cię ścigał, jak nieprzyjaciela,
Wieczny następca zuchwałego Bela **).

Gdzie dzikie lasy, niedostępna skała,
Tam się goniona wolność ukrywała;
I co ją bardziej jeszcze pokorzyło,
Ród swój szlachetny taić trzeba było.

Aż potem przyszły po długim lat biegu
Czasy; gdzie mały lud przy morskim brzegu,
W swym szczupłym kącie tyranów wygładził,
I wolność na swej stolicy posadził ***).

Ale daleka od piękności dawnej:
Wiele jej ujął ów Likurgus sławny †);

*) Początkiem bałwochwalstwa był posąg Belusa, wystawiony przez Nina, dla czczenia pamiątki tego dzikiego bohatyra, którego z czasem za boga czczono.

**) Despotyzm w Azyi od Bela zaczęty do tych czas się utrzymuje.

***) Harmodyusz i Arystogiton w Atenach tyranów wyniszczyli.

†) Likurgus prawodawca Spartańczyków.

Kiedy z nią razem ważąc i bój krwawy,
Przy jej posągu kładzie posąg Sławy.

Ani strój taki, jaki przedtem miała,
Ale wojenną zbroję przyodziała.
Sąsiad pod nogą przyciśniony stęka;
I cudzą ziemię pokazuje ręka.

Ten ołtarz, który samemi kwiatami
Zdobiono przedtem; wtenczas ofiarami
Krwi ludzkiej spłynął, i w dalekie strony
Niósł miecz Spartańczyk sławą zaślepiony.

Podobnąż wolność i Rzymianie mieli.
Poddających się w niewolą przyjęli;
A tym, u których była wolność miła,
Wojnę broń Rzymska pewną przynosiła.

Wolności! jakeś z nieba wychodziła,
Spokojność pierwej na ziemię zstąpiła;
Potem ojciec twój wysłał cię z inszemi
Równej piękności siostrami twojemi.

Miłość i dobroć obok z tobą były;
Ażeby smutną ziemię pocieszyły.
Potem na serce swoje cię zaklinał,
I łagodnemi słowy napominał:

»Córko! (mówił on) ty idziesz w tę stronę
»Gdzie tak skłonności będą poróżnione.
»Pamiętaj zawsze znosić się z siostrami,
»A niebo będzie między ziemianami.

»Tyś bydź powinna bez pychy, zazdrości,
»Bez próżnej sławy, bez uszczypliwości;
»Tyś bydź powinna udzielna, wspaniała!
»Litosna słabszym, i dla wszystkich cała.«

Gdzież dziś znajdziemy te wolności znaki?
Gdzie miłość bratnia, i gdzie wzgląd jednaki?
Kto jej takiego nazwiska pozwoli,
Gdy chce cudzego życia, lub niewoli?

Jeźli gdzie będzie, będzie prawie głucha,
Co żadnych przyczyn bliźniego nie słucha;
Swem własnem tylko dobrem zaprzątniona,
Albo ze wszystkiem z kraju wypędzona.

I tam, nie wolno obrządku jej czynić
Głośno, chybabyś życie chciał obwinić.
Skrytą ofiarę tylko w sercach miewa,
A przed wyniosłem okiem się ukrywa.

Wolności! dziecię największego pana,
Za nierządnicę dzisiaj poczytana:
Z której miłością w kącie kryć się trzeba,
Jakbyś nie była nigdy córką nieba!

Jak wiele jeszcze mówić należało,
Co z naszym wstydem, i twoją jest chwałą.
Ale próżno się na ten zamach ważę:
Bo co napiszę, to mi bojaźń zmaże *).

PIEŚŃ XXIV.

Z okoliczności czasów Czarnieckiego.

Nieszczęść i sławy pełne owe czasy!
Kiedy się z twardą fortuną za pasy
Wodził Czarnecki, i stawał piersiami
Między ojczyzną, i złemi losami!

Gdy jedną ręką pociskiem ugania,
A drugą króla swojego zasłania;
I do upadku naród pochylony,
Silnemi swemi wstrzymuje ramiony.

---

*) Wiersze te napisane za Kordonem, w kraju od Polski oderwanym.

Jak na wierzchołek niedostępnej góry,
Wszedł niestrzymany, rozdzierając chmury;
I tam wziął wieniec, jakowym za czyny
Mężne, ojczyzna uwieńcza swe syny.

Jak potem z królem zgodnie naród cały
Pierwsze mu daje nagrody i chwały;
I jako przykład bohatyrów rzadki
Swoim go dzieciom pokazują matki.

Sławy narodu pełne dawne lata
Upłynęłyście! dzisiejszego świata
Polak, swych przodków stał się zawstydzeniem,
Ubiorem, bronią, sercem i myśleniem.

Kto pieszczonego wyżenie młodzika,
Gdzie biją słoty, lub słońce dopieka?
On niegotowy na trudy i znoje;
Długie godziny zabrały mu stroje.

Nie dźwignie broni, i serca nie czuje,
Siebie nad całość powszechną szacuje.
I w swym sposobie myślenia tak trzyma;
Że on jest tylko, a ojczyzny nima.

Droga ojczyzno! ojczyzno! dla ciebie
Ten się w przepaści dobrowolnie grzebie *),
Ten śmiało swoje wnętrzności rozdziera **),
Nie chcąc z goryczą żyć, słodko umiera.

Choć Ulissesa roskoszą ujmują ***),
Rozległej wyspy państwo obiecują;

*) M. Kurcyusz dla ocalenia, jak rozumiał, Rzymu, dobrowolnie w przepaść wskoczył.

**) Kato Utyceński, widząc przemagającą fortunę Cezara, i niepodobieństwo podźwignienia wolności Rzymskiej, sam się zabija.

***) Ulisses powracający po zburzeniu Troi, przybył do wyspy Kalipso na morzu Adryatyckiem, gdzie chcąc go utrzymać Kalipso, państwo mu wyspy ofiaru e

On dla swej zawsze ojczyzny jednaki,
Skalistej szuka po morzu Itaki *).

Kiedyś i Polak o życie niedbały,
Tam, gdzie go śmierci tysiączne czekały,
Idąc ku miłej ojczyzny obronie,
W krwi nieprzyjaciół, którą wylał, tonie.

Kiedyś i Polak tęskny po swym dymie,
W tobie wspaniały przykrzył sobie, Rzymie! **)
Powracał do dom, i wdziawszy przyłbicę,
Szedł szablą mierzyć narodu granice.

Które, nie wałem jakim nieprzebytym,
Ale zwycięztwem znaczył znamienitym;
I tam, gdzie ciała nieprzyjaciół guiły,
Usypanemi oddzielał mogiły.

Dziś wszystko cudze milsze nam się zdaje;
Stąd miłość kraju własnego ustaje.
Ni nas przykłady, ni nas klęski wzruszą:
Gnuśność jest naszem i bóztwem i duszą.

Pozwól, Czarnecki! nim twój popiół zginie,
Niech go rozrzucę po tej czczej krainie:
Może bohatyr z niego wstając jaki,
Zgodzi z dawnemi dzisiejsze Polaki.

---

*) Itaka, mała wysepka na temże morzu Adryatyckiem, przy brzegu Grecyi, dziedziczna Ulissesa.

**) Tarnowski, Zamojski, i innych wielu ojczyzny naszej mężów znakomitych, cudze zwiedzali kraje; ale, jak pszczoła pracowita, z skwapliwością i pożytkiem do domu powracali.

PIEŚŃ XXV.

Do Naruszewicza B. K. S. przy oddaniu wierszy na Sumienie.

O ty! któremu Polskie Muzy winne
Wróconą piękność i chwałę;
Coś im z rąk pobrał bawidła dziecinne,
I okrzesałeś zdziczałe.

Coś niedbałością warkocz ich splątany
W porządną kosę posplatał,
I z najpierwszemi Muzami Sekwany
Słodką równością pobratał.

Po Kochanowskim wieniec pozostały
Dwa wieki leżał niebrany:
Na twe go skronie włożył naród cały,
Następco długo czekany!

Przypatrując się twojemu rymowi,
I mnie się pisać zachciało.
Oddaję memu Nauczycielowi
Wiersze, na jakie mię stało.

Szczęśliwyś! czyli śpiewasz gaj zielony,
Jak się kwiatami rozrodzi;
Czyli pod niebo wzlecisz nieścigniony,
Równie ci łatwo przychodzi.

A mnie mój ciężar trzyma na nizinie,
Próżno się w górę podnoszę.
Błogo mi, jeźli jaka się rozwinie,
Taką ci różę przynoszę.

Może przy tobie, co przez dar jedyny
Nie znasz w twym ogniu odmiany:
Ożyłbym, jak ów chłopiec Palestyny,
Tchem ust Proroka ogrzany.

Może przy twojem słońcu, co przyjemnym
Promieniem świeci, i grzeje;
Poszedłbym prościej, a tu w mroku ciemnym
Obłędne chwytam koleje.

Ciężko mi ścigać myśli rozbiegnione,
I w jarzmo wiersza je wprawić.
Przyjmij za dobre, staranie czynione,
Jeźlim nie umiał zabawić.

PIEŚŃ XXVI.

*Duma Lukierdy *), czyli Luidgardy.*

Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu,
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

---

*) Wypis z kroniki Bielskiego o Przemysławie i Luidgardzie: »Piszą o tym królu, iż to była pomsta boża nad nim, o nielitościwy uczynek, który uczynił nad pierwszą żoną swoją Lukierdą, którą potajemnie pannom jej udusić kazał: nie mając do niej przyczyny żadnej, jedno tę, że niepłodną była; jakoby to na woli jej było, a nie w rękach bożkich. Acz choć też miał drugą żonę Ryssę królewnę Szwedzką, tedy z nią tylko jednę dzieweczkę miał która w ośmiu leciech po nim została, a tę pojął Wacław; jako o tem będzie niżej.« Pisze Długosz, iż jeszcze pieśń staroświecką zastał, którą złożono o tej Lukierdzie, a o Przemysławie, i śpiewano ją w Wielkiej-Polsce, w której go prosiła żona jego, aby ją był w jednej koszulce do domu odesłał, a okrucieństwa tego nad nią nie czynił. Była ta Lukierda z książąt Syrbskich z Sasi †), albo Kaszubka.

†) Syrbia, nazywał się dawno kraj, między Odrą i Elbą położony, względem Polski na zachód leżący.

Smutna matka w dłoń uderzy;
Nieszczęściu zaraz uwierzy,
Przyszle mi braty obrońce,
I łuków Syrbskich tysiące.
Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Ale stójcie, Syrby mężne!
Hamujcie razy potężne,
Choć mię Przemysław chce zgubić,
Ja go jeszcze wolę lubić.
Ja się tylko żalę na to,
Że moje upływa lato,
Że mię mej młodości zbawił;
Onby się może poprawił.
Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Szczęśliwsza wiejska dziewico!
Której miłość tajemnicą,
Nie zna jeszcza serca pana:
I ty, co kochasz, kochana.
Ja króla mężnego żona,
Kochając go, pogardzona:
Gdy mi dojmie rospacz sroga,
Bluźniąc, klnę siebie, i Boga.
Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Czego błyszczysz, złoto marne?
Wszystko w oczach moich czarne;
Ten lud przedemną schylony,
I te Przemysława trony.

Obejrzyj się, mężu twardy!...
Jeden uśmiech... a mniej wzgardy...
Wróci szczęściu postać własną,
Da wszystkiemu barwę jasną.
Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Ale on nieubłagany!...
Pójdę do matki kochanej,
Pójdę choć w jednej koszuli:
Ona mię w smutku utuli.
Przechodząc lasów tajniki,
Może litościwszy, dziki
Zwierz mi życia nie uszkodzi:
Na które srogi mąż godzi.
Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Gdzież mię ślepa miłość niesie?
Ona mię zbłąka po lesie,
Fałszywe ścieszki poradzi,
I tu mię nazad sprowadzi;
Żebym zgon mój nieszczęśliwy
Widziała, jak popędliwy
Uderzy hartowną strzałą,
W serce, które go kochało.
Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

PIEŚNI.

KSIĘGA DRUGA.

PIEŚNI.

KSIĘGA DRUGA.

PIEŚŃ I.

Stateczność.

Próżno z mocnemi walczyć niebiosy,
I na uparte narzekać losy!
Mą statecznością samą cieszę się,
I płynę z wodą, gdzie mię poniesie.
Filonie! póki tych oczu staje,
Które z słodyczą na cię patrzyły,
Póki mi serce bić nie przestanie,
Póty mi będziesz nad wszystko miły.
Mienią się lata, noc za dniem żenie,
Ja się w miłości mej nie odmienię.

Czyli w dalekiej żyjący stronie,
Na ukochanem schylony łonie
Szczęśliwej jakiejś rywalki mojej,
Miłość wam usta słodyczą spoi;

Choć tę z goryczą przyjmę nowinę,
Wspomniawszy, że twe serce mem było,
Przecięż cieszyć się znajdę przyczynę,
Że cię kochanie uszczęśliwiło.
Mienią się lata, noc za dniem żenie,
Ja się w miłości mej nie odmienię.

Czy cię twe cnoty do góry wzniosą,
I przyjdzie szczęście niebieską rosą,
Które gdyby mię usłuchać chciało.
Ciebieby tylko za cel swój miało.
Ja na wiadomość szczęścia twojego,
Gdy mej pociechy w sercu nie zmieszczę,
Zgubiwszy pamięć stanu mojego,
Z radości pierwsza w ręce zapleszcze.
Mienią się lata, noc za dniem żenie,
Ja się w miłości mej nie odmienię.

Mnie jakiekolwiek czekają losy,
Czy mi fortuna gotuje ciosy,
Czyli zamyśla cieszyć mą biedę,
Za przeznaczeniem spokojna idę.
Nie zginie u mnie pamięć Filona,
Ani się żadnym odmieni stanem:
Czy przy nim jestem, czy oddalona,
On serca mego do śmierci panem.
Mienią się lata, noc za dniem żenie,
Ja się w miłości mej nie odmienię.

PIEŚŃ II.

Zwycięztwo.

Hoża Temiro, jakową siłą
Sto ocz w twych oczach lgnących widziałem!
A gdy cię między nami ubyło,
Ja na nie więcej patrzyć nie chciałem.

Mieć więźniów, ciebie nic nie kosztuje;
Ale ja ciężar mych więzów czuję.

Kiedy pierwszy raz cię obaczyłem,
Uśmiechając się biegłaś z pospiechem:
Na porę siły twojej trafiłem,
Boś najmocniejsza wdzięcznym uśmiechem.
Mieć więźniów, ciebie nic nie kosztuje;
Ale ja ciężar mych więzów czuję.

Myślałem zaraz: »Jak ona siła
»Nieszczęśliwemi narobi sobą?«
Tyś mi na tenczas coś przemówiła,
I już z drugiemi biegłem za tobą.
Mieć więźniów, ciebie nic nie kosztuje;
Ale ja ciężar mych więzów czuję.

Zwycięztwa takie możeć smakują,
Gdzie ci się zniżyć muszą zuchwali,
Ale zwycięzcy milej przyjmują
Tych, którzy im się zaraz poddali.
Mieć więźniów, ciebie nic nie kosztuje;
Ale ja ciężar mych więzów czuję.

PIEŚŃ III.

Smutek.

Przy strumyku łąka mała,
Wdzięczne ją drzewa zdobiły,
Tam się Lindora schraniała,
Kiedy ją smutki trapiły.

Pojechał Filon kochany,
I zabrał z sobą swe oczy,
Żal zostawił niezrównany,
Co cierpliwe serce tłoczy.

W jękach jej przeszedł dzień cały,
Łzy po pięknej twarzy płyną,
Te strumień czysty zmięszały,
Tamte się kłócą z krzewiną.

PIEŚŃ IV.

Trzeba się kochać.

Trzeba się kochać słodka Rożyno,
Póki rzeźwiejsze lata nie miną,
Na to ci serce i piękność dana,
Żebyś kochała, była kochana.

Trzeba się kochać, wszystko ci gada,
Co tylko żyje, co sobą włada,
Temi prawami rządzi się wiecznie;
Trzeba się kochać, trzeba koniecznie.

Kiedy się trafią oczy przychylne,
Wprzód się szukają przez drogi mylne,
Potem zdybane niby niechcący,
Rozpalają się w płomień gorący.

Zaraz się zwierzą swej tajemnicy,
Źrenica mówi cicho źrenicy,
Co serca słyszą, a nikt na stronie,
To przyjacielskie stwierdzają dłonie.

Prawda, że czasem miłość dokuczy,
Nie śpi, nie jada, troszcze się, mruczy:
Ale i w tenczas, kiedy ją klątem,
Czułem, że była moim żywiołem.

Miłość sprowadza ludzi w gromady,
Matka pokoju, zabrania zwady,
Miłość pociechą w życiu jedyną,
Trzeba się kochać, słodka Rożyno.

PIEŚŃ V

Róża.

Ja róża pierwsza wiośniana,
Jeszcze nie jestem tykana.
Jeszczem dopiero się rozwinęła,
I piękną tę barwę wzięła.

Kiedy wiatr zimny powieje,
Albo gorące przygrzeje,
Chrońcie się ze mną, bom niecierpiąca
Ni zimna, ani gorąca.

Można mi się przypatrować,
I zdaleka się dziwować;
Ale nie mam bydź jeszcze zrywana,
Boby mię szkoda, żem rana.

Wy, w których rosnę ogrodzie,
Dziwiąc się mojej urodzie,
Śpiewajcie wkoło, i czeladź cała:
»Róża się nasza udała.«

PIEŚŃ VI.

Zdrada.

Kiedyś na mnie Temiro
Pierwszy raz spojrzała,
I twą ręką nieszczerą
Miłość zapewniała;
Za blaskiem oka twego
Puściłem się śmiało,
Jak gdyby mi nic złego
Trafić się nie miało.

Poznałem błędy swoje;
Nadzieje kłamliwe;
Te piękne świateł dwoje,
Jak były zdradliwe!
Długo mię ukradzioną
Ścieszką prowadziły,
Nakoniec w niezbrodzoną
Przepaść pogrążyły.

Zgasły światła fałszywe,
A ciemność przybiegła.
Miejsca kiedyś szczęśliwe
Okropność zaległa.
Same na wszystkie strony
Napadam przykrości,
I żal nieutulony
Straconej wolności.

Wpośród lasów zarosłych
Chodząc w mej tęsknicy,
Pytam się drzew wyniosłych
I czystej krynicy,
Którędy wyniść mogę
Na dzień utracony,
Wszędzie zaległ mi drogę
Obłęd pokręcony.

PIEŚŃ VII.

Tęskność, z Francuzkiego.

Jam ją swą ręką sadziła,
Jak rosła, jam ją widziało;
Co się dziś tak rozkrzewiła,
Ta wdzięczna, ta róża biała,

Gdzie ptaszki każdego ranku
Swoje schronienie miewają,
I pod oknem bez przestanku
Na jej gałązkach śpiewają.

O wy niewinne ptaszęta!
Przez litość będę prosiła:
Trzodo miłością przejęta,
Nie śpiewajże mi tak siła!
Kochanka, com go lubiła,
W którym szczęście moje było,
Kiedym teraz utraciła,
Nic mi już więcej nie miło.

Dla swoich zysków na świecie,
Poszedł za wody i lasy,
Niedbały, choć go trud gniecie,
I uciskają niewczasy.
Czegoż on szuka po ziemi?
Gdyby tylko chciał żyć skromnie,
Widziałby oczyma swemi,
Szczęście, które ma koło mnie.

Jaskółki! co niechybnemi
Zwroty na wasze siedliny
Lecąc, czasy wiośnianemi
Czynicie nam nawiedziny!
Wędrowne wy moje ptaki,
Znajome domu mojego,
Sprowadźcież go swemi szlaki,
Sprowadźcież go roku tego.

PIEŚŃ VIII.

Ona się nie skryje.

Kiedyś nadobna Klorydo,
W pośrodku nas przebywała,
Każda nam się chwila śmiała,
Dziś całe smutno dni idą.

Jeden tu za drugim chodzi,
I często się nie poznamy,
Chociaż do siebie gadamy,
Taki nas wszystkich błąd wodzi.

Klorydo! twoje schronienie
Na nic się pewnie nie przyda,
Światło twych oczu cię wyda,
I same wydadzą cienie.

Za miedzianemi ścianami
Niechaj Kloryda się schroni,
Szacunek nasz przejdzie do niej,
Dar ma rozumu z wdziękami.

PIEŚŃ IX.

Pożegnanie.

Oto godzina, cnotliwa Palmiro,
Godzina, w której rozłączasz się ze mną;
Czas ci myśl moję opowiedzieć szczerą,
I odkryć miłość do tych czas tajemną.
Ręka, coć daję na to pożegnanie,
Zaręczać będzie to moje wyznanie.

Gdy w oczach moich nie umiałeś czytać,
Co łzy dla ciebie wylane znaczyły,

Ni o mój smutek nie chciałeś się pytać,
Ni cię wyrazy wierne oświeciły;
Co smutek, i co łzy nie mogły szczere,
Usty wyrażam, że kocham Palmirę.

Kocham Palmirę, bo warta kochania.
Żyje cnotliwie, ma poczciwą duszę.
Może jej serce, co mi się dziś wzbrania,
Może je wierną statecznością wzruszę.
Jakiej bądź każą trzymać się kolei,
Miło pocierpieć dla takiej nadziei.

Gdy do smutnego powrócę się domu,
Moi sąsiedzi zaraz się poschodzą.
Choć o mym smutku nie powiem nikomu,
Oni w przyczynę mych trosków ugodzą:
Jak im opiszę moję ukochaną,
Smutkowi memu dziwić się przestaną.

PIEŚŃ X.

Nieszczęście.

Dogodziło się memu przeznaczeniu,
Już, jak żądało, jestem nieszczęśliwy:
Cała mi folga została w westchnieniu,
I zysk z miłości, żal mój niecierpliwy.
Palmiro! czemuż, gdy szczęście przeminie,
Razem i pamięć o niem nie zaginie?

Żyłem z słodyczą, kiedyś mię kochała;
Kiedy przestajesz, wiek mi mój niemiły,
Nie tak mię twoja ręka zapewniała,
Nie to mi oczy Palmiry mówiły.
Palmiro! czemuż, gdy szczęście przeminie,
Razem i pamięć o niem nie zaginie?

Gdzie się obrócę, twój obraz napadam,
Widzę go w kwiatach, z ptaszęty mi śpiewa,
Któremu kiedy o mym smutku gadam,
Zda mi się, że się z łez moich naśmiewa.
Palmiro! czemuż, gdy szczęście przeminie,
Razem i pamięć o niem nie zaginie?

Marna pociecha nie mieć już nadzieje,
Którą za trudów tak wiele kupiłem;
Zgasło mi słońce, wiatr z innych stron wieje,
Czyliż żyć można tem, że kiedyś żyłem?
Palmiro! czemuż, gdy szczęście przeminie,
Razem i pamięć o niem nie zaginie?

Nie wołam zemsty, chociaż urażony
Jestem życzliwy, jak zawsze ci byłem,
Nie odmieni mię los mój uprzykrzony,
Miej słodycz w życiu, którą ja straciłem.
Palmiro! czemuż, gdy szczęście przeminie,
Razem i pamięć o niem nie zaginie?

PIEŚŃ XI.

Mazurek.

Dobra noc Jacenta:
I wam usta czyste;
I słodkie oczęta,
I piersi parzyste!

Ja nie spać statecznie
Całą noc gotowym,
Bo któż śpi bezpiecznie
Przy skarbie takowym?

Wzięłaś mi sen cały,
Oczu twych czarami,

Nię będę zuchwały,
Żartował z oczami.

Pójdęż ja do fary,
Jak się na dzień zbierze,
Na te twoje czary
Zakupię pacierze.

Kupięż ja i świecę
Za złotowiec cały,
Bym nie miał tęsknicę
Po Jacentej białej.

Przynajmniej uproszę,
Jeźli jest zuchwała,
By, co ja ponoszę,
Toż samo cierpiała.

PIEŚŃ XII.

Szczęśliwość.

Niech komu wielka nadzieja zabłyśnie.
Niech komu szczęście sili się umyślnie,
Ja przy Temirze, gdy siądę bez świadka,
Z całego świata żartuję ostatka.

Gdyby mi za nią król dawał swe grody,
Nie mieniałbym jej za jego dochody:
Tej on w koronie słodyczy nie czuje,
Jaką ja w ustach Temiry znajduję.

Nie na tem ci to szczęśliwość, nie na tem,
Gdy kto na ziemi potężnym, bogatym,
Gdy go sług liczne otaczają zgraje,
Gdy kiedy zechce, gniewa się i łaje.

Często pod pańskie bogate zasłony,
Smutek z rozpaczą wszedł niepostrzeżony,
Który wśród nocy głębokiej ich budzi,
I niecierpliwe serce im zatrudzi.

A ja z Temirą, o cóż się turbuję?
Ja skarb, ja zdrowie, w jej twarzy znajduję.
A gdy mi powie, żem jej wdzięków panem,
Możesz bydź z moim co zrównane stanem?

PIEŚŃ XIII.

Wieśniaczka.

Przestań Damonie szydzić,
Już mi wychodzisz z głowy;
Nie chcę cię ani widzieć,
Ani pragnę rozmowy.
Próżnoby mi to gadał,
Że mię kocha jak życie;
On toż samo powiadał
Niedawno Teoklicie.

Wezmę wieniec różany,
I uplotki świąteczne,
Zwinę warkocz splątany,
I otrę łzy serdeczne.
Choćby się Damon spadał,
Igrać będę z Filonem,
Żeby sąsiad nie gadał,
Że tęsknię za Damonem.

Jeszczem nieprzestarzała,
Rok mi ośmnasty płynie,
Będę ich jeszcze miała,
Męzka mać nie zaginie.

Który żyć będzie skromnie,
Co mało zna kochania,
Ten się niech tylko o mnie
Ojcu i matce kłania.

PIEŚŃ XIV.

Kloe, nazwana Leszkiem białym.

Za panowania Leszka białego,
Chciało się blisko bydź króla tego:
Wszystkie się za nim oczy zwracały,
Bodajto Leszko królował biały.

On tylko spojrzał, wnet się zbiegano,
Skinienia jego uprzedzić chciano.
Oczyma twarde poruszał skały:
Bodajto Leszko panował biały.

Leszko zapłakał, wszędzie płakano.
Myślał, po wszystkich kątach myślano.
Śmiał się, powiały wszystkie się śmiały;
Bodajto Leszko panował biały.

A gdy mu czasem gniewać się chciało,
Winny, niewinny, wszystko to mdlało.
Kocha, boi się Leszka lud cały,
Bodajto Leszko panował biały.

Leszku jedyny! jak może wiele
Rozum dokazać w nadobnem ciele!
Niech tam komu chcą, dają pochwały,
Bodajto Leszko panował biały.

PIEŚŃ XV.

Już ja nie ten.

Lata moje ustąpiły!
Nie wiodą tak o mnie spory,
Jak się dziewczęta kłóciły
Za czasów pięknej Lindory.
Dzisiaj podstarzały
Próżno dla kochanki,
I śpiewam dzień cały,
I przynoszę wianki.
Schylam się już do wieczora!
Już ja nie ten, com był wczora.

Przedtem, gdy mi młodość służy,
Każda mię ujmować chciała,
I do boku bukiet z róży,
Sama Kloe przypinała.
Dziś ledwie wyproszę,
By mi kwiatek dały,
I łudząc się noszę
Ten znak dawnej chwały.
Schylam się już do wieczora,
Już ja nie ten, com był wczora.

Rzeka w górę nie popłynie,
I nie wrócą się me lata,
Wiek mu cały marnie zginie,
Kto z młodu nie użył świata.
Idź Filon w podróży,
Gdzie wiedzie pieszczota,
Dziś ci pole służy,
Jutro będzie słota!
Schylam się już do wieczora,
Już ja nie ten, com był wczora.

PIEŚŃ XVI.

Przeciwko pojedynkom.

Na cóż ten pożar wzmaga się umyślnie?
I sam się niszczy, i miasto pustoszy!
Zaco na brata brat z bronią się ciśnie?
Szuka w swej śmierci, lub w cudzej, roskoszy?
Nie sam nas rozum podniósł nad bydlęta,
Mamy i dzikość większą niż zwierzęta.

Gdy ludzi Bóztwo tworzyło na ziemi,
Kto zgadnie, z jakiej mieć chciało przyczyny,
Abyśmy byli wszyscy błądzącemi,
Jeden drugiego okrywając winy.
Mylnym na świecie każdy idzie torem,
Ty błądzisz rano, a brat twój wieczorem.

Czemu niebacznie wymówione słowo
Ma tyle ważyć, co życie człowieka?
I chociaż nawet umyślnie złą mową
Nieprzyjaciel ci zawzięty wyrzeka;
Gdy będzie warte śmierci złe gadanie,
Wkrótce człowieka na ziemi nie stanie.

O cóż ci chodzi? . . . żyjeszże poczciwie?
I nie zawiodłeś twego powołania?
Niech na cię gada, jak kto chce złośliwie,
Ty jesteś cały, cnota cię zasłania.
Jeszcze prócz tego to odniesiesz w zysku,
Że twój potwarca będzie w pośmiewisku.

Ale, jeżelić prawdę wyrzucono,
Za to, żeś winien, chcesz zabić drugiego!
Wszak coś sam stracił, w tem cię nie skrzywdzono,
Ni twoją zgubą wyjdziesz na lepszego.
Kogo, czy siebie, za co życia zbawić?
Mnieby się zdało, lepiej się poprawić.

Świat, mówisz, życiem każe bronić sławy;
Najgrubszy przesąd wiedzie cię w zapale.
A twardeż na to co mówią ustawy,
Które ci bronią pojedynków całe?
Porzuć świat ślepy; w sprawie z twoim bratem
Przed oświeceńszym rozprawiaj się światem.

Cała podobno przyczyna zostanie
Twego uporu nieprzełamanego,
Że w obelżywym żyć nie mógłbyś stanie,
Gdyby cię miano za bojaźliwego.
Odwago! marny zapęd cię uwodzi!
Nie wszystko ci się, co pomyślisz, godzi.

W sprawie narodu staw się znamienicie,
Broń, gdy cię żąda bliźni nieszczęśliwy,
Śmiele w potrzebie ratuj twoje życie;
Zrobiłżeś co z tych? . . . toś niebojaźliwy.
A jeźlić taka nie przyszła przygoda,
Nie trwoń krwi twojej: lać ją marnie, szkoda.

Lecz zapalczywość kiedy się roznieci,
Na wszystkie względy i ślepa i głucha,
Skąd ma uciekać, tam na zgubę leci,
Że Boga nawet samego nie słucha;
Który już na plac biegnących napada,
I wśród im serca za swem prawem gada:

»Gdzie, mówi, bieżysz, gdzie niesiesz to życie?
»Czyżem nie twój Bóg, który ci je dałem?
»Czyś już pokończył wszystko należycie,
»Czego na ziemi po tobie żądałem?
»Co mię w twem sercu tak mogło obrzydzić,
»Żebyś miał Boga twego nienawidzić?«

Widziałem, kiedy biegnący w zapale,
Czasem się w swoim pędzie zahamował,

Coś się zamyślał, coś mruczał zuchwale;
I gdy tak z swoim Bogiem się mocował,
Wyrwał się, i biegł za złem przedsięwzięciem,
Jakby się wstydził bydź jego dziecięciem.

Potem, przez tłumy ludu pokrewnego
Ciśnie się, co go wstrzymuje do koła:
Tenby go pragnął ochronić samego,
Inszy za jego przeciwnikiem woła:
»Jeźli go, mówi, zbawisz tego świata,
»Oto ja żyję, i stanę za brata.«

Tak zgodne kiedyś mięsza pokolenia,
Przeciw rodowi pobudza ród człeczy,
Że ztąd powszechne widząc zawaśnienia,
Każdy go mija, każdy mu złorzeczy:
»Niech, mówią, pamięć jego wyniszczeje,
»Że skrzywdził wszystkich, i samę nadzieję.«

Już wydarłszy się i ludziom i Bogu,
Na naznaczonem miejscu postawali:
Śmierć się obudwom ukaże na progu,
Żelaza, które do siebie składali;
Kiedy mało im znana, niespodzianie
Matka ojczyzna w pośrodku ich stanie.

W tenczas, kiedy z ran żywa jej krew bieży,
Z ran, co w przygodzie świeżej odebrała,
Nieszczęścia w zdartej znać było odzieży,
A w twarzy smutek, który w sercu miała.
Broń im śmiertelną rękami rozjęła,
I na pół z płaczem tak mówić zaczęła:

»Syny! . . . Nie tędy droga wam do sławy!
»Tu życie razem, i ona się traci.
»Przodkowie wasi wśród wojennej wrzawy
»Znachodzili ją, nie w zaboju braci.
»Do mnie należy rozdawać wam sławę,
»Której nie wzięły pojedynki krwawe.

» To prawo, które dane mi jest z góry,
» Szafować waszem życiem w mej potrzebie,
» Czyliż na siebie ma zlane z was który?
» Czy znacie wartość ojczyzny i siebie?
» Życia waszego szacunek niemały,
» Bo jedno może ocalić kraj cały.

» Dlaczego, gdy was ślepy gniew zajmuje,
» Wasze urazy tak drogo cenicie?
» A ja, w mych klęskach ręki nie znajduję,
» Żeby powszechne zasłoniła życie!
» A ja, w ostatniej hańbie zaniedbana,
» Ani zemszczona, ani żałowana!

» Schowajcie tę broń! która spadkiem sławnym,
» Piękna po dziadach waszych się została,
» Dziś znieważona zarzuceniem dawnym,
» Pierwszego swego blasku płakać miała;
» Aż póki sama w ręce zjednoczone
» Nie podam jej wam na moję obronę.

» Może cierpieniem winy pomażemy,
» I los mię przykry goniąc zmorduje się;
» Na cóż rozpaczać, kiedy nie zgadniemy,
» Co przychylniejsze jutro nam przyniesie.
» Wielkość nieszczęścia wielkie względy wzbudza,
» Może nas słabych wesprze litość cudza.

» Jedną potęgą Europa się chwali:
» Ta mogąc wszystko, nie zechce źle zrobić,
» Ona, jak matka w żalu, różgę spali,
» Jeźli jej przyszło dziecię swoje pobić.
» Najsłodszemi ją przemianami wzrusza,
» To litość serca, to wspaniała dusza.

» Tam się udajcie! . . . tam was widzieć wolę;
» Ona wam góry pozniża wyniosłe,

» Ona honoru pokaże wam pole,
» I sławy szlaki odkryje zarosłe.
» Tak ratując was wspaniałością rzadką,
» Stanie się nową matki waszej matką. «

PIEŚŃ XVII.

Do Ign. Potockiego Pisarza Lit. po śmierci żony jego Elżbiety z Książąt Lubomirskich.

Nad domu twego zwaliskiem
Czego stoisz zapomniony?
I zdajesz się bydź przyciskiem
Ciężkiego losu schylony.

Mężu wielki! nie wiesz tego,
Że z nieba widać na ziemi,
Jak wśród, zapasu gorzkiego,
Człek walczy z losami złemi?

Szczególne dawszy ci dary,
Niebo piękniejsze układa,
Pewnie po tobie zamiary:
Niech słabość łatwo upada.

Ty nie zwodź górnej nadzieje,
Walcz śmiało z twemi losami;
Wznieś oczy, nieboć się śmieje,
A ziemię depczesz nogami.

Gdy ci przyjaciela brała
Natura, łzy wylewałeś;
Już zapłaconą została,
Długi jej z lichwą oddałeś.

Ale wierzyciel twój drugi
Rozum, praw swoich nie traci
Przykrzy ci się o swe długi,
Których oddanie bogaci.

On, chociaż z tobą narzeka
I szkodę twoję uznaje;
Lecz razem uczy, że człeka
Wielkość, nieszczęście wydaje.

Z środka powszechnej ruiny,
Przygody ślepej mścicielki,
Gdzie słabe poległy gminy,
Wzniósł głowę całą mąż wielki.

Pokazał się niestrwożonym,
Nic mu nie mogło zaszkodzić,
Rzekł żywiołom zawaśnionym:
»Ustąpcie, bo mam przechodzić.«

Za temi smutku mogiły
Wdzięczne panuje polecie!
Mówisz, że świat ci niemiły;
Aleś ty został na świecie.

PIEŚŃ XVIII.

Głos zabitego do sądu.

Sędziowie! którym jednym prawo z góry
Życia i śmierci dał sprawca natury;
Jakby nie było i sądu i Pana,
Oto bez wiedzy waszej krew przelana!

Byłem niewinny, a choćbym miał winę,
Prawo mię mogło ukarać jedyne.
Dwóch tu przed wami ukrzywdzonych stawa,
Ja, o me życie; o pogardę, prawa.

Sprawiedliwości powróci się całe
Miecz, który zbójca wydarłszy zuchwale,
Spokojność ludzką na chwilę zakłóci.
Ale kto życie, kto mi życie wróci?

Tam gdzie ja jestem, o słońcu nie wiedzą;
Smutni mieszkańcy w środku nocy siedzą.
Wy jutro białe obaczycie rano,
A mnie na wieczne ciemności skazano.

Wy powrócicie do żon, do rodziny,
Witające was powychodzą syny;
Moja mię nigdy nie ogląda żona,
Wieczną sierotą po mnie zostawiona!

Sędziowie! groby otworzą się ciemne,
I wyjdą z Ablem mieszkańce podziemne,
Sądowe wasze otoczywszy ławy,
Czekać będziemy krwi niewinnej sprawy.

Jeżeli jakim uwiedzeni względem,
Główny kryminał osądzicie błędem,
I staniecie się jak współzabójcami;
Jam naznaczony iść wszędzie za wami.

Gdy przyjaciołmi otoczeni w koło,
Pędzić będziecie godziny wesoło,
Sądząc, że chwile daleko stroskane;
Ja niespodziany w pośrodku was stanę.

Do stołów waszych, na wasze festyny,
Przyjdę mieszkaniec nieznanej krainy,
Z strawą, z napojem, co go wam nalali,
Zmięszam krew moję, którąście zdeptali.

Kiedy po dziennem zapoceniu czoła,
Sen do miłego spoczynku zawoła,
Nie chcąc spokojność mięszać innych ludzi,
Was tylko jednych larwa moja zbudzi.

W tłumie, w ustroniu, w domu, w polu, w drodze,
Najmilszym waszym rozrywkom przeszkodzę.
Ja wszędzie zgonię mego przeciwnika:
Przylecę z głosem dzwonu, lub puszczyka.

Ale wy bacznie zaradzać gotowi
Swemu, i razem memu spoczynkowi.

PIEŚŃ XIX.

Na Imieniny swojej Pani.

Ta, która z złotej kądziele,
Życia twego nici przędzie,
Jeszcze nawoju ma wiele,
Jeszcze na długi wiek będzie.
Już dziś nie smutna, nie wzdycha,
Przy robocie się uśmiecha.

Za mocnemi siedzi wroty,
Pozamykana na klucze,
Gdzie jej kosztownej roboty
Ślepy przypadek nie zbrucze.
Gdzie ją ustronie zakrywa,
Burza przelotu nie miewa.

Pani! widziałem zdziwiony,
Jak przykre losy gonione,
Gdzie tobie tór wyznaczony,
Ażeby nie szły w tę stronę;
I przygoda smutkom rada,
Co i na piękność napada.

Nawet o wdziękach twej twarzy
Staranie pilne mieć chciano.
Oko, coć się ogniem żarzy,
Wśród płomienia zachowano.
Ogniem ciska w każdą stronę,
Choć samo niezapalone.

Przychylne ci przeznaczenia
Z drogi, którąć naznaczyły:

Wszystkie napotem zmartwienia,
Wszystkie przykrości spędziły.
Jedna zazdrość pozostała,
Co się odegnać nie dała.

PIEŚŃ XX.

Przyjaciołki nieszczęśliwe.

Gdy się twa dusza z moją jednoczyła,
Jam czuła zaraz, jak smutek mniej władał;
Miejsce to całe przyjaźń zastąpiła,
I goi rany, co mi tamten zadał.

Przyjaźni! darze łaskawego nieba,
Ty jedna ludzi wspierasz ręką szczerą!
Mnie, której z trosków umrzeć dawno trzeba,
Żal jeszcze życia dla ciebie, Temiro.

PIEŚŃ XXI.

Przewaga zawiści.

Gdybym cię nie kochała, szczęśliwsząbym była!
Z oddaleniem się miłość moja pomnożyła,
Wszystko mi tu o tobie jednostajnie gada,
Sen ucieka, a żal mię troskliwy napada.

Próżno wzdycham zwrócona często na tę stronę,
Gdzie moje w jednym tobie szczęście zostawione.
Ty nie słyszysz jęczenia! . . . A może niestały,
Gdy cię nowe miłości jakie uwiązały;

Rozrywkę sobie czynisz z mej niespokojności;
Kleonie! nie chciej gniewać prawdziwej miłości.
Gdy klękniesz przy Dorydzie, wejdę niespodzianie,
Zawstydzę ciebie, siebie, i jej dowierzanie.

PIEŚŃ XXII.

Do Mądrości.

Mądrości! Matko cnoty! przyjaciołko człeka,
Wago świata, i szczęście dwojakiego wieka! . . ,
Nie ty, co mię nauczasz, jak się kraje rządzą;
Które gwiazdy statkują, które gwiazdy błądzą;
Jak ziemia soki swemi ożywia rośliny,
Jak wieki drogi dyament z podłej robią gliny.
Nie ty która mię wiedziesz lochy podziemnemi,
Gdzie ogień, woda, walcząc z wiatry szalonemi,
Tłuką się i mięszają; że ziemia drży cała,
I żywym ryczy ogniem niecierpliwa skała.
Ani ty, która mierzysz niezmierzoną ziemię:
Gdzie pusta, gdzie ją człecze zamieszkało plemię:
Gdzie się podniósł Kaukazus, albo gdzie Nil bieży;
To raczej wiadomością nazwać przynależy.
Lecz ty mądrości! która w skromniejszej postawie,
Lubisz zasiąść z nędzarzem na ubogiej ławie;
Cieszysz go w jego smutku, że cnotę szanował;
On płakał, lecz cnotliwym że był, nie żałował.
Ty, kiedy prześladuje człeka los pijany,
Uśpisz go niepamięcią, i goisz mu rany.
Albo kiedy fałsz świata inszemi kołacze,
On śmieje się, gdzie płaczą, gdzie śmieją się, płacze.
Ty, co wielkość prawdziwą ludzkiego żywota
Nie imieniem, godnością, ani kupą złota,
Ale mierzysz cnotami! Ten ci znakomity,
Kto serca poczciwego chlubi się zaszczyty.
Ty, co wady bliźniego chcesz abym darował,
Wlewasz mi w duszę słodycz, gdym go poratował.
Co w sumieniu do życia wskazujesz mi drogę,
Każesz znać Boga, chociaż pojąć go nie mogę.
Mądrości! gdzie ty mieszkasz? czy chroniąc się wrzawy
Ulubiłaś ustronia, gdzie swoje zabawy
Z tobą miewał Sokrates, gdy z inszemi dary
Dawałaś mu nauki i cnoty, i wiary.

Czy ty lubisz niziny, czy mieszkasz na górze;
Gdybym ja zajść mógł kiedy na twoje podwórze;
Prosiłbym cię przed twoim nachylony progiem:
»Czy ty jesteś boginią; czy ty jesteś bogiem,
»Zabłyśnij twym promieniem, bo w ciemności stoję,
»Chciałbym iść twoim torem, lecz się nocy boję! . . .
»Drogę mi pozalegał fałsz świata, wzgląd marny,
»Nadzieja za pochlebstwo, za zdradę zysk czarny.
»Prowadź mię światłem twoim, bym nie zbłądził z drogi,
»Jabym nie chciał iść tędy, gdzie się ten lud mnogi
»Zbiega zewsząd, i z taką gorącością tłoczy,
»Który tylko ma ręce, ale stracił oczy.
»Wolałbym gdzie ścieszkami przejść nieubitemi,
»Bym się jako nie zdybał z bogaczami temi,
»U których całem mojem przewinieniem było,
»Że ja jestem ubogi, a im się szczęściło.
»Żebym mógł niedostatek cierpliwie ponosić,
»I, nie prosił, kto nie wart, ażeby go prosić.
»Żebym swe namiętności wstrzymywał na wodzy,
»Bydź przynajmniej cnotliwym, kiedyśmy ubodzy;
»Żebym w domu nie czekał losu, ażby przyszedł,
»Ale przeciwko niemu za granicę wyszedł;
»I tam na polach łaski i nadziei onej
»Czekał nieprzyjaciela nic niezatrwożony;
»Mając cnotę w posiłku, i świadkiem niebiosy,
»Kosztem Boga samego walczył z złemi losy.
»Żebym przy twoich nogach powieki zawierał,
»I nigdy nie żałował; żem żył, lub umierał.«

PIEŚŃ XXIII.

Przeciwko Fanatyzmowi.

Krzyż w jednej ręce, żelazo ma w drugiej,
Zasłonił oczy, pozatykał uszy!
Tak świat obiega, jak jest w sobie długi,
Wszystkiego dotknie, i z gruntu poruszy.

Gdzie tylko przeszedł, krwią ludzką spluskany,
Dojdziesz go czarnym zostawionym śladem:
Lubi kaleki, śmierć, nędzę i rany,
Pije łzy cudze, tuczy się swym jadem.

Gdy złych od dobrych świat obaczy przedział,
Który swym uczniom wyraźnie powiedział:
Temu sędziemu co natenczas rzeczem?
»Ja was na ziemię nie posyłam z mieczem.«

Czy Molochowe wskrzeszamy obrządki,
Gdzie krwią człowieka błagany bóg srogi.
Czy Buzyrysa milsze nam pamiątki,
Który zabijał przychodnia w swe progi.

Oto syn, tłumiąc przyrodzone prawo,
Z własnego ojca uczynił ofiarę:
Ten padł, ów nad nim trzymając broń krwawą,
Wraz wołu rany z raniącym: »za wiarę.«

Wiaro! ty czysta przysłana na ziemię;
Ale cię człowiek zabobonem szpeci;
Ty chcesz, by ludzkie kochało się plemię,
Jako jednego ojca jedne dzieci.

Bóg od nas wszystkich wyciąga swej chwały,
Pod jednym żyje naród ludzki panem;
Afryckich pustyń tułacz ogorzały
Z Laponem, albo Chińczyk z Luzytanem.

Zacóż dla wiary miecz kto w ręku nosi?
Pokrzywdza niebo i prawa natury?
Kiedy ktoś ręce równo ze mną wznosi,
Nie potępiać go, on je wzniósł do góry.

Czyż to nie lepiej Rzym rozumiał stary?
Aby zamięszkom powszechnym zaradził,
Szczęśliwe skutki ze złej robiąc wiary,
Bogi narodów w stolicę wprowadził.

Gdy różne bóztwa ręce sobie dały,
Serapis został Jowiszowym bratem,
Eufrat się z Tybrem w jedno łoże zlały,
Rządził Rzymianin uciszonym światem.

Jeźli niebaczność była dotąd głucha,
Idź ktoś wykroczył przykładami temi:
Człowiek szczególny niech Zwierzchności słucha,
A Zwierzchność Boga, który ojcem ziemi.

Nie mamy prawa z bronią w ręku pytać,
I o rzecz świętą pastwić się nad bratem.
Ty, co te wiersze będziesz kiedyś czytać,
Wspomnij, że chciałeś bydź sędzią i katem.

Jam ci z rąk wyrwał oręż zgotowany,
I ślepy zapęd zwolna ułagodził,
Żeś się nareszcie, już sam przekonany,
Z rozumem, z sercem, i z wiarą pogodził.

Ojczyzno moja! nikt nie widział ciebie,
Abyś się kiedy zmazała tą plamą!
Gdy przyjdzie pora, ratuj się w potrzebie,
A niebo mocne nie da się i samo.

PIEŚŃ XXIV.

Do Pani Elżbiety z Książąt Poniatowskich Branickiej, Kasztelanowej Krakowskiej, H. W. K. w dzień Imienin jej.

Obraz cnoty.

Skromnie odziana, z składu samej twarzy,
Z postaci całej szanować ją trzeba;
Mieszkaniem swojem padół ziemski darzy,
Ale jest córką szczęśliwego nieba.

Zazdrość, czy potwarz oczy na nię zwróci,
Zazdrość, czy potwarz nic jej nie zaszkodzi;
Słodkie spojrzenie z ich pozorem skłóci,
Tak jad śmiertelny ich oczu łagodzi.

Na wierzchu góry mieszkanie zakłada,
Jeszcze ją wkoło broni mur potężny;
Gdzie przy jej nogach nikczemnie upada
Zuchwałych losów pocisk niedołężny.

Tam lubi mieszkać, że i niebo bliżej;
I z swojej góry widzi padół ziemny:
Jak na nim pycha daleko się szerzy,
Jak jej bez cnoty zabieg nadaremny.

Schodzi i na dół często nieżądana
Od ludzi, dla nich zstąpiwszy na ziemię.
Chociaż gardzona i prześladowana,
Świętym uporem lubi człowiecze plemię.

Jak słońce, gdy się z za chmury dobędzie,
Rój pszczół roboczych ku niemu wzlatuje;
Tak nędza pierwsza szukając jej wszędzie,
Pospolicie ją najpierwej zdybuje.

Tym łzy ociera, tym zawija rany,
Aż się ukoi boleść niecierpliwa:
Tym swoją ręką chleb łamie żądany,
Chleb cnoty, który posilniejszym bywa.

Indziej nawałem lasu zagłuszona,
Nędzna roślina ledwie że się czuje;
Ona jej słabe podnosi ramiona,
I ożywnemu słońcu pokazuje.

Na nie wspomniawszy człek prześladowany,
Nieszczęścia swoje swym statkiem przemoże;
Niewinnym dźwigać pomaga kajdany,
I wygodniejszem robi, nędzy łoże.

Dzieci jej, żywioł szanuję surowy;
Z władzą nakaże zapalonej chmurze:
»Tak chce Pan gromu, nie tykaj tej głowy.«
U nóg padł piorun, bokiem poszły burze!

W pośrodku nocy, gdy bogacz łakomy
Skarb swój ogląda, sobie go wychwala;
Lubieżnik wszedłszy w swych miłostek domy,
Kradzionym ogniem płonie i zapala.

W tenczas, na łonie cnoty człowiek prawy
Spokojnie zasnął, we śnie się uśmiecha:
Bo mu się marzą niewinne zabawy;
I roskosz z cnotą, do której śpiąc wzdycha.

Pani! imienin twoich przypomnienie
Przypomniało mi razem obraz cnoty.
Nie masz w nim sztuki, tylko dobre chcenie;
Lepiej go twoje malują przymioty,

PIEŚŃ XXV.

Do młodej Panienki.

Teklo! potrzebna nauka młodemu:
Kto ufał wdziękom i wiekowi swemu,
Jak się cokolwiek schylił do wieczora,
Zwyczajnie płakał na zdradliwe wczora!

Ale ten, który w czasie swej młodości
Potrzebnych jakich nabył wiadomości,
Niemi na różne uzbrojony ciosy,
I wieku przykrość ugłaszcze, i losy.

Jak się pachnące nazywają wody,
Jakie z Paryża wywieziono mody,
Jak trefią włosy, jak się pierś odkrywa,
Nie to się, nie to, ćwiczeniem nazywa!

Znaj twego Boga, twego Boga, który
Na wszystkie twoje sprawy patrzy z góry,
Masz mu bydź wierną, bliźniemu i sobie;
Nie mów o nikim, nie będą o tobie.

I choć masz cnoty; myśl, jakbyś nie miała,
Bo na tem cnota zasadza się cała:
Po takiem serca twojego ćwiczeniu,
Pomyśl o głowy twej doskonaleniu.

Nie czytaj tych ksiąg, z których gadać śmiele,
Ale te, z których robić można wiele.
I to, co teraz za pogardę wzięli!
Nie wstydź się czasem usiąść do kądzieli.

Szczęśliwe twoje babki tak myślały,
Szczęśliwym zięciom cne żony dawały!
Dzisiaj w tym wielki widać niedostatek,
W małżeństwach mało mamy żon i matek!

PIEŚŃ XXVI.

Żebrak przy drodze.

Dawne człeka panowanie,
Niewyniszczone do końca! . . .
Zostało mu używanie
Wolne powietrza i słońca.

Resztę rękami twardemi
Dała możnym przemoc krwawa!
Na cóż mię było na ziemi,
Gdy nic do niej nie mam prawa?

Ptastwo wolno przelatuje,
I wyżywia się z tej niwy;
Tu robak część swą znajduje,
Wziął, wiele chciał, zwierz pierzchliwy!

Ja równym człekiem stworzony,
Próżno pokarmu wyzieram,
Na bujne patrzę zagony,
I z głodu przy nich umieram.

Oto tłum ludzi i koni
Przydrożne zboże wytłacza;
Szum się po powietrzu goni!...
Wozy to idą bogacza.

On nad innych roztargniony,
Z gorącem, z pyłem się biedzi,
Chmurą prochu otoczony,
Że go i niebo nie widzi!

Pochlebca go fałszem truje!
Co zjadło me wyżywienie,
Na ręku przed nim piastuje
Ulubione pańskie szczenie.

Bogacz mym głosem zwrócony,
Na tę stronę głową skinął,
Gdzie ja leżę zapomniony!
Widział kalekę, i minął.

Boże! przy mem prawie stoję,
Zwę cię ojcem ze wszystkiemi:
Nie widzisz!... Ja dziecko twoje
Poniewieram się po ziemi!

Już mi się oczy ztępiły,
Próżno lejąc łzy codzienne;
Nieba się z ziemią zmówiły,
I stały mi się kamienne!...

Nic mię w tem życiu nie cieszy,
Wszystko mija mą koleję
Śmierć się tylko ku mnie spieszy,
Za rękę wiodąc nadzieję.

PIEŚŃ XXVII.

Do Pani Ogińskiej Hetmanowej W. W. Ks. Lit. na Alexandrów, dom wiejski.

Cóżto za siła tym krajem włada!
Co wśród żywiołów nierządu,
Wieczystym bagnom z ufnością gada:
»Weźcie kształt wody i lądu.«

Silnym postrachem gad uderzony
Dawne opuszcza siedliska;
I w oddalone wlekąc się strony,
Krwawemi cętki połyska.

Na jego miejsce ciepłe żórawie,
I od południa ptak mnogi,
Łabędź, i strojne zleciały pawie,
Zaległy wodę i drogi.

Tam cicha cnota ma swe schronienie,
Kiedy się z tłumu wyrwała;
Ona nad blaski przekłada cienie,
Byle coś nieba dojrzała.

Tam czystą myślą w zmówionym czasie
Wierność kochankę całuje;
Tam się niewinność z owcami pasie,
I z pasterkami żartuje.

Tam się zdaleka podróżny zwrócił,
Ani go bierze ochota
Do domu, który dawno porzucił,
Tak miło bawić, gdzie cnota.

Tam z między tylu znajomych pieniem,
Pędząc najsłodszą godzinę,
Śpiewał też także pod drzewa cieniem
Pasterz, co kochał Justynę.

PIEŚŃ XXVIII.

Do Heleny Suffczyńskiej, Chorążanki Łukowskiej, Kanoniczki, w dzień przyrzeczenia jej.

Ty nie przechodzisz za te drzwi stalone,
Gdzie w ustronności głuchej porzucone,
Między żądzami w walce nieustannej,
Jęczą, łajane od natury panny.

Gdzie przy ołtarzu poskładane wieńce,
O które kiedyś zaczepni młodzieńce
Ubiegali się: jak je drżąc składała,
Tak dziś niejedna odebraćby chciała.

Lecz taśmą z kwiatów uplecioną całą,
Jednę ci rękę bóztwo przywiązało,
Drugą masz wolną, ażebyś z kim w czasie,
Dozgonnych związków ślubem złączyła się.

Heleno! spojrzeć chciej tylko do góry,
Oto widząc cię wśród nas Bóg natury,
Z uśmiechem, którym światy rozwesela,
Przyjmuje imie twego przyjaciela.

Niech się kto świętym oddziela uporem,
Bogiem od krewnych, od świata klasztorem;
Twój wybór razem za najlepszy wyzna:
Bóztwo, pokrewni, ten dom i ojczyzna.

PIEŚŃ XXIX.

Do dwóch Synogarlic.

Tę od sąsiada, z daleka drugą,
Pisklęty jeszcze nabyłem;

Wychowałem was moją posługą,
Rękami memi żywiłem.

Dziś was od domu chronię hałasów,
Mieszkaniem darzę zaocznem;
By wam miłosnych nikt nie psuł wczasów,
Okiem nie zajrzał urocznem.

A moja matka ubogim chlebem
Wykarmiwszy mię małego,
Zostawiła mię pod szczerem niebem,
Zostawiła mię samego.

Temira żyje w dalekiej stronie,
W której ja miałem nadzieję!
Gdy za nią częstem westchnieniem gonię,
Może się z moich łez śmieje.

Synogarlico! cóż za przyczyna,
Czego tam wołasz tak zrana?
Czego tam któraś mi przypomina,
Że kochasz, wzajem kochana!

PIEŚŃ XXX.

Przypomnienie dawnej miłości.

Potok płynie doliną,
Nad potokiem jawory,
Tam ja z tobą Justyno,
Słodkie pędził wieczory.

Noc się krótka zdawała,
Żegnamy się z świtaniem,
Miłość sen nam zabrała,
Miłość żyje niespaniem.

Nikt nie widział, nie szydził,
Niebo świadek jedyny!
Jam się nieba nie wstydził,
Miłość była bez winy.

Raz się chmura zebrała,
Piorun skruszył dębinę;
Tyś mię drżąca ściskała
Mówiąc: »Sama nie zginę.«

Oto przy tym strumieniu,
Oto przy tej jabłoni:
Wieleż razy w pragnieniu
Wodę piłem z jej dłoni?

Dziś, kiedy nas w swym gniewie
Los rozdzielił opaczny,
Znaki nasze po drzewie
Popsuł pasterz niebaczny.

I ślady się zmazały!
Las zarasta krzewiną!
Potok, drzewa, zostały;
Ciebie nie masz Justyno!

PIEŚŃ XXXI.

Szczęście przy Dorydzie.

Kiedy ja usiądę koło mej Dorydy,
Oczy w nię wlepię, i zapomnę biedy.

A ona mi jeszcze powie, jak mawiała:
»Daj mi twe serce, jam ci moje dała.«

A ona mię jeszcze ściśnie, pocałuje,
Wtenczas, Dorydo, nic mię nie turbuje.

Niech jak chcą gadają ludzie nieżyczliwi,
Jeszcze się przy mnie Doryda wyżywi.

Czyli palić słońce, czy bić będą słoty,
Dla jej miłości, pójdę do roboty.

Śpiewając przy pracy pieśni o Dorydzie,
Zorzę mój zagon, zapomnę o biedzie.

PIEŚNI.

KSIĘGA TRZECIA.

PIEŚNI.

KSIĘGA TRZECIA.

PIEŚŃ I.

Chustka Aryadny.

Chustko! świadku twej pani radości i smutku;
Jej szczęśliwych kłopotów, jej wadzehań bez skutku,
Czy się do niej obłudnie uśmiechał los zdradny,
Czyli szukał otwarcie zguby Aryadny.

Ciebie ona, gdy słońca upały znosiła;
Tyle razy kroplistym potem urosiła:
Goniąc swoje nadzieje, swoje niepokoje:
Ciężkie smutki dźwigając, ocierała znoje.

Tobą ona, gdy ziemia południem pałała,
Albo gdy gęsta rosa wieczorna spadała,
Tobą ona najbielsze zakrywała łono,
I głowę długowłosą, i twarz wypieszczoną.

Wtenczas, gdy pierwszą schadzkę z swym kochankiem mieli,
Miłość ich oczy wiodła, wraz na nię spojrzeli,
Wtem ją wstyd zarumieni. Co gdy taić chciała,
Oczy chustką zakryła, a serce wydała.

Wtenczas, gdy ją kochanek pierwszy raz napada,
W białe piersi całuje, i do serca gada:
Między piersi i usta równym ogniem tchnąca,
Niechętnie wsuwa chustkę, i niby go trąca.

Ale kiedy fortuny zwróciły się koła,
Aryadna za szczęściem upłynionem woła,
Przeklina dzień okropny, niebo jękiem wzrusza,
Kłóci skały, po stracie swego Tezeusza.

Kiedy zginął jej luby, z nim nadzieja cała,
A tylko przy niej pamięć straty pozostała;
I żalem i rozpaczą nękana kobieta,
Siebie, ziemi i wody, o kochanka pyta.

Wtenczas, czy na wschodzące słońce poglądała,
Czy ziemię okropności nocnej zostawiała,
Dzień i noc łzami zlanej powieki nie zmruży,
Chce umrzeć, znowu nie chce, aby płakać dłużej.

A jeźli ją, chcąc ulżyć wyniszczonej sile,
Sen, przyjaciel nieszczęsnych, pokrzepił na chwilę;
Zrywa się, o kochanku marzeniem złudzona,
Gada z nim, i przyciska do białego łona.

Sny marne uleciały!.. Ta zapamiętała,
Jeszcze omackiem cienia po kątach szukała.
Rozum nadszedł; i gdy ją w dawnym smutku grzebie,
Łaje razem sen, niebo, kochanka i siebie.

Chustko! zawsze przytomna gdy pani płakała;
Tyle razy potokiem łez zmaczana cała,
Tobą ona, gdy miłość dopieka jej duszy,
Gorącą pierś ochładza, i razem cię suszy.

Komuś ryją w marmurze życia jego losy,
Kogoś nam wspominają góry i kolosy:
Ta chustka była świadkiem doli nieporadnej,
Nieszczęściem i czuciem go sławnej Aryadny.

PIEŚŃ II.

Marsz dla żołnierzy.

Ojczyzna na nas woła,
Z nią starce, dzieci, żony;
Kto dźwignąć broń wydoła,
Spieszmy do ich obrony:
Nie trwożmy się, że nas mało,
Którzy idziemy za chwałą,
Bo zawsze nie tłumu siła,
Ale wolna ręka biła.

Oto widać tor krwawy,
Dawny go Lach ubijał;
Idź, jak on szedł do sławy,
Tak stój, goń, bij, jak bijał.
Gdy ogromne ryknie działo,
Przy swych znakach róbmy śmiało;
Nie nas, bracia bój surowy,
Ale podłe trwoży głowy.

Sławo!.. Czy ty na górze,
Czy cię padół uchyli:
Czyli staniesz na murze,
Iść za tobą najmilej!
Gdy się wojna ustatkuje,
Naród wieńce nam gotuje;
Wieńce za poczciwe blizny,
Odebrane dla ojczyzny.

PIEŚŃ III.

Do Temiry.

Na tę nótę: Kiedy ja usiędę, *i t. d.*

Ile razy słodkie oczy twe zdybałem,
Zawsze, Temiro, zawsze pomyślałem:

»Może na mnie patrzy, że jej jestem miły,
»Może z jej sercem oczy się zgodziły!«

Lecz jeźli zawodzić chcesz nadzieje moje,
Nie patrz w tę stronę, gdzie nieszczęsny stoję.

Znasz mię; bo mię moje przygody wsławiły;
Ja to, co byłem celem twojej siły.

Ja to ten, którym ci, gdyś mem życiem chwiała,
Całował rękę, co mię zabijała.

Już dosyć te burze narobiły szkody:
Może, Temiro, zaczną się pogody.

PIEŚŃ IV.

Odpowiedź do Filona, na tęż nótę.

Filonie! w twych ustach widzę twoję duszę;
Mówisz, że kochasz: ja cię kochać muszę.

Ku twoim ja oczom moje posyłała,
Cóżbym na ziemi milszego widziała?

Czemuż nasze oczy gdy się zdybywały,
Te posły, zgody poznać ci nie dały?

Zła dola boleści równe nam rozdała,
Tylkoś ty stękał, ja milczeć umiała.

Teraz losem, sercem, stałością, zrównani,
Cierpimy wzajem: kochamy, kochani.

PIEŚŃ V.

O Temirze.

Temira kłótnie robi mi w domu,
Przyjaźń w mem sercu z miłością drażni;
Pierwszej chcę; drogą gdybym dał komu,
Miłość kraść będzie czas u przyjaźni.
Temiro! pokój zrobisz mi stały;
Weź przyjaźń, miłość i czas mój cały.

PIEŚŃ VI.

Do Pasterki.

Pod mojem oknem, gdzie ma chatka mała,
Lilia wonna sadzona;
Gdy na nię spojrzę, jak wdzięczna i biała,
Myślę o tobie: »To ona.«

Jest też tam u was dąb w twoim ogrodzie,
Wierny miejscowi przez swój zgon.
Gdy go nadybiesz, spocznij w jego chłodzie,
I pomyśl o mnie: »Oto on.«

PIEŚŃ VII.

Do dobrej.

Gdyby się dobroć malować miała,
Z twojejbym twarzy brał na nię wzory;
Tybyś przyjaźni model mi dała,
Albo cnotliwej obraz pokory.
Z tak kosztownemi darami w świecie,
Jeszcze mi czasem powiesz: »Lubię cię.«

PIEŚŃ VIII.

Do Zosi.

Słońce promieniem świeci urażliwym,
Kwiaty swą barwę straciły,
Łąka się wdziękiem uśmiecha fałszywym,
Jam sobie, światu, i świat mi niemiły.

W śmierci mi jedna pociecha została,
Co mię i los mój zagrzebie!
Zosiu! tyś na mnie łaskawie wejrzała,
I żal mi było, słońca, ziemi, ciebie.

PIEŚŃ IX.

Na dedykacyą ołtarza dobroci Elżbiety poświęconego.

Szczerość dobroci daje ofiary,
Niewinne kwiaty dla skromnej cnoty,
Takie świat młody dawał jej dary,
Gdy człek bez złota, pędził wiek złoty.

Ten ołtarz wdzięczne serca stawiały,
Te kwiaty czysta miłość zbierała.
Ty mile patrzysz na ten dar mały,
I dość nam na tem żeś go widziała.

Póki powietrzem tem tchnąć będziemy,
Które brzmi teraz twemi pochwały;
My w tobie zawsze dobroć znajdziemy,
Ty przyjmij od nas życia bieg cały.

Wieczny ten układ czynimy z tobą:
Przy tych dwóch światłach, co noc z dniem wiodą,
I przy tej ziemi, coś jej ozdobą,
I przy tych niebach, co twą nagrodą.

PIEŚŃ X.

Duma.

Gdzie się podziały szczęśliwe lata naszej chwały,
Kiedy się do nas korony świata ubijały?
Kiedy Czech, Węgrzyn, Wołoch, Prus hardy poddaje się,
I od północy Moskwicin twardy berło niesie!

Póki po zbroi Polaka brodę wiatr rozwijał;
Jadł swoje zboże, pił swoję wodę, w tenczas bijał.
Ale, jak zbytki, co wszystko psują, nastąpiły,
Z Polską się bronią same mocują, rdzę i pyły!

Wstań z zimnych grobów, obudź zaspałe mężu jaki,
Pokaż do sławy pozarastałe męztwa szlaki.
I kiedy z siebie nie damy szydzić do ostatka,
Swoich się dzieci nie będzie wstydzić Polska matka.

PIEŚŃ XI.

Do Ks. A. S. G. A. L.

W twej duszy którą masz mężną,
Szukając w smutkach ulżenia,
Otrzyj oczy młoda księżno,
Dziś dzień twego urodzenia.

Patrz, jak się to niebo chmurzy,
Ćmią powietrze śniegi skrzepłe!
Ale po zimowej burzy
Przyjdą kiedyś czasy ciepłe.

Klócąc niebiosa od rana,
Wpośród gorących łez biegu,
Siedzisz nad rzeką stroskana,
A szczęście na drugim brzegu.

Nie dbaj, że wody wezbrały,
Na drugą stronę płyń śmiało;

Niebo, przez swój układ stały,
Szczęście, przewadze oddało.

Czemuż swej sama chcesz winy
Skarżąc się na wyrok wieczny?
Przyjaciół twych i rodziny
Ten dzień łzą hańbisz świąteczny.

Na ciebie piękny syn woła:
»Matko! żyjmy dla nadzieje,
»Ona coś dziś niewesoła,
»Ale się jutro rozśmieje!«

Tyś dla niego urodzona,
A on dla ciebie się rodzi:
Nie będziesz w nim pokrzywdzona;
Młody lew, na lwa wychodzi.

PIEŚŃ XII.

Matka do córki.

Śmiało Anusiu, córko ulubiona!
Oto jest ciężar, a ty masz ramiona.
Widzisz tę górę; po niej ostra ścieszka,
Na samym wierzchu piękna cnota mieszka.
Wszystko zostaw tu na dole,
Spiesz się do góry;
Tam łagodzi nasze bole,
Niebo bez chmury.

PIEŚŃ XIII.

Do BOGA.

Gdym był tak światem, jak insi struci,
Strzegłem pańskiego ruszenia,
Rychło w tę stronę pan oczy zwróci,
Gdziem stał, czekając wejrzenia.

Boże! twe oczy ku mnie zwrócone
I ręka, co mię uściśnie;
A ja tymczasem patrzę na stronę,
Bym cię nie widział umyśnie.

W tenczas, kiedy mię karmisz i poisz,
I nauczasz mię twej wiary,
Chociaż cię czuję, że przy mnie stoisz,
Biorąc dar, ganię twe dary.

Góry i drzewo, wierzchołki swemi,
Ku pięknym niebom się wspina!
Człek, jak kret ślepy, nurza się w ziemi,
I słońce twoje przeklina! . . .

W dniu kary świata nie trać mię Boże,
By się dziwiono wiecznością;
Jak się daleko zapędzić może
Człek głupstwem, a ty, litością.

PIEŚŃ XIV.

Ołtarz wdzięczności NN.

Ręka, która wam kadzidło pali,
Waszemi łaski ruszona,
Niechaj kto dobroć serc waszych chwali,
Jam czuć, nie mówić, stworzona.

Już raz, jak moja wdzięczność jest tkliwa,
Łzami wam memi mówiłam;
Jeźli wymownym płacz kiedy bywa,
Ja tak wymowną już byłam.

Pewnie milczenie me was nie zraża,
Dogadzam waszej skromności:
Słońce w cichości ziemię obdarza,
Ona mu wdzięczna w cichości.

Dawszy wam myśli, dla was ja żyję,
To mi przyświadczy ma dusza;
Czuję, jak teraz serce mi bije,
Mojato wdzięczność niem rusza.

PIEŚŃ XV.

Do grzecznej tylko Lindory, w Lutym.

Kochanków ręce szczęśliwe
Gdy jedna skłonność was łączy,
Ściskanie częste a żywe,
Nigdy się u was nie kończy.

Lindora mi usty życzy,
Ale to iści nieskoro:
Wiele mi mówisz słodyczy,
Mało mię ściskasz Lindoro.

Serce masz twarde, jak krzemień!
Jeźli co prośbą wymogę,
Lindoro! serce twe przemień,
Ja żyć kamieniem nie mogę.

Porzuć jakieś twe tam końce,
Zacznij z ludźmi żyć goręcej,
Tyś pogodna, jak dziś słońce,
Ale chciej mieć ognia więcej.

PIEŚŃ XVI.

Na Wokluz, wody i dom Gotski pod Białymstokiem.

Nad brzegiem góry siedzi dom samotny;
Co dawne Goty piękniejszego miały,
Jak przed lat tysiąc budował wiek zwrotny,
Okna, drzwi, ściany, i skład domu cały;
Wszystko to ręka widoma zebrała,
Nowej robocie starą duszę wlała.

Z pomiędzy arkad, na których gmach wsparty,
Najżywsza woda z wielu miejsc wybiega,
I tam, gdzie padół czekał ją otwarty,
Jakoby w jedno jezioro się zbiega.
Tam ryba między milczącemi brzegi,
Ma wśród wód cichych spokojne noclegi.

Dalej tamami zatrzymane wody,
Z pośrodka głazów z szumem lecą z góry;
Poniżej strumień, i drzew wieczne chłody,
Z których wierzchołkiem chociaż walczą chmury,
Pień ich ogromny, i grunt ich zielony,
Spokojnie patrzą na wicher szalony.

Tam rozmyślanie swe godziny miewa,
Tam i ja miejscem przychodzę ściągniony,
Tam zemną chodzi nadzieja troskliwa,
Posępny smutek, żal nieutulony.
Nad tem strumieniem najmilej mi siadać,
Ilekroć chciałem z sercem mojem gadać.

Ztamtąd poglądam, jak te wody siadły,
Co w spokojności swych brzegów pilnują,
Potem się jednym zakątem wykradły;
I gwałtem z swoich łożysk ustępują.
Potem z szelestem po zielonej błoni,
Wdzięcznym strumieniem woda wodę goni.

Mój to jest obraz! . . zapędzony w lata,
Spokojne mi się podobają wczasy,
Lubię ustronia, gdzie mniej widzę świata,
Lubię tę cichość, którą mają lasy;
A mimo tego częstokroć, jak młody,
I śpiewam pieśni i biegam w zawody.

Ztamtąd poglądam na ten ołtarz święty,
Ołtarz Dobroci świeżo wystawiony,
Gdziem i ja względem próżnym nieujęty,
Śpiewając splatał wieniec zasłużony.

Gdzie wraz z drugiemi cnocie kwiaty dałem,
Bo nie chce złota; ja go też nie miałem.

Tam czasem myślę; jak bez mojej winy
Często mię język złośliwy szkalował;
I choć do gniewu nie dałem przyczyny,
Przecięż zły człowiek źle mię oszacował.
Środkiem gałęzi, któremi wiatr chwieje,
Uzieram nieba, i ból mój wolnieje.

Tam przypominam, jak pełna obłudy
Miłość, przed którąm kolano naginał!
Jak marniem tracił westchnienia i trudy!
I właśnie wtenczas, kiedym ją przeklinał,
Wtenczas, gdym myślił, że stoję na ziemi,
Brzeg się usunął, i płynę z drugiemi!

Jak wiele razy, którą ja szanuję,
Przyjaźń swą dla mnie odmieniała postać?
Chociaż tak wiernie ustaw jej pilnuję,
Przy gorzkim tylko żalu przyszło zostać;
Że na dar serca mojego nie dbano,
Wzięto go dzisiaj, jutro zapomniano!

Tak smutne myśli kiedy mię trapiły,
Eliza z domu swojego wyjrzała;
Oczy jej, ciemność lasu objaśniły,
Śpiewa ptaszyna, łąka się rozśmiała,
Weselsza ryba igrała po wodach;
I jam o moich zapomniał przygodach.

PIEŚŃ XVII.

Korynny żal po młodości.

Nad bystrym potokiem stała,
Biegnących lat żałowała,
I kwiat co się brzegiem wspinał,
Przeszłą młodość przypominał.

Gdzież teraz, myśliła sobie,
Ten, co mię miał kochać w grobie?
Gdzie te kochanków orszaki?
Uleciały bujne ptaki! . . .

A choć się mi co zaświeci,
Słaby lgnie ptak w słabej sieci!
Wszystko gładsza Kloe wzięła,
Mnie daje kwiat, który zmięła! . .

PIEŚŃ XVIII.

Do Zosi.

Tyś tyle razy życia mego chciała!
Tuczysz się łzami mojemi!
Jakbyto roskosz jakowaś bydź miała,
Gdy kto panuje nad nieszczęśliwemi.

Gdyby twa dusza w moją się zmieniła,
Ażebyś czuła mem czuciem,
Jabym cię nigdy nie karał tak siła,
I żyć nie chciałbym, Zosiu, twem zepsuciem.

PIEŚŃ XIX.

Do Macieja.

Macieju! na świat fałszywy,
Zkąd ci ta cnota bez skazy?
Zkądeś tak o kraj troskliwy?
Zkąd szczere serca wyrazy?

Wynidź z tej twojej ustroni,
Niechby o tobie świat wiedział;
Złość się przed tobą zapłoni.
Maciej mi na to powiedział:

»Cóż robić? już mię widziano;
»Rzekł każdy, kto do mnie przydzie:
»Przed wiekiem ten pieniądz brano,
»Dziś, ta moneta nie idzie.«

PIEŚŃ XX.

O. Ś. Kazimierzu Królewicu Polskim, do Alexandry z Czartoryskich Ogińskiej, Hetmanowej W. Ks. Lit.

On tu na ziemi w swych zwłokach spoczywa!
Anioł go jeden skrzydłami okrywa;
Drugi tłum ludu zniża na kolana,
I milczeć każe dla śpiącego Pana!
On tam na niebie, uwieńczywszy skronie,
Bogiem, na Bozkiem opojony łonie,
Bierze z skrzyń złotych sprzęt łask nieprzebrany,
I rzuca szczęście na głodne ziemiany!
Czegóż ty nie masz bydź pewną?
Będąc Kazimierza krewną! . . .

PIEŚŃ XXI.

Do tejże, na dzień urodzin jej.

Słońce codzień rano wstało,
I patrząc po całej ziemi,
Mało ci równych widziało,
Dary serca najlepszemi.

Gdzie nędza w zakącie stęka,
Gdzie się przyjaciel frasuje,
Tę twoja dźwignęła ręka.
Tego, twe serce zdybuje.

Przystępna bez upodlenia,
Szanowana bez bojaźni;
Dzień twojego urodzenia,
Świętem nędznych i przyjaźni.

PIEŚŃ XXII.

Prawdziwa roskosz. Pieśń przetłumaczona z Chińskiego.

Przez lat trzydzieści obłudy i błędów,
(Którym dotychczas oszukany łaję)
Na końcu marnych postrzegłem zapędów,
Że prawda tylko szczerą roskosz daje.

Gdy w tej samotnej bawię okolicy,
Niebo tu tylko spraw moich jest świadkiem,
A myśli moje są, jak na kotwicy,
Między ubóstwem i między dostatkiem.

Jeżeli sława nic o mnie nie gada,
Ani tu potwarz trapi moję duszę;
Mało natrętów we drzwi nasze wpada,
I przed mało się ludźmi chronić muszę.

Żeby się podnieść, żeby kogo zrzucić,
Nie myślę o tem od porannej zorze,
I nie chcąc bardziej świat skłócony kłócić,
Z brzegu poglądam na burzliwe morze.

Jeźli pogodne powietrze śmieje się,
Słodyczy jego z roskoszą używam;
Lecz kiedy zimna, lub upały niesie,
Z książką w mych ręku miłej wiosny wzywam.

Mój stół zbytkami nigdy nie pobłądzi;
Z moją potrzebą, możność moję żenię;
Moim obiadem mój apetyt rządzi,
I mym noclegiem, moje utrudzenie.

Często, pod chłodnem drzew leżąc pokryciem,
Wyzywam Echo; i odpowiada mi:
»Że żyć poczciwie, jest prawdziwem życiem,
»I że śmierć można osłodzić cnotami.«

Gdzie się obrócę, i co tylko poczne,
Kiedy mię cnota przy boku mym krzepi;
Jej towarzystwo sprawuje uroczne,
Że coś wygodniej, coś mi niby lepiej! . . .

Żadne przygody mię nie zasmuciły;
Gdy ona przy mnie, na niczem nie tracę!
Zdrożności tylko, które się trafiły,
Gorzkiem westchnieniem, albo łzami płacę.

Ktoś tam na życie uprzykrzone fuka,
Trucizną trosków przyspiesza skończenie!
Inszy napojów nieśmiertelnych szuka,
Aby swe późne przeżył pokolenie.

A mnie w mem życiu czegoż nie dostaje,
Kiedy żyć dobrze nad wszystko obieram?
I niechaj tylko dziś mi się udaje,
Jutro, na mą śmierć spokojny, umieram.

PIEŚŃ XXIII.

Do Przyjaciela.

Na tem tu miejscu z wami ja żyłem,
Z wami tu wodę Niemnowną piłem,
Też same brzegi, też same ściany,
Gdzie was kochając, byłem kochany.
Ściśnij mię Filon, wzajem ściśnięty,
Śpiewajmy słodycz Przyjaźni świętej.

Za co mi stanie! że mówię śmiało,
»Nic mię od ciebie nie oderwało.«
Ktoś kłóci ludzi, ktoś miasta wali,
My się w zaciszu stale kochali.
Ściśnij mię Filon, wzajem ściśnięty,
Śpiewajmy słodycz Przyjaźni świętej.

Niech mi tu twardy kamień postawią,
Którego późne lata nie strawią;
Na nim dam napis niestarty wiekiem:
»Dwóch ludzi było jednym człowiekiem.«
Ściśnij mię Filon, wzajem ściśnięty,
Śpiewajmy słodycz Przyjaźni świętej.

PIEŚŃ XXIV.

Córka tęskniąca do Ojca.

Ojcze! z twej łaski niczegom niegłodna;
Aleś zapomniał, żem sama została!
Wyczerpaj dla mnie twoje dary do dna,
Gdy cię nie widzę, jakbym nic nie miała.

Ciebie najpierwej witam obudzona,
Dziennej tęsknocie z ciężkością wydołam;
Kiedy co piszę, twe kryślę imiona,
I kiedy śpiewam, ciebie ja to wołam.

Często żałosna poglądam w tę stronę,
Kędy podróżny podróżnego goni;
I po szlaku mi kurzawy wzniesione,
Nadzieję czynią twych wozów i koni.

Ale poznawszy, że ktoś mi nieznany,
Myślę: »Ojciec to jakowyś bezmała,
»Może do córki spieszy ukochanej;
»Co mu się lepiej zasłużyć umiała.«

Ta myśl duszę mi przenika stroskaną!
I chociaż mało nadziei odbieram;
Chociaż niewarta, bym była kochaną,
Środkiem łez w oczach jeszcze cię uzieram.

Powracaj ojcze! powracaj, zaklinam;
Patrzyć mi na cię największą pieszczotą.
Bo w tenczas tylko o tem zapominam,
Że nie mam matki, i jestem sierotą.

PIEŚŃ XXV.

O prawdzie, do Ks. K. P. w dzień Imienin jego.

Prawda i Śmiałość kiedyś w zgodzie żyły,
Podległym światem spokojnie rządziły.
Ratowały się wspólnemi siłami,
I było niebo między ziemianami.

Człowiek, którego ciekawość zgubiła,
Chcąc wiedzieć, ziemia co wśrodku ukryła,
Wszedł w jej wnętrzności kopiąc się powoli;
I znalazł złoto, źródło swej niedoli.

Bóg go przed nami umyślnie tam schował,
I pychę z nieba strąconą przykował;
Aby niewinnej nie kaziły ziemi,
Poprzywalał je góry ogromnemi.

Wyszło Bogactwo przez wrota otwarte,
Z nim Pycha, rogi poostrzając starte.
Ale w początkach skromnie się stawiły,
Prawdzie z Śmiałością spokojnie służyły.

Nie długo potem Pycha się wzburzyła,
Że z zgiętym karkiem za Prawdą chodziła.
Swemu Bogactwu wmawia nowe siły,
By się twardego panowania zbyły.

Ślepe Bogactwo, jak ślepe, się bało;
Przeciw jej władzy nic począć nie chciało.
Otoż jedynie na to się uwzięli,
Żeby od Prawdy Śmiałość odciągnęli.

Złoto swym blaskiem ludzi omamiało;
Śmiałości z Pychą połączyć się zdało.
I, w krótkim czasie skończyło się na tym,
Że ten był pysznym, śmiałym, kto bogatym.

Gdy się tak wzmogło to potrójne stadło,
Dziedziczne Prawdy panowanie padło.
Nad którą w swojem szczęściu zaufały,
Jakże się znęcał sługa spanoszały!

Gdzie obelżenie swe przechody miało,
Wszędzie niewinną Prawdę spotykało;
Że którą kiedyś pod nieba wznaszano,
Niegrzeczną, dziką i zuchwałą, zwano.

Tak od całego świata znieważona,
Chociaż pięknością była obdarzona,
Choć ród szlachetny z nieba wywodziła,
Nie dbano o nię, bo ubogą była.

Otoż porzuca osady nielube;
Czuła na wzgardy, i na naszą zgubę.
Kiedy jej serce boleść przyciskała,
Jeszcze na dom swoj obejrzeć się chciała.

Już górnej pychy dym miasto przycisnął,
Zkąd czasem głową złoty bałwan błysnął:
Lała go próżność, chciwość ubóstwiła,
A podłość przed nim kolano schyliła.

Na większe swoje słysząc udręczenie,
Okrzyk przemocy, i słabszych jęczenie,
Nad losem ludzkim łzy gorzkie roniła,
Tak mocno Prawda człeczy ród lubiła! . .

Długo się potem błąkając nieznana,
Gdy chce do ojca wrócić, zkąd przysłana,
W dzikich pustyniach Nędzę nadybała:
Ręce na piersiach, oczy w niebie miała.

Przy niej kawałek chleba opleśniały,
I zdarte szaty nagość odkrywały;
Suchego ciała ostry głód dowędza,
Siedząc pod strzechą wyrzekała nędza:

»Wyznając Prawdę, wszystkom utraciła!
»Jedna pociecha! żem jej wierną była.
»Gdyby to Boże, nie ty, i nie ona,
»Któżby mógł znosić ubóstwa brzemiona?«

W tem Prawda chleba kawałek spleśniały
Łzami swojemi, gdy obmyła cały,
Poda go razem nędzy zażalonej:
»Oto masz, rzecze, chleb twój osłodzony!

»Jeżeli jeszcze nieszczęsni ziemianie,
»Nie wszyscy moje rwiecie panowanie,
»Jeżeli matka, na ubogiej śmieci,
»Nauczać będzie prawdy swoich dzieci;

»Z wami ja z wami, ubodzy zostanę,
»Będę wam oczy ocierać spłakane.
»W waszych mi chatach, jak w moim kościele,
»Ołtarzem darnie, a ofiarą ziele.«

Książę! imieniem zacny, duszą więcej!
Kiedy fałsz światu dogrzał najgoręcej,
Tyś Prawdę z swoich tajni wyprowadził,
Obok przy sobie z dostatkiem posadził.

Dałeś jej Śmiałość towarzyszkę dawną,
Pychę daleko opędził niesławną,
Tak koło ciebie na ziemskie żądanie,
Prawda swe dawne wskrzesza panowanie.

Ty z nią do króla, do obywatela,
Do nieznajomych, i do przyjaciela,
Śmiało przychodzisz: nie dbając na względy,
Zawstydzasz fałsze, i wytykasz błędy.

Gdzie przed przemocą niewinność klęczała,
Gdzie sprawiedliwość dla ubogich spała,
Tę silną ręką dźwignąłeś, tę zbudził;
O prawdę, nikt cię dwa razy nie trudził.

Przyznaj szczerością serca sławny panie,
Niemasz słodyczy, nad Prawdy wyznanie!
Ja też sam (z tego com widział i słyszę),
Czuję tę słodycz, gdy o tobie piszę.

PIEŚŃ XXVI.

Życie w osobności, z Francuzkiego.

Szczęśliwy! co na roli żyjąc w osobności,
Bez bojaźni, bez żądań blasku i zazdrości! . .
Komu lata jednako przepędzone płyną,
Co go jeden dach widział starcem i dzieciną! . .

Kiedyś po tymże brzegu pacholę igrało,
Gdzie mu dziś wyniszczone odpoczywa ciało;
A kij, na którym biegał w zawody z drugiemi,
Teraz podpiera starca zgiętego ku ziemi!

Niedaleko od jego domu las zarosły,
Którego drzewa wraz z nim rodziły się, rosły.
A ten dąb gałęzisty, który mu chłód sprawił,
W dziecinnych jego ręku żołędzią go bawił!

Chytra zawsze fortuna kiedy inszych truła,
Do wozu go swojego nigdy nie przykuła.
Po krajach nie włóczył się dla marnych pieniędzy,
Aby, szukając szczęścia, nacierpiał się nędzy.

Jego ogród do sytu stół mu opatruje.
W wodzie zdroju swojego najlepszy smak czuje.
A do miasta bliskiego, kiedy inszych bodła
Ciekawość, nigdy go tam widzieć nie powiodła.

Pracą i odpoczynkiem dni swych robił przedział;
O Rzymian historyi nic wcale nie wiedział.
I gdy przygodę jaką chciał wspomnieć przed laty,
To rachował na żniwa, nie na konsulaty.

PIEŚŃ XXVII.

Pieśń Mazurska.

Dla bożej swojej żony,
Maciek wypędzony.

Porzucił dom, stodoły,
Uciekł prawie goły.

Widziałem mało potym,
Jagnę w czepcu złotym.

Przy karczmie na uciesze,
Podkowkami krzesze.

Przewodzi muzykami,
Sypie złotówkami.

Ręce jej pobielały,
Oczy poczerniały.

Wszyscy ją szanowali,
Bo się pana bali.

Nie dbają, choć to Pleban
Broni do mężatki.

Oj będąż w piekle goreć
Po same łopatki.

PIEŚŃ XXVIII.

Do Elżusi.

Elżusiu! nie dufaj sobie;
Błądzą ludzie w mojej dobie,
A w twojej, błąd częściej bywa,
Młodość rzadko oczy miewa.
Na takie w życiu bezdroże,
Któż śmiało puścić się może!

Kto zapewni, że bez szkody
Niebezpieczne przejdziesz brody?
Ten słodkiemi ludzi słowy,
Ten twarzy, ten pięknej głowy.
Ten się od nich złotem różni;
Wszystko to zbójce podróżni.
Rozumiesz, że ten blask słońca
Służyć ci będzie do końca?
Ty nie widzisz, jak z za góry
Zbierają się czarne chmury:
W godzinie burza i grzmoty,
Zaczną może długie słoty:
Elżusiu! póki czas służy,
Weź towarzysza podróży,
Bo wśród niepogód i gromu
Każdy zechce siedzieć w domu.
Pięknyżto widok na ziemi!
Elżusia z oczyma swemi,
Z rozumem, i z cnót orszakiem
Idzie doli swojej szlakiem.
Przy boku jej człek poczciwy,
O nię nad wszystko troskliwy,
Od niepogód ją zakrywa,
I pieśń swego szczęścia śpiewa.

PIEŚŃ XIX.

Pieśń Dziada Sokalskiego, w Kordonie Cesarskim.

Śladem bieda przyszła, śladem!
Za zbytkami, za nieładem.

Długo nad granicą stała,
Wolności się dotknąć bała.

Wolności się dotknąć bała
Bo ją dawno szanowała.

Wolności, niebieskie dziecko!
Ułowiono cię zdradziecko.

W klatkę cię mocno zamknięto,
Bujnych skrzydełek przycięto.

Przedtem u jednego stołu
Król z poddanym jadł pospołu.

Jak ojciec dzieci przyjmował,
Jak swych przyjaciół częstował.

Dziś mu u stołu klękają,
Kości z psiętami zbierają.

Głowę kiedyś w kraju drogą,
Służka pański trąca nogą! . . .

Pochlebcy go otaczają,
Palcem biednego stykają.

Ot, mówią, kość polizuje,
Dawnej wolności żałuje.

PIEŚŃ XXX.

Do Stanisława Małachowskiego, Referendarza Koron. Marszałka Sejmu i Konf. Koron. z okoliczności danej przez niego wolności Poddanym swoim.

Mężu zacny! w podróży twojej dla ojczyzny,
Z trudów doczekawszy się szanownej siwizny:
Nie dbasz na oset, który nawija się drogą,
Co na to tylko rośnie, żeby ukłóć kogo.

Podnieś oczy; oto ten wzgórek umajony
Szlachetnym twym zabiegom miedzą naznaczony;
Tam dla cię wiją spiesznie na skronie święcone,
Córki nieśmiertelności wieńce zasłużone.

Oby te wiersze moje, dzieło słabej ręki,
W pożyczone od cnót twych przybrawszy się wdzięki,
Mogły jako spraw twoich szlachetności sprostać,
I z niemi się do ciągłej potomności dostać.

Zeby kiedyś, gdzie będą twe prochy złożone,
Przy nich je odczytując wnuki opoźnione,
Czuciem obywatelskiem do serca przejęci,
Błogosławili twojej wiekami pamięci.

Nie ślepym dziwacznego losu pchnięty błędem,
Lecz samym wielkiej duszy ruszony zapędem,
Serca tylko twojego pilnujesz ukazu,
Uderzając szczęśliwe razy koło razu.

Po pięknych przyniesionych darach dla ojczyzny,
Obciążasz swoją dla niej poręką, dziedzizny.
Teraz co twoję chwałę, prócz inszych, stanowi,
Dajesz wolność Poddanym, człowiek człowiekowi.

Widzę na koło ciebie tysiączne ich gminy:
Oni się błyszczącemi nie wsławili czyny.
Chyba ten u nich siądzie na poczesnej stronie,
Co więcej wylał potu na pańskim zagonie.

W nędznej chacie zrodzeni, nędzę spadkiem wzięli,
Chlebem łzami skropionym zła dola je dzieli;
Chlebem, który tysiącznym okupują trudem,
Pracują równo z bydłem, a zowią się ludem.

Widzę cię w pośródku nich, ojca z dziećmi swemi,
Cisną się, by stać bliżej pod oczyma twemi;
Ty do nich (gdy skinienia twego każdy czeka):
»Wracam wam stare prawo wolności człowieka.«

Okrzyk wdzięczny o same uderza niebiosy!
Zkąd znowu powtórzone wracają odgłosy;
A za więźniem zbawionej ziemi w tymże czasie
Przeproszona natura ludzka uśmiecha się.

O ty! coś równie twoje uwolnił poddane*),
Szanując na nich człecze piętno niezmazane,

*) Książę Stanisław Poniatowski Podskarbi Wielki Lit.

I serce ich, którem nas złych, dobrych, kochają,
I prawo nieśmiertelne, co do szczęścia mają.

I ty drugi, któremu orząc swe zagony
Śpiewa wesół Litewski rolnik uwolniony *).
Bracia rodu ludzkiego, świata przyjaciele;
Ściśnijcie się: zdrowie wam, życie i wesele!

Jeźli was kiedy zmartwi los niesprawiedliwy,
Obróćcie się w tę stronę, gdzie wieśniak szczęśliwy
Niebu za was ze łzami wdzięczności dziękuje,
Lżej się wam zrobić musi, i smutek sfolguje.

Rozbieży się wasz przykład w różne kraju strony,
Odzyskując ojczyznie ludzi miliony,
Którzy od niej tuleni, będą o nię dbali,
Bo dotąd, co to dobro krajowe, nie znali.

Dziecka swego, kiedy mu rozpłakać się przyjdzie,
Nie będzie mać ubogа zagrażać: »Pan idzie.«
Ani brząkać nad głową ciężkiemi okowy,
Gminu zaległionego urzędnik surowy.

Odtąd pańskie przybycie między swe poddane,
Jak słońca, ziemskim tworom, będzie pożądane.
Gotują się przyjąć go, ledwie że zaświta;
Przyjdzie rano, ptaszyna śpiewaniem go wita.

Odżyją opłowiałe pod niewolą pola,
Zrodzi bujniej sprawiona wolną ręką rola,
Nieznana czerstwość twarze włościan pokrywa:
Bo chleb nawet wolności posilniejszym bywa.

Mężu zacny! toś zrobił w domu mimo chodem,
Cały zajęty z gruzów wstającym narodem;
Gdzie króla, ciebie, i prac twoich towarzysze,
Jak twórców życia Polski, nieśmiertelność pisze.

*) Joachim Chreptowicz Podkanclerzy Litewski uwolnił także Poddanych w Litwie.

PIEŚŃ XXXI.

O znikomości świata.

Świecie! z ślepemi oczyma,
Jak z ludźmi przestajesz!...
Tylu dobrych szczęścia nima,
Tylu złym go dajesz!...
Niejeden sam śmiały
Wrota sobie otwiera;
Inszy mniej zuchwały
Podedrzwiami umiera.

Pod fałszywej hasłem sławy
Czemu świat wojuje?
Tych naraża na bój krwawy,
Wieczność obiecuje!
A człowiek co zgody
Nauczał lud zhukany,
Jakież wziął nagrody?
Niepamięcią skarany.

Ten cnotliwy w gnoju leży,
Ów zbrodzień bogaty!..
Ten za szczęściem wszędzie bieży,
I zdybuje straty.
Próżno walcząc z losem,
Ku niebu wznosi głowę;
Niebo jego ciosem
Nie wzrusza się stalowe.

Boże! co światów tak wiele
Masz dziedzicznych wszędzie;
Jedne z nich kładziesz na czele,
Insze niżej w rzędzie!
Już na tej ziemicy
Jakieś przeżyłem lata;
Przenieś mię z tęsknicy
Gdzie do lepszego świata.

PIEŚŃ XXXII.

Na dzień 3. Maju 1791 szczęśliwie doszłej Konstytucyi krajowej.

Nota: Patrzcie bogacze świata, *i t. d.*

Rzucajmy kwiat po drodze,
Tędy przechodzić mają
Szczęścia narodu wodze,
Co nowy rząd składają.
Weźmy weselne szaty,
Dzień to kraju święcony.
Jakże ten król nasz bogaty!...
Skarb jego, serc miliony.

Uczcie się dzieci nasze
Nócić tę pieśń wraz z nami,
Ażeby wnuki wasze
Śpiewały ją wiekami.
Wstyd wam bogate światy!
Złoty wasz wiek przyćmiony.
Jakże ten król nasz bogaty!...
Skarb jego, serc miliony.

Miasta, wioski, szczęśliwe
Wstawajcie, słońce wschodzi.
Niebo wdało się tkliwe,
I ludzi z ludźmi godzi.
Odzyskaliśmy straty
Bliźni nasz znaleziony.
Jakże ten król nasz bogaty!..
Skarb jego, serc miliony.

Krzywda wam, męże zmarli,
Zeszliście bez nadziei,
Byśmy się jak oparli
Srogich losów kolei.

Odżyjcie skrzepłe braty,
Stan Polski odmieniony!
Jakże ten król nasz bogaty!..
Skarb jego, serc miliony.

Żołnierz kraju obroną,
Miastaśmy podźwignęli:
Już nad każdą koroną
Krwi nie będziemy leli.
Weźmy weselne szaty,
Dzień to kraju święcony.
Jakże ten król nasz bogaty!..
Skarb jego, serc miliony.

PIEŚŃ XXXIII

Z przypadku mostu spalonego w Wilnie do Księdza Poczobuta, Rektora Akademji Wileńskiej, i Księdza Kundzicza, Kanonika Inflantskiego.

Zacni mężе! wasze szkody
Przeszły aż do mej zagrody.
Poczułem je duszą całą;
Umiem czuć, bo się cierpiało.

Most wasz wodom się narażał,
I dzień i noc im odgrażał;
Nie chce (gdy przyszła przygoda)
Ratować go gniewna woda.

Lecz niech się żywioły wadzą;
Niech nam ludziom pokój dadzą;
Gdy tak chwieją naszym stanem,
Jakimże człowiek ich panem!..

W troskach szukajmy ulżenia,
Prócz inszych dróg umartwienia,
Przez ten także iść potrzeba
Most wasz spalony do nieba.

PIEŚŃ XXXIV.

Żona do zmarłego męża.

Mężu! jeszcze tem słodkiem łudzę się nazwiskiem!
Jeźli w grobach jest litość nad ziemian uciskiem,
Czyliż cię stan mój wzrusza?.. Omyłka się stała,
Ty płakać, a ja twoje miejsce zaledz miała.

Nie pójdę, gdzie koło twych zwłoków na przemiany
Śpiewać będą twój pogrzeb posępne kapłany,
Rzucając na twarz ziemię!.. Twarz ta dla mnie miła,
Samem kiedyś wejrzeniem smutki me koiła.

Bóztwo, które mi życie zostawia za karę,
Zabrania z niego czynić żalowi ofiarę.
Pewnieby mi go wzięła ta jędza zajadła,
Rozpacz; co oto teraz obok przy mnie siadła.

Przed śmiertelnemi prędzej złożyłabym wroty,
Krótkie ziemskie pociechy, a długie kłopoty.
Zwłoki me z jegoby się złączyły popiołem,
I w światach tamtych duchy nasze żyły społem.

Tyle lat z nim przeżywszy, co więc zgoda miała,
Wszystkie swoje słodycze na nas wylać chciała;
I co obcym patrzącym do zazdrości było,
Dom, sprawy, słowa, myśli, nic nas nie różniło.

Prawdziwa miłość, którą same tylko znają
Serca, co poczciwości prawideł słuchają:
Miłość codzień w domek mój takie dary niosła;
Śmierć wzięła wszystkie; przy mnie zostawiła posła.

Teraz nic mi niemiłe; z myślami się kłócę;
Siebie i mych przyjaciół narzekaniem smucę.
Jedną stratą tak razem ubyło mi wiele!
Przecięta nić przędzona ze złotej kądziele.

Was, którzy go znaliście, pewnie to nie dziwi,
Że nad insze sieroty żal mój biorę tkliwy.
Bo wspomniawszy na szkodę, czujecie ją sami,
I łzy moje waszemi pochwalacie łzami.

PIEŚŃ XXXV.

Przeciwko samobójstwu.

Filon do Palmiry.

Palmira świat obrzydziła,
Choć ją ziemia ulubiła,
Na złe jakieś mruczy losy,
Kłóci siebie, i niebiosy.

Próżno do skał głuchych gada,
Echo tylko odpowiada,
Jakby chcąc przyczynić męki,
Palmiry powtarza jęki.

Tak szukając końca złemu,
Życiu klęła nieszczęsnemu;
I gdy jej boleść dobodzie,
W rozpaczy biegła ku wodzie.

Nad brzegiem stał Filon tkliwy,
Więcej nad nię nieszczęśliwy;
Ale oswojony z ciosy,
Umiał głaskać srogie losy.

»Dokąd, rzecze, popędliwa,
Zapędzasz się, śmierci chciwa!
Że nad te słońca promienie
Przekładasz grobowe cienie?

Zacóż ci ziemia niemiła?...
Dla ciebie się przystroiła
W tę zieloną szatę w kwiaty,
Niosąc codzień dar bogaty.

Dla ciebie szumią potoki,
Igra z chmurą dąb wysoki,
I w szeleście wdzięcznym liście
Krząta się na pani przyście.

Tobie pieśni słowik śpiewa,
Niesie kłosy bujna niwa,
I na spragnione zagony,
Deszcz pada nieprzepłacony.

Jakież ma zyski zniszczenie?...
Czy to? żem skończył cierpienie?
Nie chcąc czuć, jak los srożeje,
Chcesz grzebać szczęścia nadzieję!

Któż wie? co cię jutro czeka?...
Może chwila niedaleka,
Może, jak zmienny dziwacznie,
Z tobą się los pieścić zacznie.

Nad wszystko: czyś długi one
Z urodzeniem zaciągnione,
Powypłacala każdemu?
Bogu, sobie, i bliźniemu?

Któż to z nas powiedzieć może,
Że ci się uiścił, Boże?
Któżto z ludzi rzecze śmiało?
»Odbyłem powinność całą.«

Czekaj, może na cię czeka
Ten, który nie ma człowieka,
By jego uśmierzył głody,
Spragnionemu podał wody.

Pożyczoncć życie przyszło,
Z ręki wszechmocnego wyszło,
A kto kiedy chce, umiera,
On się w pańskie prawo wdziera.

Czyliż nielepiej, na grobie
Że kiedyś napiszą tobie:
»Palmira, płci swojej chwała,
»Tu legła!... Cierpieć umiała.«

Niż ginąć rozpaczą biedną;
Mogiłę twoję ohydną,
Przez wrodzony wstręt dla człeka,
Przechodzień minie zdaleka.

Ja, co nieszczęściami słynę,
Umiem przetrwać złą godzinę.
Sroży się cios nadaremnie,
On zawsze słabszy nademnie.

Do mnie to wszystkiemi wroty
Wchodzą, kiedy chcą, kłopoty,
I zły los folgując komu,
Mnie zawsze zastanie w domu.

Ze mną się mój krewny wadził
Fałszywy przyjaciel zdradził;
Mnie szarpała potwarz podła,
Nadzieja i miłość, zwiodła.

Grad mijał czyjeś zagony,
Mój plon cały wyniszczony,
Mnie nieprzyjaciel odzierał,
Przyjaciel w ręku umierał.

Przez takie cierniowe drogi
Idąc, kwiat rzucam pod nogi:
Idąc śpiewam bez mruczenia,
Pieśń mojego przeznaczenia.

Ciężar ludziom podzielony,
Jak kto udźwignie ramiony;
I mnie się tyle dostało,
Co się Panu pobobało.

Palmiro! piękne te wody,
Dla twej stworzone wygody,
Nie żeby ci życie brały,
I z daru, karą się stały.

Nie zostawiaj nas w żałobie,
Ziemia nam milsza przy tobie.
Tylu nas twój uśmiech trzyma,
Twojemi żyje oczyma!...

Palmira się zarumieni,
Pojrzała nań za znak zgody:
Tak oboje zwyciężeni,
Ten wejrzeniem, ta dowody.

PIEŚŃ XXXVI.

Na Wiązownę, Dom wiejski Księżnej Radziwiłowej, M. W. Ks. L.

Wszystko tu pięknem utkano,
Gdziem przeszedł, gdziem w cieniu siadał,
To mi słowik mówił rano,
To, biegnąc strumień, powiadał.

Tu Ceres niesie snop w dani,
Gdzie przedtem dzikość mieszkała,
Tu się na głos miejsca pani
Smutna natura rozśmiała.

Strumyku! spiesz się w przeprawie,
Złączysz się z Wisłą za chwilę;
Powiedz tam tęsknej Warszawie,
Spokojność od niej trzy mile.

PIEŚŃ XXXVII.

Matka do swego dziecięcia.

Lasem wiatry zaszumiały,
Dzień ku zachodowi godził,
Deszcze z grzmotami zlewały,
Kiedyś się mój synu rodził!
I gwiazda jakaś niemiła
Rodzicom twoim świeciła.

Nie mnie to słońce wschodziło,
Wszystko mi się czarne zdało;
Jeźli co nadziei było,
Dla niej tylko żyć się chciało;
I srogi się los opierał,
By mi nikt łez nie ocierał.

Bujasz me dziecko po błoni,
Chroń że mi się od przygody!
Ona wszędzie za mną goni,
Znają do nas drogę szkody.
Synu! uśmiechnij się do maie,
Dusza ma smutku zapomnie.

PIEŚŃ XXXVIII.

O Tęczyńskim.

Widział Tęczyński wdzięki Wandalki;
Ta mu spokojność z serca ruszyła;
A na to miejsce z tęsknotą walki,
Łzy, i bezsenne nocy włożyła.
Gdzież taka miłość, jak dawno była!..

Nie ten do swego domu powrócił!
Róża się twarzy w bladą zmieniła,
Siebie i matkę cierpliwą smucił.
Cichość go trula, cichość bawiła,
Gdzież taka miłość, jak dawno była!..

Obraz kochanki wszędzie zdybuje,
Ona z nim w dzikich lasach błądziła,
I gdy na chwilę snu zakosztuje,
Ona mu tylko zawsze się śniła.
Gdzież taka miłość, jak dawno była!..

Przez długie morza płynie do swojej,
Miłość go ogniem wśród wód paliła;
Woda pomniejsze pożary koi,
Ale ten wielki był; nie zgasiła!
Gdzież taka miłość, jak dawno była!..

Już brzeg Wandalski zdaleka zoczy,
Góra się sosną zazieleniła!
Kiedy go nagle wkoło otoczy,
Zbójeckich Danów wojenna siła.
Gdzież taka miłość, jak dawno była!..

Nie jeden poległ z morskich siepaczy,
Bo ich dwoista potęga biła;
Rozpacz miłości, miłość rozpaczy
Wzajemnem męztwem długo broniła.
Gdzież taka miłość, jak dawno była!

Ale przemogły zbójeckie gminy.
I choć odwaga życiem gardziła,
Jeden zostawszy z swojej drużyny,
Oddał się więźniem, przemoc zwalczyła.
Gdzież taka miłość, jak dawno była!..

Z tęsknego gmachu, gdzie był trzymany,
Łzami skropione listy posyła.
Wyrzeka tylko na srogie Dany,
Chociaż go ciężej miłość więziła.
Gdzież taka miłość, jak dawno była!..

Naćóż mu błyszczy to złoto marne!
Próżno mu droga służba świeciła.
Gdy w tego oczach wszystko jest czarne,

Kogo nieszczęsna miłość skwasiła.
Gdzież taka miłość, jak dawno była!..

Wreszcie pod trosków ciężarem pada;
Całe mu siły żałość zwątliła;
W chorobie o swej kochance gada,
Wołał jej, by mu bolu ulżyła.
Gdzież taka miłość, jak dawno była!..

Nad samym zgonu stojący progiem,
Jeszcze się walka nie zakończyła;
Między miłością i między Bogiem,
Dusza mu wyschłą krew opuściła.
Gdzież taka miłość, jak przedtem była!..

PIEŚŃ XXXIX.

Do A. T.

Powiedz mi Poetko młoda,
Czemu czystsza w źródle woda,
Niżli która w rzekach przyszła?
Bo ta świeżo z domu wyszła.
Tamta, różny gdy ląd zmywa,
Pobrzeżnych brudów zarywa.
Gdy patrzę na twój wiek młody,
Ty źródło, my rzeczne wody.
Chroń się w dalszym twoim biegu,
Nad wszystko brudnego brzegu:
Z czem się spotkać, a co minąć.
Odpowiedz mi, jak chcesz płynąć.

PIEŚŃ XL.

Do tejże.

Ty nie chcesz pól kamienistych,
A do łąk wzdychasz kwieciystych.

Kiedyś i do przykrej drogi
Przygotuj cierpliwe nogi.
Zamiar twój widząc zdaleka,
Nie wiesz, co cię w drodze czeka;
Pod różną postacią różni
Grożą ci zbójce podróżni.
Zdybie cię roskosz burzliwa,
Co się słodyczą pokrywa.
Wewnątrz ma ze wstydem, żale,
Chroń się zguby przy tej skale.
Zdybie próżność obłędliwa,
Zwieść zechce Przyjaźń fałszywa.
I złotych blasków pochodnia
Ciągnie za sobą przechodnia.
Na te rozdroża Bellino,
Iść trzeba prostą drożyną;
Zagłuszył ją oset próżny,
Bo rzadki nią szedł podróżny.
Tam góra w pięknej przestrzeni,
Pełna ciernia i kamieni;
Pomiędzy nie wązka ścieszka,
Na wierzchołku cnota mieszka.
Jeżeli pisać ochota,
Odpowiedz mi, co jest cnota?

PIEŚŃ XLI.

Do mojej przyszłej.

Ty! co mym będziesz przywarom ulegać,
I późny ogień miłości zażegać,
Czego po tobie żądałbym, i wzajem
Obacz, coć za twe ofiary oddajem.

Nie chcę cię młodym ozdobionej wiekiem,
Ani przyprawnych jagód róży z mlekiem:
Zima nadchodzi, minąłem się z latem,
Nacóż na mrozy narażać się z kwiatem;

Z którą się wiekiem różnimy niewiele,
Która ma cnotę i rozum w podziele,
Która zna ludzi, ulega w ich błędzie;
Ta mej wędrowki towarzyszką będzie.

Ta, która ucisk jaki wycierpiała,
Znieść złą fortunę, i dobrą umiała;
Dźwigając skromnie nałożone brzemię;
Raz w niebo, drugi spoziera na ziemię.

Przy niej ja stanę, gotów do podróży,
Słota nam, albo pogoda posłuży;
Czy szlak przestrony, czyli się zacieśni,
Szczęścia mojego śpiewać będę pieśni.

Kiedy się burza zawieźmie umyślnie,
I łzy jej z oczu niewinnych wyciśnie,
Ja zebrawszy je, w sercu mojem złożę;
Żal podzielony, nie tak trapić może.

Nie przejdą do niej złej fortuny strzały,
Piersi ją moje będą zasłaniały:
Gdy od pocisków schronię ją do końca,
Nazwę to szczęściem, raniony obrońca.

Dla niej już tylko me poświęcę rymy:
I kiedy zgonem bieg nasz dokończymy,
Jeźli kto zechce o me pisma pytać,
I o niej będzie wiek potomny czytać.

PIEŚŃ XLII.

Szczęście i Nieszczęście, z Francuzkiego.

Szczęście z Nieszczęściem, rodzeństwo,
Nigdy się zgadzać nie chciało.
Fortuny z losem małżeństwo
Zgodne; na świat ich wydało.

Nieszczęście miało złą minę,
I źle je też traktowali;
Lecz szczęście, piękną dziecinę,
Ojciec i matka kochali.

Ledwie doszli tej młodości,
By się czego nauczyli,
Zaraz je do szkół w bliskości
Rodzice zaprowadzili.
Nieszczęście pojęcie miało,
Dobrą skłonność, dowcip czysty;
Szczęście z głową przygłupiałą,
Byłto nieuk wiekuisty.

Nieszczęście do pracowania
Przez swych metrów potępione;
A żyć w pośród próżnowania
Na szczęścia przypadło stronę.
Ale raz Filozofija
Do szczęścia się przywiązała;
Szczęście więcej głupstwu sprzyja;
I wzajemności nie miała.

Nikt nieszczęścia kochać nie chce,
Niezgrabne, zła postać ciała;
Pycha, która z nauk łechce,
W ciebości go pocieszała.
Otoż szczęście bez rozsądku,
Wnet doszło wieku starego:
Schorzałe w lat swych początku;
Skutek to był zbytków jego.

Ale nieszczęście wśród klęski,
Wśród ciosów się otwardziło;
Nie tracąc odwagi męzkiej,
Wszystkie zawady zwalczyło.
O małżeństwie też oboje
Nareszcie stale myślili;
I wszystkie starania swoje
Na to tylko obrócili.

Szczęście, lepszej pary chciało,
Dobrego domu, bogatej:
Skromniejsze żądania miało,
Skromniejsze Nieszczęścia swaty.
Szczęście, Niestałość pojęło,
Razem z losem nieżyczliwym;
Nieszczęście, Nadzieję wzięło,
I sądziło się szczęśliwym.

PIEŚŃ XLIII.

Kupido okradziony, z Francuzkiego.

Kupido raz od swojej matki oddalony,
Odpoczywał pod cieniem zielonego krzaku.
Chłopiec jakiś przechodzi: widząc, że uśpiony,
Wykrada mu kilka strzał z bożkiego sajdaku.

Pyszny taką kradzieżą, w nadziei zdobyczą,
Zawsze potem udawał, że jest Kupidynem:
Przecięż z tych, co na jego usłudze się liczą,
Samych tylko kokietek otoczony gmiuem.

Ale on do czułości podobieństwa nima.
Tamten zawsze dyskretny, delikatny, stały;
Ten się płochości, głupstwa, zuchwałości trzyma;
Jeden z nich prawym bogiem, drugi dziecko cały.

Pocisk jednego pewną ręką wymierzony,
Zapala ogień, który żywi i pożera;
Lecz drugiego niezręcznie postrzał wypuszczony,
W jednym dniu goi ranę, jak w jednym otwiera.

Pierwszemu ja oddając hołd mój, słodycz czuję,
Lubi serce do zgonu chodzić jego drogą:
Gdy moję Kloe do swej służby on przyjmuje,
Ona wie, że raz tylko ludzie kochać mogą.

PIEŚŃ XLIV.

Do Księżny Lubomirskiej Wojewodziny Kijowskiej w roku 1794.

Księżno! gdzież dom równy twemu
Przed lat dwudziestu widziano?
Tam się zabawić każdemu,
Tysiąc gości przyjmowano.

Dziś cię ustronie ukrywa,
Choć wszystkim otwarte wrota;
Nie tak często ktoś przebywa,
Ale mieszka Bóg i cnota.

Winszujęć tych domowników,
Oni z twem sercem gadają,
Oni z tobą bez okrzyków
Bawią, do stołu siadają.

Oby kiedy ten gość z nieba
Zwrócił ku domkowi memu! . . .
Ale ja go czem, jak trzeba,
Nie mam przyjąć po twojemu.

PIEŚŃ XLV.

Pieśń przyjacielska przy kieliszku.

Niechaj kto wzdycha do zbytków,
Jest coś droższego od złota;
Nie żądam wielkich pożytków,
Niech żyje przyjaźń i cnota!
Tu myśli nasze mięszamy
W napoju, który pijemy,
Jednego człeka składamy,
Bo jedną duszą żyjemy.

To u mnie pierwsza przewaga,
Kochać się, to pierwsza rada:
Przyjaźnią wszystko się wzmaga;
Niezgodą wszystko upada.
Niech kłótnia szuka swej zguby!
Nam ręka z ręką się łączy,
Oto przyjacielskie śluby,
Które śmierć chyba zakończy.

PIEŚŃ XLVI.

Pieśń Siostry do Siostry, na Imieniny.

Marcyanno! dziś twe święto!
Już to drugie imie było,
Którem ciebie zwać zaczęto,
Pierwsze mi więcej znaczyło.
Jeszcześ imienia nie miała,
Jam cię moją siostrą zwała.

Dzieciństwo nasze schodziło
Dobrej matce ulegając;
Nic nas w życiu nie różniło,
Ją, siebie, wzajem kochając.
Jak go z kolebki zaczęto,
Trwa do dziś miłości święto.

Daj mi rękę siostro miła,
By nam zkąd nie przyszła strata;
Ty mię będziesz prowadziła,
Wpośród ciernia tego świata.
Idąc wyroków nakazem,
W deszcz, w pogodę, byle razem.

PIEŚŃ XLVII.

Pieśń pasterska do Zosi.

W Zosi wszystkie me żądze,
Zosia moje pieniądze,
Kiedy przy mnie przebywa,
Na niczem mi nie zbywa.

Jeźlibym ją utracił,
Tobym zdrowiem zapłacił;
Tylko gdy ją całuję,
W tenczas życia moc czuję.

Na zielonej leszczynie
Ptaszek śpiewa ptaszynie;
I chwali ją i prosi,
A ja śpiewam mej Zosi.

PIEŚŃ XLVIII.

Pieśń do Laury wodą płynącej na wiosnę.

Ciesz się Lauro, ja się nudzę!
Mem nieszczęściem serce tkliwe!...
Ciebie tam w twojej żegludze
Otacza wszystko szczęśliwe.

Słowik, bo kochany śpiewa;
Ryby, bo wolne pływają;
Kwiaty, bo je Laura zrywa;
Dzieci, bo cię matkę mają.

Płyń zdrowa, płci twojej chwało,
Niech cię zły los nie dotyka,
Niech cię szczęście przejmie całą,
Jak woda wodę przenika.

PIEŚNI NABOŻNE.

PIEŚNI NABOŻNE.

PIEŚŃ I.

Poranna.

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon, Boże wielki!

A człowiek, który bez miary
Obsypany twemi dary,
Coś go stworzył i ocalił,
A czemużby cię nie chwalił?

Ledwie oczy przetrzeć zdołam,
Wnet do mego Pana wołam,
Do mego Boga na niebie,
I szukam go koło siebie.

Wielu snem śmierci upadli,
Co się wczora spać pokładli.
My się jeszcze obudzili,
Byśmy Cię Boże chwalili.

PIEŚŃ II.

Adwentowa.

Grzechem Adama ludzie uwikłani,
Wygnani z Raju, wołali z otchłani;
»Spuśćcie niebiosa deszcz na ziemskie niwy,
»I niech z obłoków zstąpi Sprawiedliwy.«

Błąkał się człowiek wśród okropnej nocy,
Bolał, i nikt go nie wspomógł w niemocy,
Póki nie przyszła wiekami żądana,
Z Judzkiej krainy Panna zawołana.

Ona pokorą i oczy skromnemi
Boga samego ściągnęła ku ziemi,
Że, którego świat nie objął wielkości,
Tego panieńskie zamknęły wnętrzności.

Kiedy z obłoków Pan do nas zstępował,
Świat, jak rozległy, człeka poszanował,
Człeka, przed którym napotem zginano
Niebieskie, ziemskie, piekielne kolano.

Nie naszą jaką zasługą ściągniony,
Miłość go sama wiodła w ziemskie strony:
Wziął ci ło ludzkie, z niem ból, niedostatki,
Zbratał się z nami, był Synem u Matki.

Dajmyż mu za to dzięki, zbiorze wierny,
Że kochając nas, był nam miłosierny;
I wznosząc ręce ku niebu jasnemu,
Śpiewajmy chwałę Bogu najwyższemu.

PIEŚŃ III.

O Narodzeniu Pańskiem.

Bóg się rodzi, moc truchleje;
Pan niebiosów, obnażony;
Ogień, krzepnie; blask, ciemnieje:
Ma granice, nieskończony;
Wzgardzony, okryty chwałą,
Śmiertelny, Król nad wiekami! . .
A Słowo, Ciałem się stało,
I mieszkało między nami.

Cóż Niebo masz nad ziemiany?
Bóg porzucił szczęście twoje,
Wszedł między lud ukochany,
Dzieląc z nim trudy i znoje.
Niemało cierpiał, niemało;
Żeśmy byli winni sami.
A Słowo Ciałem się stało,
I mieszkało między nami.

W nędznej szopie urodzony,
Żłób mu za kolebkę dano!
Cóż jest! czem był otoczony?
Bydło, pasterze i siano.
Ubodzy! was to spotkało
Witać go przed bogaczami!
A Słowo Ciałem się stało,
I mieszkało między nami.

Potem i króle widziani,
Cisną się między prostotą!
Niosąc dary Panu w dani,
Mirrę, kadzidło i złoto.
Bóztwo to razem zmięszało,
Z wieśniaczemi ofiarami! . .
A Słowo Ciałem się stało,
I mieszkało między nami.

Podnieś rękę Boże dziecie,
Błogosław ojczyznę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie,
Wspieraj jej siłę, swą siłą,
Dom nasz i majętność całą,
I twoje wioski z miastami.
A Słowo Ciałem się stało,
I mieszkało między nami.

PIEŚŃ IV.

O Męce Pańskiej.

Człowiek drogę cnót porzucił,
Z niebem i z sobą się skłócił;
Sam Bóg wśród ludzi przychodzi,
Niespokojne plemię godzi?..

Co naucza, zaraz iści,
Pracuje, nam dla korzyści.
Nieść mu z nami ciężar miło,
By lżej człowiekowi było.

O dobro nasze stroskany,
Odpoczywał zmordowany!
Znosił niewczas, głód, pragnienie,
Niszczy go ludzkie zbawienie.

Cóż mu oddał ród zacięty?
Przyszedł do swych, nieprzyjęty.
Jeszcze nań potwarz włożyli,
I ludzie, Boga sądzili!..

Wycierpiał policzki, bicze,
I więzienie niewolnicze,
Sprawca wolności człowieka,
W ciemnym lochu zgonu czeka.

Potem go na śmierć wiedziono,
Z ciernia koronę włożono,
Gwoździami na krzyż przybito,
I włócznią bok mu przeszyto.

Tak świętą krwią zlany cały,
Umarł sromotnie Pan chwały!..
I gdy w ludziach twarda dusza,
Cała natura się wzrusza.

Drży ziemia, słońce zaćmione!
Groby zmarłych otworzone,
W przestrzeniach nieba głos kwili:
»Ludzie, Chrystusa zabili!...«

Boże! miłość i złość była,
Co Cię o śmierć przyprawiła!
Najwyżej każda się wznasza,
Miłość twoja, a złość nasza.

Te gromy karać nas bieżą!..
Lecz w któreż miejsce uderzą
Twe pioruny niewstrzymane,
By nie było krwią twą zlane?

Raczej miej litość nad nami,
Twojemi winowajcami.
I niechaj miecz twój nie tyka
Pokornej szyi grzesznika.

PIEŚŃ V.

O Zmartwychwstaniu Pańskiem.

Nie zna śmierci Pan żywota,
Chociaż przeszedł przez jej wrota;
Rozerwała grobu pęta
Ręka święta!

Adamie! dług twój spłacony! . .
Okup ludzki dokończony.
Wnidziesz w Niebo z szczęśliwemi
Dziećmi twemi.

Nie skarby jakiemi płaci;
Wszystko co mógł stracić, straci;
Całą dla nas krew swą sączy,
Dzieło kończy.

Próżno, żołnierze, strzeżecie!
W tym grobie go nie znajdziecie;
Wstał, przeniknął sklepu mury,
Bóg natury!

On znowu na ludzkie plemię
I na miłą patrzy ziemię,
Jak drogo dzisiaj przybrana,
Kosztem Pana.

Przez twe święte Zmartwychwstanie,
Z grzechów powstać, daj nam Panie,
Potem z Tobą królowanie.
Alleluja.

PIEŚŃ VI.

O Duchu Świętym, tłumaczone Veni Creator.

Duchu Boży mieszkaj z nami;
Nawiedź myśli obłądzone,
Bogacąc nieba łaskami
Serca od Ciebie stworzone.

Pocieszycielu prawdziwy!
Darze Boga wysokiego!
Ty miłość, ogień, zdrój żywy,
Ty olej światła duszneg.

Ty darami siedmioraki,
Ty moc Ojcowskiej prawice,
Ty ruszasz język wszelaki,
Spełniasz Nieba obietnice.

Oświecaj zmysłów ciemności,
Wlej miłość twojem natchnieniem,
Ciała naszego krewkości
Podpieraj Bozkiem ramieniem.

Broń nas od nieprzyjaciela,
Byśmy zewsząd pokój mieli,
I przy tobie wśród wesela,
Przygód wszelkich uniknęli.

Niech nas przez Cię Ojciec słucha
Niech Syna Jego poznamy,
I od nich obudwóch Ducha,
Niech Cię wiarą ogłaszamy.

Chwała bądź Ojcu Królowi;
Synowi oddajmy chwałę!
Chwała Świętemu Duchowi,
Teraz i przez wieki całe.

PIEŚŃ VII.

O Wierze, Nadziei i Miłości.

Ojców naszych Boże stary!
My nie znamy inszej wiary,
Tylko którąś sam objawił,
I pierwszy się Kościół wsławił:
Wiara dla ludzi Niebo otwiera,
Przy niej spokojniej człowiek umiera;
Gdy nas przyciska jaka przygoda,
Któż, gdy nie ona, rękę nam poda?

Nadziejo! coś mi błysnęła,
I w krótkim czasie zniknęła!
Nie tej, którą w losie mamy,
Albo w ludziach pokładamy!...
Ale nadziei wzywam prawdziwej,
W której cieszę się, gdym nieszczęśliwy!
I choć od przygód będę zgnębiony,
Zostanę zawsze niezwyciężony.

Ilekroć oczy tęskliwe
Podniosę w Niebo szczęśliwe,
Nadzieja mi wnet przypomnie,
Co tam obmyślono o mnie!
Ona mi Boga mego wskazuje,
Jak mój majątek! co się nie psuje!
Gdy wiem, że mym się zatrudnia stanem,
W nędzy największym czuję się panem.

Po Wierze i po Nadziei,
Miłość święta na kolei,
Ona ziemię z niebem godzi,
I życia gorycze słodzi.
Kocham, pewna mię wzajemność czeka;
Nie umie zwodzić Bóztwo człowieka!
Albo bliźniemu gdy serce dajem,
I on nie kamień, wzruszy się wzajem.

Boże! do twojego Nieba
Przez te trzy drogi iść trzeba!
Tędy, od złych przygód próżny,
W twym domu stanie podróżny.
Ty moje siły wzmacniaj w tym biegu,
Niźli do mego przyjdę noclegu,
Naprzeciw śmierci niech stanę w zbroi,
Wiary, Nadziei, Miłości twojej.

PIEŚŃ VIII.

O Opatrzności Bozkiej.

Opatrzny Boże na niebie i ziemi!
Znać to, żeś Ojciec, my dziećmi twojemi!
Codzień ci jakieś powinniśmy dzięki,
Za dar widomy, z niewidomej ręki.

Słońce i księżyc za Pana cię znają,
I zawsze ci się najlepiej sprawiają,
Dzienną i nocną odbywając stróżą:
Ma im bydź dobrze, bo tak dawno służą!

Ty Opatrznością Twoją nieodwłoczną
Ubogiej ziemi dajesz barwę roczną;
Ziarno wśród mrozu, grzejesz parą tajną,
I siłę jego umacniasz rodzajną! . . .

Do Ciebie, czy głód, czy cierpi pragnienie,
Oczy podnosi wszelakie stworzenie;
Twoim nakładem, z twej jedzą komory,
Wszystkie powietrzne, ziemne, wodne twory!

Podróżny twoją ręką prowadzony,
Na dobrą drogę wyjdzie obłądzony!
Twojem staraniem zguba nam się wróci:
Bo żal ci, gdy się twój człowiek zasmuci.

Dajesz pogodę i deszcz w swojej porze,
Bydlęta nasze zrachował w oborze! . . .
A gdy o każdem pamiętasz stworzeniu,
I dzieci nasze znasz po ich imieniu.

Opatrzny Boże na ziemi i niebie,
Nie odstępuj nas w wszelakiej potrzebie,
Bo gdy co zrobim naszą tylko siłą,
Zaraz to poznać, że Ciebie nie było.

PIEŚŃ IX.

O Miłosierdziu Bozkiem.

Boże! Twoje zlitowanie
Dobrze padło na człowieka!
On w swoim nikczemnym stanie
Miłosierdzia tylko czeka.

Czemżem to sobie zasłużył,
Żeś mię twej nauczył wiary?
Do swegoś mię boku użył,
Dusznemi poświęcił dary!

Do stołu twego z drugiemi
Idę godownik szczęśliwy!
Nie zazdroszczę bogactw ziemi,
Skarbem moim Bóg prawdziwy.

Karzą śmiercią bunty czyje;
Gdym się na Boga podnosił,
On to widział, i ja żyję! . . .
Chce tylko, bym go przeprosił.

A czasem, choć nas zasmuci,
Że potrzebę kary czuje:
Wnet rózgę na ogień wrzuci;
Jak ojciec, znowu żałuje.

Ten szczęśliwej sprawca doli,
Sam nas do cnót przyprowadza:
Daje łaski z swojej woli,
Potem je niebem nagradza.

Sprawiedliwość gdy na szali
Z miłosierdziem jego stanie;

Zawsześmy to poznawali,
Że przeważa zlitowanie,

Ale w ostatnią godzinę
Największej litości trzeba!
Ufam Boże, że nie zginę,
Tyś dla grzesznych zstąpił z nieba.

PIEŚŃ X.

O Cierpliwości Chrześcijańskiej.

Będę cierpiał, bom zasłużył!...
Panum się memu zadłużył,
Aby mię w sądnym dniu onym,
Nie znalazł niewypłaconym.

Czyli mię człowiek kłótliwy
Lży przez język uszczypliwy,
Tem się będę zaspokajał:
»Bóg przysłał go, by mię łajał!«

Czy choroba dom mój psuje,
Czy mię potwarz prześladuje,
Nie mruczę pod mym ciężarem,
I karę uznaję darem.

Niech mam zmartwienie w sąsiedzie,
Niech mię przyjaciel zawiedzie,
Pan mię mój przyjmie z weselem,
I będzie mi przyjacielem.

Mór bydła, wylewy wody,
Grady, ogniowe przygody,
Choćby Bóg więcej kar złączył,
Wiemy, jak z Jobem zakończył!

To, co nas po śmierci czeka,
Nad wszystko wspiera człowieka!...
A zmartwi mię zła godzina,
Niebo, cierpliwych kraina.

PIEŚŃ XI.

O Dniu Sądnym.

Nie próżnoś Boga grzesznika znieważał,
On twoje kroki najmniejsze uważał!...
Kiedyś do świata rachunków zasiędzie,
I ten twój świadek, sędzią twoim będzie.

Co tylko w sercu tajemnego było,
Coś myślił, że się wśród nocy ukryło,
Wszystko to promień prawdy jego zbada,
I wszystko winne sumienie wygada.

Biada ci ojcze i matko niedbała;
Żeś wstydu dzieci twych nie nauczała!
Powstaną na was te córki i syny,
I złorzeczyć wam będą tej godziny.

Wy! coście swego bliźniego skrzywdzili,
Na życie, sławę, majątek, godzili;
Prawo was Bozkie będzie potępiało,
Które bliźniego kochać rozkazało.

Wy! coście gorsząc niewinność skazili!
Albo małżeństwa święte pogwałcili,
Albo przed Bogiem nie zgięli kolana:
Sprawiedliwego w nim znajdziecie Pana.

Wy! coście w zbytkach świata utonęli,
Że Bóg na niebie żyje, zapomnieli!..

Głos was ogromny sędziego obleci
»Nie znam was, nie znam. Wy nie moje dzieci.

»Czyżem was codzień nie czekał w kościele?
»Czym dla ubogich od was żądał wiele?
»Czylim nie kazał? Nie dał wzoru cnoty?
»Czyto zysk mały, niebo, za kłopoty?

»Sypałem łaski, chocieście zuchwali,
»Ani prosili, ani dziękowali!
»Odbierzcież karę, której wiek nie zmaże,
»Serce jej nie chce, sprawiedliwość każe.«

W tenczas okropna zacznie się godzina,
Żegnać się będzie z rodziną, rodzina!
I przyjaciele w pośród narzekania,
Opłaczą moment tego pożegnania.

Teraz do Boga kwap się zborze wierny,
On dziś odpuszcza, on dziś miłosierny!
Bo kiedy sądzić świat cały zasiędzie,
Któż z ręki jego grzesznika dobędzie?

PIEŚŃ XII.

Na pamiątkę 3go Maja 1791.

Boże! ludzie twoi przyszli
Dziękować ci w twojej sieni,
Że z dawnych nierządów wyszli,
Łaską twoją podźwignieni!
Sąsiad stanął zadziwiony:
»Tenżeto naród zgubiony?«

Zdziwiło to ziemię całą,
Jak się kraj nasz chwały dobił;

Bo nie wiedzą, co się stało,
Że Bóg sam wszystko to robił!
Boże! widzieliśmy sami,
Że ty byłeś między nami!

On to w nasze niepogody
Zbierał serce na swe łono,
I natchnął je duchem zgody,
I dał stałość niezwalczoną.
Tak sam pełniąc dzieło całe,
Jeszcze nam ztąd zjednał chwałę.

Teraz jego wyzwoleńce,
Nie dawno prześladowani!
Chodzimy włożywszy wieńce,
Szatą łask Pańskich odziani!
Narody miejsce zrobiły,
Gdzie stanie lud Bogu miły.

Za to wszystkie kraju stany
Niesiemy ci Boże! dzięki,
Że każdy z nas ratowany,
Mocą dzielnej twojej ręki,
I dzień ten Pańskiej opieki,
Święcić będziemy na wieki.

PIEŚŃ XIII.

O dobre rady Stanom Narodu.

Ty, który jeden znasz proste drogi,
Człowiek prosi cię Boże!
On ociemniony, on twój ubogi,
Ratuj go, upaść może.

Światła twojego oświeć promieniem
Stanów zebranych rady,

Owieczki twoje prowadź skinieniem,
Pójdą za tobą w ślady.

Oni się w imię twe zgromadzili,
Dolą kraju zajęci:
Przed sąsiadami cię rozgłosili:
Że nas ratujesz z chęci.

Nie zawódź naszej nadziei Panie,
Oświecaj nasze myśli:
Abyśmy radząc o kraju stanie,
Gdzie przyjść potrzeba, przyśli.

PIEŚŃ XIV.

O Błogosławieństwo Krajowi.

Boże! kiedy wiarę świętą
W kraju naszym czcić zaczęto,
Dałeś nam prawo, do twej opieki,
My ci się dali na wieki!

Niech cię złość nasza nie trzyma
Zwróć się w tę stronę oczyma,
Gdzie miłosierdzie czyni nadzieję,
A sprawiedliwość zwolnieje.

Pobłogosław tę twą ziemię,
I na niej żyjące plemię,
Króla i stanów sam sprawuj wolą,
Najlepszą im wybierz dolą.

Pobłogosław miasta twoje,
Wioski i wieśniacze znoje!
I dzieci nasze dla twojej chwały:
Daj nam zdrowie, pokój stały.

Koło niwy rolnik chodzi,
Ona bez Boga nie zrodzi,
Onto sam tylko plenność jej daje.
Pobłogosław urodzaje.

Daj, co widzisz potrzebnego,
Dla dobra narodu twego,
Niech prosto chodzim w twoim zakonie,
Błogosław, w życiu i w zgonie.

PIEŚŃ XV.

Podczas wojny.

Gdyśmy na pańskiej usłudze stali,
Skinienia jego strzegli,
Sąsiedzi nasi na to czekali,
I niespodzianych zbiegli.

Tyś widział Boże, żeśmy do kłótni
Przyczyn żadnych nie dali,
Po życie nasze przyszli okrutni,
Sławę, majątek, brali.

W takiej przygodzie, cóż nam zostało?
Tylko dobyć swej broni.
Dziś miecz krainę pustoszy całą,
I bliźnich krwi nie chroni.

Bracia wy nasi! nie żal nam było
Słać was na trud i blizny,
Boście pobiegli na piękne dzieło,
Na pomoc swej ojczyzny.

Niech niebo wasze wspomaga miecze,
Wszystkie zawady znosi;

Niech nieprzyjaciel z trwogą uciecze,
A potem was przeprosi!

Zlituj się Boże! już dosyć bojem,
Dosyć się krwi przelało!
Zakończ tę wojnę złotym pokojem,
Z ludu twojego chwałą.

PIEŚŃ XVI.

O powołaniu i podległości Rządowi.

Chwalcie Boga wszystkie stany!
Z jego wszystko jest woli,
Czy kto siedzi między pany;
Czy pracuje na roli.

Cóż się o miejsce kłócimy,
Na ziemskiej stojąc śmieci?
Wspólnie go ojcem zowiemy,
Wspólnie słucha swych dzieci.

Czyliżto z pańskiego gmachu
Bliższa droga do nieba!
Niż z pod ubogiego dachu,
O nędznym kęsie chleba?

Posłuszny memu stanowi
Jak się obudzę rano,
Drogą mą ku zachodowi
Idę, jak iść kazano.

W tej podróży postępując,
Chociaż mię co uciśnie,
Wnoszę, że mię Bóg probując,
Ten cierń rzucił umyśnie.

Przykładem posłusznych dzieci,
Wszystkom pełnić gotowy
Co mi moja zwierzchność zleci,
Co rząd każe krajowy.

Nie mruczmy na swe zwierzchniki!
Bo jak niebo usłyszy,
Za bożkie się namiestniki
Ujmie, i nas uciszy.

Nad wszystko lepiej nam Panie,
Pod rozkazy twojemi!
Niech się wola twoja stanie,
Jak w niebie, tak na ziemi.

PIEŚŃ XVII.

O Miłości Bliźniego.

Prawo to święte na ziemi i niebie:
»Kochaj bliźniego, jak samego siebie.«
Gdy Bóg stanowił, dał się ludziom dociec,
Że dla swych dzieci napisał go ociec.

Niech mię, jako chce, mój bliźni szkaluje,
Niechaj mię krzywdzi, niech mię prześladuje,
Oddać wet za wet, nacóżbym się silił?
On bratem moim, onto się pomylił.

Niewinność moja, jeźli przy mnie stanie,
Z wiatrem się ludzkie rozejdzie gadanie!
A zamiast swarów, wzajemnej przygany,
Daruję bliźnim, i będę kochany.

Pod jednym żyje naród ludzki Panem;
On się każdego z nas zatrudnia stanem,

Daje nam barwę, z jego stołu jemy!..
Czeladko pańska! zacóż się kłócimy?..

»Kochajcie Boga nad wszystko dobrego,
»Kochajcie bliźnich, jak siebie samego.«
Te dwa naczelne Bozkie przykazania
Postanawiamy pełnić do skonania.

PIEŚŃ XVIII.

O powinnościach Chrześcjiańskich.

We dnie i w nocy Bóg nad nami czuje,
I wszystkie nasze uczynki spisuje;
By nas godnemi swego znalazł nieba,
To nadewszystko wykonywać trzeba.

Znaj Boga twego; chowaj Przykazanie;
Grzechyś popełnił, szczerze żałuj za nie...
Kochaj bliźniego, odpuść przewinienie,
Nie czyń mu krzywdy; miej czyste sumienie.

Rodzice dzieciom przykładem bydź mają;
Niechaj ich wiary i cnót nauczają.
Dzieci rodziców swych będą szanować,
I w starości ich powinni ratować.

Niech swoich przysiąg małżeństwo pamięta:
Skromność młodzieżą niechaj rządzi święta,
Prawda niech tylko z ust naszych wychodzi,
I niech nasz język nikomu nie szkodzi.

Jeźliś pan, bądźże ludziom miłosierny;
Jeźliś poddany, bądź dla pana wierny.
Szanujmy zwierzchność swoję i krajową,
I obyczajność chowajmy surową.

Oto są długi każdego człowieka:
Z nich obrachunek wszystkich ludzi czeka;
Kiedy na pańskie stanę zawołanie,
Szczęśliwym! jeźli takim mię zastanie.

PIEŚŃ XIX.

Na Processyą Bożego Ciała.

Zróbcie mu miejsce, Pan idzie nieba!
Pod przymiotami ukryty chleba.

Zagrody nasze widzić wychodzi,
I jak się dzieciom jego powodzi.

Otocz go wkoło Rzeszo wybrana,
Przed twoim Bogiem zginaj kolana.

Pieśń chwały jego śpiewaj z weselem,
On twoim Ojcem, On przyjacielem.

Nie dosyć było to dla człowieka,
Że na ołtarzu codzień go czeka:

Sam ludu swego odwiedza ściany,
Bo nawykł bawić między ziemiany.

Uścielajcie mu kwiatami drogi,
Którędy Pańskie iść będą nogi!

Okrzyknijcie to na wszystkie strony:
»W środku nas idzie Błogosławiony!«

Straż przy nim czynią Anieli możni!
Nie przystępujcie blisko bezbożni.

Obyście kiedyś i wy poznali,
Jakiegośmy to Pana dostali!

On winy nasze darować lubi,
Jego się wsparciem ten naród chlubi.

W domu i w polu daje nam dary,
Serc tylko naszych żąda ofiary.

Niesiemy ci je Boże, niesiemy!
Dawaj nam łaski, sercać dajemy.

I tej zamiany między stronami,
Niebo i ziemia będą świadkami.

My nie słyszymy, jak nam niebiosy
Odpowiadają swemi odgłosy!...

PIEŚŃ XX.

Podczas pracy w polu.

Boże! z twoich rąk żyjemy,
Choć naszemi pracujemy!
Z Ciebie plenność miewa rola,
My zbieramy z twego pola!

Wszystko cię mój Boże, chwali;
Ależmy i to poznali,
Że najmilszą ci się zdała,
Pracującej ręki chwała!

Co rządzisz ziemią i Niebem!
Opatrz dzieci twoje chlebem,
Ty nam daj urodzaj złoty,
My ci dajem trud i poty.

Kiedyś przyjdziem na godzinę,
Gdy kończąc ziemską gościnę,
Z Łazarzem po naszym zgonie,
Odpoczniemy na twem łonie.

PIEŚŃ XXI.

O Pogodę.

Dosyć Boże deszcze lały!
Twoje się dzieci zebrały,
Proszą od ciebie pogody.
Błyśnij słońcem, spłyną wody!

Spojrzyj na niwy zgubione!
Na sługi twoje strwożone,
Wróć plon, który nas posili,
Ażebyśmy ci służyli.

PIEŚŃ XXII.

O Deszcz.

Ciebie Boże, lud twój wzywa!
Grozi głodem oschła niwa.
Niech tylko Pan chmurom rzecze,
A obfity deszcz pociecze.

Wzrusz się dla nas Ojcze miły!
Dzieci twe cię obstąpiły!
Jeżeliśmy łaski godni:
Masz chleb w ręce, a my głodni!

PIEŚŃ XXIII.

Podczas Chrzcin Dziecięcia.

Wpisujcie w księgę żołnierza Bożego!
Wyrzekł się czarta i wszystkich spraw jego.
Wiernie pod znakiem Boga i człowieka,
Przez całe życie wojować przyrzeka.

Nie płacz niemowlę! cieszyć się potrzeba,
Wzięłoś już prawo na dziedzictwo nieba;
I choć na troski przyszłoś na tę ziemię,
Nagroda, trudów twych przeważy brzemię.

Chwal Pana twego, każda duszo żywa,
Że z łaski jego na ziemi przybywa,
Nam bliźni; człowiek krajowi potrzebny;
Rodzicom dziecię, i Bogu służebny.

PIEŚŃ XXIV.

Podczas ślubów małżeńskich.

Oto Boże! serc tych dwoje,
Spuszcza się na łaskę twoję,
Żeby się wiernie kochali,
W zgodzie do śmierci wytrwali.

Niech się licznie rozradzają,
Dzieci w służbie twej chowają,
Niech im się w życiu powodzi,
Niech im zły człowiek nie szkodzi.

A w starości, po ich zgonie,
Niech znowu złączywszy dłonie,
Po nagrodę obiecaną
Z weselem przed tobą staną.

PIEŚŃ XXV.

Przy grzebaniu umarłych.

Zmarły człowiecze! z tobą się żegnamy!
Przymij dar smutny, który ci składamy:
Trochę na grób twój porzuconej gliny,
Od twych przyjaciół, sąsiadów, rodziny.

Powracasz w ziemię, co matką twą była;
Teraz cię strawi, niedawno żywiła!
Tak droga każda, którą nas świat wodzi,
Na ten ubity gościniec wychodzi!

Nie długo bracie (*albo siostro*) z tobą się ujrzemy!
Jużeś tam doszedł, my jeszcze idziemy.
Trzeba ci było odpocząć po biegu!
Ty wstaniesz, boś tu tylko na noclegu!...

Boże! ten zmarły w domu twym przebywał,
U stołu twego jadał, ciebie wzywał;
Na twej litości polegał bezpieczny,
Daj duszy jego odpoczynek wieczny.

PIEŚŃ XXVI.

Do Najświętszej PANNY.

Niebieskiego dworu Pani,
Do ciebie z płaczem wołamy;
Ewy synowie wygnani,
Litości twojej żądamy.

Na wielu nam rzeczach zbywa,
Nędza człowieka uciska;
Tylko swą nagość okrywa
Tem, co z łaski Stwórcy zyska..

Ty najbliższa twego Syna,
Powiedz mu o naszej doli;
Niech wad naszych zapomina,
Lepszego bytu pozwoli.

Matko! my dziećmi twojemi!
Patrz na stan nasz, nie na winę;
Módl się za nami grzesznemi,
Teraz i w śmierci godzinę.

PIEŚŃ XXVII.

Do Świętych Polaków, Patronów Polski.

Święci! niebieskiej mieszkańcy krainy!
Do was bieżymy w czasie złej godziny;
Których za własnych współziomków ogłasza,
Ojczyzna nasza.

Po tejże ziemi z namiście chodzili!
Z tych samych źródeł wodę naszę pili,
Polka was matka mlekiem swem karmiła,
Rola żywiła!

Wspomnijcie, bracia, na wasze rodaki!
Książęta niebios! na liche żebraki.
Dobrego Boga błagajcie za nami,
Swemi prośbami.

Jeźli głód, wojna i powietrze srogie,
Nawiedzić zechcą królestwo ubogie,
Brońcie nas, stojąc na kraju granicy,
Święci strażnicy.

Boże! ta prośba będzie uiszczona,
Jako przez twoich przyjaciół czyniona,
I zasługami wiecznemi wspierana
Chrystusa Pana.

PIEŚŃ XXVIII.

Wieczorna.

Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm litośnie Boże prawy,
A gdy będziem zasypiali,
Niech cię nawet sen nasz chwali.

Twoje oczy obrócone
Dzień i noc patrzą w tę stronę,
Gdzie niedołężność człowieka
Twojego ratunku czeka!

Odwracaj nocne przygody,
Od wszelakiej broń nas szkody,
Miej nas wiecznie w twojej pieczy
Stróżu! i sędzio człowieczy.

Do BOGA.

Boże mych potrzeb! Boże niezmierzony,
Proszę cię tylko, że chcesz bydź proszony.
Ale twa dobroć dała mi się dociec;
Ty i sam wesprzesz twe dziecię, boś ociec.

KONIEC TOMIKU I. DZIEŁ FR. KARPIŃSKIEGO.

OGÓLNEGO ZBIORU TOMIKU XVII.

Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka
w Gdańsku
125/1
020001000125